

POŻYCZALSCY IDĄ W ŚWIAT

Przełożyła Maria Wiśłowska

Ilustrował Andrzej Strumiłło

Nasza Księgarnia Warszawa 1986

Tytuł oryginału

„The Borrowers Afield”

J.M.Dent & Sons Ltd, London 1958

© Mary Norton, 1955

© Copyright for the Polish edition

by Instytut Wydawniczy „Nasza Księgarnia”

Warszawa 1963

ROZDZIAŁ PIERWSZY

„Co się stało raz, może stać się raz jeszcze”

Pierwsze zanotowane zaćmienie księżyca, r.721 p.n.e. (Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Arietty, 19 marca)

1 o Kasia, kiedy od dawna już była dorosła, uzupełniła historię Pożyczalskich. Spisała ją w całości, po latach, dla swoich własnych czworga dzieci, gromadząc fakty tak, jak się zbiera dane do powieści biograficznej: to, co sama pamiętała, to, czego dowiedziała się z opowiadania, a także parę rzeczy — wyznajmy to lepiej od razu — których się domyśliła.

Najbardziej godnym uwagi dowodem rzeczowym był miniaturowy „Diariusz” wiktoriański o kartach ze złożonymi brzegami, który Kasia odnalazła w domku gajowego we Wrzosowym Wzgórzu, w pobliżu Studdington, w hrabstwie Bedfordshire.

Gajowy, stary Tom Poczwiwiec, nie życzył sobie, żeby ta cała historia została spisana, ale ponieważ umarł już dawno, a dzieci jej były tej opowieści okropnie ciekawe, Kasia pomyślała sobie, że Tom Poczwiwiec, jak samo nazwisko wskazuje, pójdzie wprost do nieba, zrozumie więc i wybaczy, że go nie posłuchała. W każdym razie Katarzyna zdecydowała się zaryzykować.

Gdy sama była jeszcze małą Kasią i mieszkała razem z rodzicami w Londynie, w domu ich zajmowała dwa

|||||||

T

pokoje daleka krewna, pani May. I właśnie ona, pani May, podczas długich wieczorów zimowych przy kominku, ucząc Kasię szydełkowania, opowiadała jej o Pożyczalskich.

Wówczas Kasia ani przez chwilę nie wątpiła, że istnieją na świecie Pożyczalscy — malutkie istotki, całkiem podobne do ludzi, żyjące własnym tajemniczym życiem pod podłogą lub za boazerią w cichych, starych domach.

Dopiero po pewnym czasie zaczęły narastać jej wątpliwości (a czy miała ku temu powody, dowiecie się wkrótce. To, co stało się później, było jeszcze dziwniejsze — wypadki potoczyły się w sposób tak niezwykle i nieoczekiwany, że pani May nawet by się nie śniła).

Początkowo cała historia miała posmak czegoś tylko zasłyszanego. Pani May przyznawała — co prawda Kasia nie bardzo w to wierzyła — że sama na własne oczy nie widziała nigdy żadnego z Pożyczalskich. Dowiedziała się o tych istotkach niejako z drugiej ręki, od swego młodszego brata, który, jak twierdziła, miał nie tylko bujną wyobraźnię, ale znany był jako kpiarz. A więc i wy także możecie uwierzyć w to lub nie; sami zdecydujecie.

Prawdę mówiąc, już w rok później Kasia była skłonna tę historię o Pożyczalskich włożyć między bajki, tak jak i inne dziecięce fantazje. W ciągu tego roku przeszła do innej szkoły, poznała nowe koleżanki, dostała psa, nauczyła się jeździć na łyżwach i na rowerze. I w ogóle nie pamiętała już o Pożyczalskich, aż pewnego wiosennego poranka, przy śniadaniu, pani May, podając jej przez stół jakiś list, powiedziała:

— To cię chyba zainteresuje, Kasiu.

— 6 —

###«•

!•%!•

Ale Kasia — miała wtedy niecałe jedenaście lat — choć przeczytała list dwa razy, nie mogła połączyć się, o co w nim chodzi. I wcale jej to nie zainteresowało. Był to list z kancelarii adwokatów: Prawnikowskiego, Ustawkiewicza i braci Piórko, tak zagmatwany i tak najeżony skomplikowanymi wyrazami (jak na przykład „testament”, „spadkobiercy”, „objąć posiadłość”), że nie bardzo go mogła zrozumieć. Jakże długie ramiona trzeba mieć, żeby móc „objąć posiadłość”!

Oddała list pani May bez słowa.

— Myślałam — rzekła pani May i policzki jej zaróżowiły się lekko — że będziesz miała ochotę pojechać tam ze mną.

— Pojechać — dokąd? — zapytała Kasia, dając do zrozumienia, że nie wie, o co chodzi.

— Moje dziecko — powiedziała pani May — po cóż bym ci pokazywała ten list? Do Wrzosowego Wzgórza, oczywiście.

Wrzosowe Wzgórze? Po latach, opowiadając o tej scenie swoim własnym dzieciom, Kasia przyznała, że na te słowa serce zabiło jej mocno. „Wrzosowe Wzgórze”... znała tę nazwę, oczywiście... była to miejscowość w pobliżu Stud-dington, w hrabstwie Bedfordshire.

— Tam gdzie był dom ciotki Zofii — uzupełniła pani May. — I gdzie mój brat rzekomo widział Pożyczal-skich.

I nim zaskoczona Kasia przysła do siebie, pani May zaczęła mówić tonem spokojnym i rzeczowym:

— Została tam niewielka leśniczówka, a także — rumieniec na jej twarzy pociemniał, tak jakby zamierzała powiedzieć coś, w co trudno uwierzyć — zostało trzysta

— 7 —

pięćdziesiąt pięć funtów*. A suma ta wystarczy — dodała po chwili — na jej odnowienie...

Kasia milczała. Ręce przycisnęła do piersi, jak gdyby i chciała zagłuszyć bicie serca.

— Zobaczmy dom? — zapytała.

— Naturalnie, po to właśnie pojedziemy.

— Ale ten duży dom... dom ciotki Zofii? Będzie go można obejrzeć?

— Nazywał się „Stokrotka” — pani May była trochę zaskoczona pytaniem Kasi. — Nie wiem. Zapytamy. Zależy, kto tam teraz mieszka.

— Gdyby nam się udało wejść do środka — mówiła dalej Kasia, starając się nie dać poznać po sobie, jak wielką ma na to ochotę — chciałabym zobaczyć przynajmniej kratę i ten nasyp, na który wdrapywała się Ariet-ta. A gdyby otworzyli drzwi frontowe, choć na chwileczkę, chciałabym, żeby mi pani pokazała miejsce, w którym stał duży zegar. Chociaż z daleka... — A widząc, że pani May jeszcze się waha, dodała z niepokojem w głosie: — Pani wierzyła w tę historię, prawda? Czy też może... to była tylko baśń?

— A gdyby nawet baśń — odparła pani May szybko — to cóż to szkodzi, skoro była ładna? Zachowaj szczyptę fantazji, moje dziecko, nie bierz wszystkiego dosłownie. Każda rzecz, której nie przeżyliśmy sami, może wydawać się kłamstwem. W podobnych sytuacjach — pani May uśmiechnęła się, widząc wyraz twarzy Kasi — trzeba mieć oczy i uszy otwarte i umieć oddzielać wymysł od prawdy.

* Objaśnienia wyrazów trudnych znajdują się na końcu książki.

— 8 —

— Oddzielać wymysł od prawdy? Tak właśnie starałam się robić — uprzytomniła sobie Kasia.

Zanim jeszcze pani May opowiedziała jej o Pożyczalskich, Kasia już sama podejrzewała, że ludki domowe istnieją. Bo jak inaczej można by wyjaśnić powtarzające się stale, a nie dające się wytłumaczyć znikanie różnych drobnych przedmiotów w domu?

Nie tylko agrałki, szpilki, ołówki, bibuła, pudełko zapalek i inne drobiazgi jakby się pod ziemię zapadały, ale także — jak Kasia zauważyła — gdy otwierało się szufladę po dłuższym czasie, nigdy nie można było znaleźć pozostawionych w niej rzeczy: zawsze czegoś brakowało, zawsze gdzieś się zawieruszyła albo najładniejsza chusteczka, albo szydełko, albo wisiorek w kształcie serduszka, albo moneta dana na szczęście... „Na pewno włożyłam do tej szuflady” — jakże często powtarzała sama te słowa i jakże często słyszała je od innych! Albo: „Na pewno wyniosłam na stryszek”, albo: „Na pewno na górę do schowka”...

Matka Kasi kiedyś przez cały tydzień szukała sprzączek od pantofelków, klęcząc przed otwartym kufrem. „Jestem pewna, że włożyłam je do tego pudełka z wachlarzem ze strusich piór. Były zawinięte w kawałek czarnej watoliny, wsunęłam je tutaj, pamiętam dobrze, w prawy kąt...”

Nie inaczej dzieje się z przedmiotami włożonymi do szuflady biurka, do koszyka z szyciem, do pudełka z guzikami; nawet w małej blaszanej puszcze nigdy nie ma tyle herbaty, ile wsypało się poprzedniego wieczora. Tak, to są fakty... ale jak oddzielić wymysł od prawdy?

— Przypuszczam — rzekła Kasia w zamyśleniu, skła-

— 9 —

J*«^

dając swoją serwetkę — że one są nie we wszystkich do-] mach, tylko w niektórych.

— W niektórych nie ma ich wcale — powiedziała pani May. — Ale, jak opowiadał mój brat, im dom jest bardziej schludny, tym większe — choć to dziwne — znajdują w nim upodobanie. To nerwowe istotki: muszą wiedzieć, gdzie co leży i co każdy mieszkaniec domu robi o tej a o tej godzinie każdego dnia. W domach nieporządknych, hałaśliwych, źle prowadzonych można — choć to dziwne, powtarzam — rzucać swoje rzeczy byle gdzie, a pozostaną nie ruszone — przez Pożyczalskich, oczywiście.

I roześmiała się przy tych słowach.

— A czy Pożyczalscy mogą żyć także pod gołym niebem? — spytała Kasia nagle.

— Nie przyszłoby im to łatwo — odparła pani May. — Ludzie są im potrzebni. Żywią się okruchami.

— Nieraz myślałam — mówiła Kasia w zamyśleniu — co się stało ze Strączkiem, Dominika, Ariettą. Co zrobili, gdy ich wykadzono spod podłogi — jak pani sądzi?

— I ja się nad tym zastanawiałam — rzekła pani May.

— Sądzi pani, że Arietta pozostała przy życiu jako ostatnia z rodu Pożyczalskich, jak mówił pani brat?

— Ostatnia z rodu Pożyczalskich? Tak mówił? Chyba się mylisz. To byłoby nieładnie z jego strony —

dodała po chwili zadumy.

— A jak oni sobie poradzili? Czy znaleźli tę norę borsuka — jak pani przypuszcza?

— Nie wiadomo. Opowiadałam ci, co się stało z powłó-czką od poduszki, do której wrzuciłam całe umeblowanie domku dla lalek?

— 10 —

> • •

— I poczuła pani zapach, jakby się coś smażyło? Ale to jeszcze nie znaczy, że rodzina Strączka tam dotarła. Ich kuzyn Henryk z żoną i z dziećmi jnieszkał podobno w norze borsuka, prawda? To pewno oni przygotowywali obiad, ale dla siebie.

— Możliwe — rzekła pani May.

Kasia milczała przez dłuższą chwilę, zatopiona w swoich myślach. Nagle zaczęła wiercić się na krześle, a twarzyczka jej się rozjaśniła.

— A jak pojedziemy — zawołała i oczy jej zabłyśły — to gdzie się zatrzymamy? Woberży?

m

^owałś

u^wrniKstt 'im

ROZDZIAŁ DRUGII

„Bez pracy nie ma kołaczy”

Zaatakowanie brytyjskiej rezydencji w Manipur, r. 1891 (Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Arietty,

24 marca) I

Jxzadko kiedy jest w rzeczywistości tak, jak sobie wyobrażaliśmy: podobnie rzecz się miała z oberżą, a później także i ze „Stokrotką”. Był to ów duży dom, należący niegdyś do ciotki Zofii. Ani jedno, ani drugie nie było zgodne z wyobrażeniem Kasi.

Do oberży powinno się zajeżdżać w nocy, a nie o trzeciej po południu — noc musi być czarna, musi zacinać deszcz i wyc wicher. Oberża powinna znajdować się w pobliżu trzęsawiska („ponurego” — gdyż takie określenie, zdaniem Kasi, nieodłącznie związane jest z trzęsawiskiem). Gospodarz ma być barczysty i okazały, przepasany podniszczonym fartuchem, a przy kominku powinien siedzieć posępny ciemnowłosy nieznajomy, grzać wąskie białe ręce nad ogniem i nie odzywać się do nikogo. Ogień na kominku musi być prawdziwy — wielkie polana drewna powinny trzaskać i syczeć, i jaśnieć pełnym

blaskiem. I musi być duży sagan do gotowania — a przed oberżą powinny ujadać dwa wielkie brytany.

A tu nic z tych rzeczy: młoda kobieta w białej bluzeczce, siedząca za stołem, wpisała nazwiska przybyłych do księgi gości. Nie było żadnego oberżysty, były natomiast dwie kelnerki: blondynka Magdusia i cichutka, w okularach

— 12 —

>••.

j>:

z wypukłymi soczewkami Małgosia, a także niemłody, łysawy kelner. W kominku nie buzowały płomienie z wielkich polan drewna, tylko leżały bryły sztucznego węgla, nieustannie lizane płomieniami zwykłego elektrycznego wiatraczka, udającymi prawdziwy ogień. A — co najgorsza — przy kominku nie siedział, tylko stał, i wcale nie posępny i nie ciemnowłosa nieznajomy, tylko zwyczajny pan Piórko, adwokat — szpakowaty, pulchny i różowy. Był on co prawda dobrym fachowcem w swoim zawodzie i umiał wyrażać się ściśle i rzeczowo, ale to już jest całkiem inna sprawa.

Pokój w gospodzie, na pierwszym piętrze, z oknem wychodzącym na rynek, z wysoką szafą mahoniową i z wodą zimną i gorącą w umywalce, spodobał się Kasi. Dzień był jasny i słoneczny, a Kasia wiedziała, że jutro zobaczy „Stokrotkę” — legendarny dom, który przestanie należeć do świata fantazji, a zamieni się w budynek wzniesiony z solidnych cegieł, spojonych zaprawą murarską, stojący mocno na fundamentach i odległy niecałe dwie mile od szosy. „To zupełnie niedaleko stąd — pomyślała Kasia. — Będę mogła pójść tam zaraz po podwieczorku, jeśli pani May wcześniej skończy rozmowę z adwokatem”.

Ale gdy udały się tam nazajutrz rano — pani May szła opierając się na lasce z wiśniowego drzewa, z gumową nasadką — Kasia przeżyła wielkie rozczarowanie: dom z czerwonej cegły, długi jak koszary, z rzędem zasłoniętych okien, wyglądał zupełnie inaczej, niż sobie wyobrażała.

— Dawniej był zarośnięty bluszczem — rzekła pani May (i ona także była chyba zaskoczona tym widokiem) — a teraz jest taki огоłocony...

Lecz po chwili, gdy stanęły przed podjazdem, dodała:

— 13 —

— Szkoda — stare mury najładniej wyglądają porośnięte bluszczem. Ten dom był zawsze uważany za bardzo stylowy.

— Czy to naprawdę tutaj? — zapytała Kasia z nie-j dowierzaniem, jakby pani May mogła zapomnieć.

— Ależ tak, głuptasku! Tu, w pobliżu bramy, stała jabłoń... a trzecie okno po lewej to okno mojego pokoju, w którym sypiałam, gdy tu przyjeżdżałam. Okna pokoju szkolnego wychodziły na ogród. A tutaj był murek. Przeskakiwaliśmy przez ten murek, mój brat i ja, i wpa-j daliśmy prosto w kupę kompostu. Pamiętam, że pewnego I razu Felicjan przegonił nas stąd, grożąc miotłą.

(Felicjan? A więc jednak był ktoś taki naprawdę?!) Drzwi frontowe stały otworem (musiały być otwarte i wtedy, uświadomiła sobie Kasia, owego niezapomnianego dnia, kiedy to Arietta zobaczyła po raz pierwszy, jak wygląda „na świecie”) i wczesne słońce wiosenne zalewało blaskiem ciemny hali, do którego prowadził świeżo umyty schodek. Obok schodka, jak to Kasia od razu zauważyła, znajdowała się pionowa blaszka w kształcie strzemiączka do zeszkrobывania błota z butów. Czy to ten sam schodek, po którym Arietta zbiegła do ogrodu? Serce Kasi zabiło szybciej.

— A gdzie jest krata? — zapytała.

Pani May pociągnęła za dzwonek. Rozległ się przytłumiony dźwięk, jakby gdzieś z daleka, o parę mil stąd.

— Krata? -- powtórzyła pani May, schodząc ze zwirowanej ścieżki i obejmując wzrokiem fasadę domu. — Tam — rzekła i wskazała ruchem głowy. — Została naprawiona, ale to na pewno ta sama krata.

Kasia pobiegła we wskazanym kierunku i zatrzymała się

— 14 —

>••

przed okienkiem: tak, była na swoim miejscu, ta sama krata, przez którą uciekli wszyscy troje: Strączek, Dominika i mała Arietta. Widniała tu zielonkawa plama, a kilka cegieł wyglądało na nowsze niż pozostałe. Krata znajdowała się nieco wyżej, niż Kasia myślała. Ażebym znaleźć się na ziemi, musieli więc wszyscy troje zeskoczyć. Nachyliła się, chcąc zajrzeć do środka. Nie zobaczyła nic, tylko zza kraty wionęło wilgocią. A więc tu, w tej kryjówce, mieszkali...

— Kasiu! — zawołała pani May, stojąc na schodku przed drzwiami (z tego samego miejsca wołał Strączek Ariettę, gdy samowolnie wybiegła na ścieżkę).

Kasia odwróciła się i oczom jej ukazał się widok, który dobrze знаła z opowiadania. Nareszcie coś, co wyglądało właśnie tak, jak sobie wyobrażała: wysoki klomb z pry-mulkami. Delikatne, zielononiebieskie listki wśród spłó-wiałych zimowych trawek, które robiły wrażenie, jakby były czymś opryskane czy też przemoczone. A krzak azalii rozrósł się w ogromny krzew.

Po chwili pani May zawołała ją po raz drugi i Kasia przybiegła do frontowych drzwi.

— Zadzwonimy jeszcze raz — powiedziała pani May i po chwili znów rozległ się brzęczący dźwięk dzwonka. — Słysząc go w kuchni — wyjaśniła — za drzwiami obitymi zielonym filcem.

(„Drzwi obite zielonym filcem” — przypomniała sobie Kasia).

Pani May wymawiała te słowa jakby z szacunkiem.

Wreszcie ukazała się młoda dziewczyna w przybrudzonym, podobnym do worka fartuchu i w przydeptanych pantoflach na bosych nogach.

— 15 —

— Proszę? — zapytała, mrużąc oczy w słońcu.

— Czy mogłabym zobaczyć się z właścicielem? — zapytała pani May.

— Z kim, z panem Kawką czy z dyrektorem szkoły? Dziewczyna przysłoniła oczy przed słońcem dłonią

złożoną w kształcie daszka. W drugiej ręce ścisnęła moką ścierkę do podłogi.

— A więc tu jest szkoła! — zawołała pani May.

(„To dlatego dom wygląda jak koszary!” — domyśliła się Kasia).

— Zawsze chyba była — odrzekła dziewczyna.

— Nie, nie zawsze — powiedziała pani May. — Przyjeżdżałam tu często, gdy byłam mała. Może w takim razie mogłabym porozmawiać z kimś, kto zastępuje dyrektora?

— Jest tylko moja matka — rzekła dziewczyna. — Woźna. A tak, to wszyscy wyjechali na ferie wielkanocne — nauczyciele i reszta.

— Wobec tego... — zaczęła pani May niezdecydowana — będziemy musiały...

Ale Kasia nie pozwoliła jej dokończyć. Zwróciła się do dziewczyny z pytaniem:

— Może mogłybyśmy zobaczyć chociaż hali?

— Proszę bardzo — rzekła dziewczyna, trochę zaskoczona tą prośbą, i usunęła się na bok, pozostawiając wolne przejście. — Ja tam nie mam nic przeciwko temu.

Po chwili znalazły się obie, Kasia i pani May, w hallu. Owionął je chłód. Kasia rozglądała się dokoła: hali był wysoki, przestronny, o ścianach wyłożonych boazerią, a na samym środku znajdowały się schody „biegnące coraz wyżej i wyżej w górę”, jak mówiła Arietta. Podłoga pokryta była ciemnozielonym linoleum, lśniącym jak wypolerowa-

— 16 —

	II liii	1		II	i	ii	
' 111 Im1	lilii1		11				UI
	ii 11	liii1	11				1
	1	i	H			1	

1 III 1 (GN II *III"i 1 »|Mi«

I 1 1 IN "i !i ; i 1:-: i 1

; 'Fa—~—W 1

^1__ _\\m |HH(J

m u /// L 1

rTTTd

hffi 1 n '7 M

s

H piii^1^^1

I -**||---*1 11

I *^.- i TT, .^

L

|||||||||||i

ne. W powietrzu unosił się cierpki zapach mydlin, prze-j mieszany z wonią wosku do froterowania.

— Pod tym linoleum jest piękna posadzka — rzekła pai May, uderzając w podłogę laską z gumową nasadką.

Dziewczyna gapła się na panią May i Kasię, zaciekawiona, ale po chwili odwróciła się, jakby jej się znudziło i odeszła, człapiąc przydeptanymi pantoflami, w strony ciemnego korytarzyka pod schodami.

Kasia poczuła na ramieniu lekkie dotknięcie.

— Posłuchaj — i pani May przycisnęła ją do siebie. Kasia wstrzymała oddech, ażeby niczym nie zamącić!

ciszy. Po chwili usłyszała dziwny dźwięk, coś pośredniego j między jękiem a westchnieniem. Pani May pokiwała głową.

— Tak właśnie — wyszeptała — skrzypią drzwi obite zielonym filcem.

— A gdzie stał zegar? — spytała Kasia.

Pani May wskazała ścianę, w którą wbity był rząd kołków, służących jako wieszaki do płaszczy.

— Tutaj. Dziura pod podłogą musiała znajdować się w tym miejscu, w którym obecnie jest kaloryfer... Jakby się oni cieszyli, gdyby grzał ich już wtedy...

Na drzwiach, po drugiej stronie hallu, widniał napis wielkimi literami: GABINET DYREKTORA.

— Tam był pokój śniadaniowy — wyjaśniła pani May.

— To tam mieszkali Gzysowicze? I stamtąd Strączek brał bibułę?

I zanim pani May zdążyła przeszkodzić, Kasia wyrwała się. Jej przebiegła hali, znalazła się przy drzwiach i nacisnęła klamkę.

— Kasiu, nie rób tego! Wracaj! — zawołała pani May.

— 18 —

• '••-

>• •

— Zamknięte — stwierdziła Kasia rozczarowana. — A czy nie mogłybyśmy zerknąć, co jest na piętrze? Chciałabym bardzo zobaczyć pokój dziecienny. Będę stąpała na paluszkach cichuteńko...

— Nie, Kasiu, nie wolno! Musimy już wracać. Nie mamy tu nic do roboty — rzekła pani May stanowczo i zawróciła w stronę wyjścia.

Gdy znalazły się znów na ścieżce przed domem, Kasia spytała:

— A czy mogę zajrzeć do kuchni przez okno?

— Nie, Kasiu!

— Chciałabym zobaczyć, gdzie oni mieszkali... gdzie była ta dziura pod kuchnią... Proszę, niech mi pani pozwoli jeden raz spojrzeć... bardzo proszę!

— No to biegnij, ale szybko — zgodziła się pani May. Rozejrzała się niespokojnie na wszystkie strony, a Kasia

tymczasem pobiegła pędem po ścieżce w stronę kuchni.

Ale znów czekało ją rozczarowanie. Kasia widziała, gdzie jest krata, a więc domyśliła się także, gdzie musiała być kuchnia. Przysłaniając oczy dłonią przed odbłaskiem słońca przylgnęła twarzą do szyby. Ale to, co ujrzała przez szybę, niczym nie przypominało kuchni: stały tu na półkach butle i lśniące retorty; pod nimi ciągnął się szereg stolików, zaopatrzonych w palniki bunsenowskie. To nie była kuchnia, to było

I na tym koniec. Kasia poszła z panią May na obiad. Obiad był pyszny; cielęcina z sałatą, a na deser do wyboru: ciastko ze śliwkami albo rolada z konfiturami. A zaraz po obiedzie przyjechał samochodem pan Piórko, żeby zabrać panią May i Kasię i pokazać im leśniczówkę.

— 19 —

1

 ≥ 0

ROZDZIAŁ TRZECI

25 marca)

„(((t({l({iiniiiiinhnitikHiit

mili Uli f 1111 m \ i v w Wl\\wv^v^^^^\y^N^^^^^^^^^^a^^^^

— Tom Pocziwiec? Tak, wyniesie się, znaleźliśmy mu miejsce w przytułku. Chociaż — dodał pan

Piórko ze złośliwym uśmieszkiem — moim zdaniem wcale na to nie zasłużył.

— Dlaczego? — wtrąciła się nagle Kasia.

Pan Piórko spojrzał na nią zaskoczony, jakby nagle mały piesek przemówił ludzkim głosem.

— Dlatego — odparł, zwracając się do pani May i całkowicie ignorując Kasię — że to stary blagier i nudziarz.

I roześmiał się swoim zadowolonym z siebie, krótkim śmieszkiem.

— Największy kłamczuch w całej okolicy, tak mówią o nim w miasteczku.

Murowany domek pod lasem wyglądał z daleka jak opuszczony i bezpański — tak przynajmniej zdawało się Kasi, gdy wspinali się z trudem po stromym zboczu — ale dach z gontów był jeszcze w dobrym stanie. Obok wejścia stała beczka z wodą, zielona od mchu. Beczka nie była zbyt szczelna, spomiędzy deszczułek sączyła się na zwirowaną

— 21 —

• * %«

ścieżkę drobna strużka wody i wpływała pomiędzy kłując osty. Do domku przylegała drewniana przybudówka, a na jej ścianie suszyły się rozwieszone i poprzipinane gwoździkami skóry zwierzęce.

— Nie myślałam, że to aż tak wysoko — rzekła pani May, ciężko dysząc.

Pan Piórko zapukał do drzwi, na których miejscami popękała farba.

— Trzeba tu będzie wygracować dróżkę — rzekła pani May, zataczając laską krąg po zboczu w kierunku łąki zarośniętej trawą.

Kasia usłyszała jakieś szmery za drzwiami; pan Piórko i zastukał energiczniej i zawołał:

— To ja, Tom! Otwórzcie!

Po chwili dały się słyszeć kroki, a gdy drzwi skrzypnęły i otworzyły się, w progu stanął stary człowiek — wysoki, szczupły, ale dziwnie szeroki w ramionach. Głowę miał nieco przechyloną w bok, a jednocześnie jak gdyby opadała mu na piersi, kiedy zaś uśmiechał się (a uśmiechał się często), twarz jego przybierała filuterny wyraz. Oczy miał duże, ciemne i niezwykle błyszczące.

— No, jak się czujecie, Tom? — zapytał pan Piórko. — Mam nadzieję, że lepiej. To pani May, przyszła właścicielka całej tej posiadłości. Można wejść?

— Sekretów tu żadnych nie ma — odparł stary człowiek i cofnął się o krok, ażeby zrobić przejście, ale uśmiechnął się tylko do dziewczynki.

Weszli za nim do pokoju. Było tu prawie pusto, ale schludnie i czysto, jeśli nie liczyć wiórów poniewierających się na kamiennej podłodze i stosu jakichś patyków pod parapetem okna, które Kasia wzięła za szczapy na

— 22 —

podpałkę. Nieduży ogień tlił się pod szerniałym blatem, który stanowił chyba kiedyś część piecyka do pieczenia ciasta.

— Widzę, żeście tu trochę uprzątnęli — rzekł pan Piórko, rozglądając się dokoła. — Nie powiem, żeby to miało większe znaczenie. Gdybym ja był na pani miejscu — zwrócił się do pani May, nie fatygując się nawet, by niżić głos — kazałbym tu wszystko wyszorować i nawet wyde-zynfekować, zanim przyjdą murarze.

— A ja uważam, że tu jest bardzo ładnie! — zawołała Kasia entuzjastycznie, zgorzowana takim brakiem dobrego wychowania u dorosłego.

Lecz stary Tom zachowywał się tak, jakby niczego nie zauważył. Stał spokojnie, patrzył na Kasię i uśmiechał się do niej swym filuternym uśmieszkiem.

— Tutaj są schody — mówił pan Piórko, prowadząc panią May do przeciwległych drzwi — a tutaj... kuchnia i zmywalnia.

Pani May zatrzymała się na chwilę.

— Chcesz iść z nami na górę, Kasiu?

Kasia nie poruszyła się. Najpierw rzuciła szybkie spojrzenie na starego Toma, a potem na panią May.

— Nie, dziękuję — rzekła krótko.

Pani May zdziwiła się, ale bez słowa wyszła razem z panem Piórko.

Przez chwilę panowało milczenie. Kasia wskazała na stos nagich patyków i zapytała:

— Co to jest, proszę pana?

Stary człowiek jakby ocknął się ze snu.

— To? — spytał swoim miękkim głosem. — To są gałazki do umocnienia dachu.

— 23 —

Wyjął z kieszeni nóż, na zrogowaciałym paznokciu kciuka wypróbował, czy ostry, przysunął sobie niski] zydelek i usiadł na nim.

— Chodź tu bliżej — rzekł do Kasi — pokażę ci, jak to się robi.

Kasia przyciągnęła krzesło, usiadła i w milczeniu! patrzyła, jak stary Tom wycina z gałęzi leszczynowej długie cienkie patyki, które w pierwszej chwili wzięta za szczapy na podpałkę. Po chwili rzekł, nie podnosząc głowy:

— Zdaje mi się, że ty nie bardzo grzecznie traktujesz tego pana.

— Kogo, pana Piórko? — Kasia wydeła pogardliwie usta.

Stary człowiek odwrócił się i spojrzał ostrzegawczo w stronę drzwi.

Nastłuchiwał przez chwilę, zanim rzekł:

— Teraz poszli na górę.

Kasia także nadstawiła uszu i usłyszała odgłos kroków na drewnianych schodach.

— Wiesz, jak dawno mieszkam w tym domku? — rzekł stary, przechyliwszy swoim zwyczajem głowę nieco w bok.

Kroki słysząc było teraz na górze, jak gdyby ktoś chodził tam i z powrotem po pokoju sypialnym.

— Prawie osiemdziesiąt lat — powiedział i pokiwał głową.

Chwył obrany z kory pręt leszczynowy i koniuszek przytrzymał w palcach.

— I teraz musi się pan wyprowadzić? — zapytała Kasia, obserwując z zainteresowaniem jego ruchy.

Stary człowiek roześmiał się, jak gdyby powiedziała coś

— 24 —

• .V\l«.A * '«• ••'

niezwykle dowcipnego. Śmiał się po cichu, raczej do siebie, a głowa mu się trzęsła.

— Wyprowadzić się? Wyrzucają mnie — rzekł, jakby te czyjeś zamiary bardzo go ubawiły.

Obiema rękami ścisnął sprężysty pręt, wykręcił go tak, jak praczki wyzymające upraną bieliznę, i jednym ruchem przełamał go wpół.

.— Przecież nikt pana nie wyrzuci — rzekła Kasia — jeśli pan sam nie zechce się wyprowadzić. Nie sądzę, żeby pani May mogła tak postąpić.

— Ona? — powtórzył z powątpiewaniem. — Za bardzo liczy się z nim. Rozmawia z nim jak w rękawiczkach.

— Pani May przyjeżdżała tu latem — objaśniła Kasia — gdy była małą dziewczynką. Pan jej nie znał? Mieszkała w „Stokrotce”.

— Tak?

— Nie znał jej pan? — dopytywała się Kasia. — Na imię ma Ada. Nazywali ją „panna Ada”.

— Znałem pannę Adę bardzo dobrze... i jej ciotkę także. I jej brata. Całą rodzinę — powiedział stary Tom z uśmiechem.

Gdy mówił, Kasia doznała dziwnego wrażenia — jakby już kiedyś słyszała te same słowa, z ust takiego samego starego człowieka, i jakby już kiedyś była w takim samym pokoju i widziała przed sobą zalane słońcem okno w podobnie jasny, choć chłodny dzień wiosenny. Rozejrzała się dokoła po bielonych ścianach, z których sypał się tynk, i zdawało jej się, że i wzorek na tych ścianach także kiedyś widziała. Nawet dziury i szczeliny, przez które przeświecały cegły w popękanym murze, wydawały jej się znajome. Dziwne, bo przecież — a co do tego miała całkowitą

— 25 —

• Ł %«

pewność — nigdy tu przedtem nie była. Nabrała odwagi i zbliżyła się do starego człowieka.

— A Felicjana pan znał? — zapytała.

— I Felicjana dobrze znałem — odparł, kiwając głową i znów zaśmiał się swym cichym śmieszkiem.

— A kucharkę Dorotę?

— Kucharkę Dorotę? — powtórzył. — Pewno, że znałem.

— A Różę Toporek? Pokojówkę, która o byle co krzy-ł czała? — wyrzuciła Kasia jednym tchem.

— Nie — odrzekł stary Tom. — Tej nie znałem. Ale słyszałem o niej. Kiedyś narobiła krzyku na cały dom, taW mówili.

— A wie pan, z jakiego powodu? — zapytała Kasia zaciekawiona.

Tom potrząsnął głową przecząco.

— Bez powodu, o ile wiem.

— A nie mówili panu, że podobno zobaczyła w salonie na gzymsie kominka człowieczka wielkości amorka z porH celany? W pierwszej chwili myślała, że to ornament, i próbowała odkurzyć go miotką z piór — a on nagle kichnął! Każdy na jej miejscu uderzyłby w krzyk!

— Dlaczego właściwie? Czego tu się bać? — rzekł stary Tom, tak zręcznie zdejmując korę z pręta, jakby ściągał rękawiczkę z palca. — Pożyczalscy nie robią przecież nikomu krzywdy. Nie nabrudzą, nie narobią bałaganu. Nie tak, jak myszy polne. Zawsze mnie to dziwi, że ludzie wyczyniają tyle hałasu i zamieszania z powodu Pożyczal-skich.

Przesunął badawczo palcem po nagiej powierzchni pręta

— Wypędzają, wykurzają, wyprawiają z nimi nie wia-

— 26 —

'••-*

w~**:^

domo co, a przecież z nimi nie wolno tak postępować. Uciekną sami, usuną się, trzeba im dać tylko trochę czasu; wystarczy, aby dowiedzieli się, że zostali „widziani”. Na przykład myszy polne...

Stary człowiek przerwał na chwilę, mocując się z prętem, który usiłował przetamać.

— Niech pan mi opowie coś jeszcze o nich... o Pożyczal-skich — poprosiła Kasia gorąco.

— Niewiele jest do opowiadania — rzekł stary Tom, odrzucając na stos odarty z kory pręt i wybierając następny do ostrugania. — Pożyczalscy mają taką samą naturę jak prawdziwi ludzie... a co tu rozprawiać o ludziach? Weź, na ten przykład, myszy polne. Jak myszy dostaną się do mieszkania, to koniec, choćby nie wiem co się robiło, żeby je przepędzić. Szarańcza! Istna plaga! Bałagan! W takim domku, jak ten, jeśli się już czegoś bać, to tylko myszy polnych, a nie Pożyczalskich... W Feśniczówce, pod lasem, na pustkowiu... z Pożyczalskimi różnie niż bez nich!

Rzucił okiem na sufit, który skrzypiał pod ciężarem kroków przemierzających pokój na górze tam i z powrotem.

— Co oni tam robią?

— Mierzą — odpowiedziała Kasia. — Pani May przyniosła z sobą miarkę. Pewno zaraz skończą — i spieszenie dodała: — A ja tak bym chciała zapytać pana o coś... o coś bardzo ważnego. Jeśli pozwolą mi jutro iść na spacer — samej, oczywiście — bo na pewno będą chcieli rozmawiać o swoich sprawach, to czy mogę wpaść do pana?

— Dlaczego nie — odparł stary człowiek, zdzierając korę z kolejnego pręta. — Przynieś z sobą ostry nóż, nauczę cię strugać patyki.

— 27 —

• * %'

y<fj

— Wie pan — mówiła Kasia, tykając słowa z przejęcia — i brat pani May — panny Ady, jeśli pan woli — sam w i\ dzia\ w „Stokrotce” Pożyczalskich!...

I zamilkła na chwilę, starając się odczytać z jego twarzy efekt, jaki wywołały jej słowa.

— Cóż w tym takiego niezwykłego? — zapytał stary człowiek obojętnie. — Trzeba mieć tylko oczy i uszy o\ twarte. Ja tam widziałem w swoim życiu dziwniejsze rzej czy aniżeli te stworzonka. Na przykład

borsuk. Przyjdi tu jutro, a opowiem ci takie historie o borsukach, żłl wierzyć nie będziesz chciała, choć sam widziałem na włas« | ne oczy.

— Ale czy widział pan także choć raz Pożyczalskich? -przerwała mu Kasia niecierpliwie... — Któregoś z tyc ze „Stokrotki”?

— Z tych, co mieszkali w stajni?

— Nie. Z tych, co mieszkali pod kuchnią.

— Och, ci... co to ich dymem wykurzyli?

— Ale to nieprawda...

— Co: nieprawda?

— Że zginęli. Uciekli, co? — nacierała Kasia gorącz kowo. — Pani May powiedziała, że uciekli przez kratę.

— Tak było — pokiwał głową stary Tom. — Drapnęł i po żwirowanej ścieżce podrałowali prosto na nasyp...

— Naprawdę? Sam pan to widział? Na pewno?

— Uspokój się — odparł stary Tom. — Widziałeir na pewno widzia...

Urwał i spojrzał badawczo na Kasię, tak jakby przypomniat sobie, że powinien być bardziej ostrożny.

— Niech pan opowie wszystko! Wszystko! — zawołała Kasia błagalnie.

— 28 —

Stary człowiek podniósł głowę i zerknął na sufit.

— Wiesz, kto to jest? — zapytał, przechylając swoim zwyczajem głowę w bok.

— Kto, pan Piórko? Wiem: adwokat.

— Pan Piórko, zgadza się. A co robi „piórko”? Pisze.

— Nie rozumiem — rzekła Kasia.

Stary człowiek westchnął i sięgnął po swój długi, ostry nóż.

— To, co powiem tobie, ty opowiesz pani May, a pani May opowie jemu, a on to wszystko spisze.

— Pani May nie opowie nikomu! — zapewniła solennie Kasia. — To jest osoba, która...

— To jest osoba, która go we wszystkim słucha, tak przynajmniej o niej ludzie mówią. I nie sprzecza

się ze mną. Takie czasy nastały, że człowiek nie będzie mógł umrzeć tam, gdzie sobie postanowił. A wiesz dlaczego? — zapytał, patrząc na Kasię. — Właśnie dlatego, że wszystko zostaje spisane...

Mówiąc to, jednym zręcznym ruchem tak przegiął pręt, że od razu złamał go wpół.

— A jeśli przyrzeknę, że nikomu nie powiem? — zapytała Kasia nieśmiało.

— Przyrzekniesz! — zawołał stary człowiek pogardliwie i wskazał palcem na sufit. — Jej dziadek stryjeczny, stary sir Montague, obiecał mi leśniczówkę. „Będziesz miał ten domek do końca życia, Tom” — powiedział. Obiecał! — powtórzył ze złością, tak jakby prychnąłym słowem. Obiecanki cacanki, a głupiemu radość!

Oczy dziewczynki napętniły się łzami.

— Dobrze — szepnęła przez łzy. — Mniejsza o to! Niech pan nic nie mówi, wcale mi na tym nie zależy.

— 29 —

• » »f

r«*j

Widząc, że dziewczynka ma łzy w oczach, stary Tom zmiękł.

— No, uspokój się, mała! Przestań płakać — poprosił ją, zaskoczony i zaniepokojony jednocześnie.

Lecz Kasia, ku swemu wstydowi, nie mogła już pohamować płaczu. Łzy spływały po jej policzkach, a prz^ końcu noska czuła ciepłe łaskotanie, jakby miał za chwilę spuchnąć.

— Chciałabym tylko wiedzieć — wyszeptała, szukając gwałtownie w kieszeni chusteczki do nosa — czy im się udało... I jak sobie poradzili... I czy znaleźli norę] borsuka...

— Znaleźli norę borsuka — pośpieszył uspokoić ją stary Tom. — A teraz uspokój się, przestań płakać, ma-j lutka!

— Za chwilę... przestanę — zapewniła Kasia, wycierając< sobie nos.

— Posłuchaj, dziewczynko... Otrzyj oczki, wytrzyj nos, a stary Tom coś ci pokaże.

I mówiąc to, wstał z dywanu i niezgrabnie nachylił się nad nią, rozkładając ręce jak wielki ptak skrzydła.

— Pokażę ci coś, co cię zainteresuje. Zadowolony jesteś?

— Zadowolona — powiedziała Kasia i wytarła chusteczką nos i oczy, chusteczkę schowała do kieszeni i uśmiechnęła się. — Już nie płaczę.

Stary Tom podniósł głowę, popatrzył na sufit i przez chwilę nasłuchiwał: kroki jakby zbliżały się w stronę] schodów.

— W porządku — wyszeptała Kasia, nie mogąc doczekać się chwili, kiedy pokaże jej to, co obiecał.

— 30 —

Tom Pocziwiec sięgnął do kieszeni i wyjął z niej pogięte blaszane pudełko, takie, w jakich sprzedaje się tytoń fajkowy, i swymi sękatymi palcami uniósł niezgrabnie ugniecione wieczko. Ciężko oddychając wytrząsnął z o-twartego pudełka jakiś malutki przedmiot.

— Patrz — rzekł, pokazując Kasi na swej stwardniałej dłoni maleńką książeczkę.

A gdy Kasia ostrożnie wyciągnęła rękę, wyjaśnił z uśmiechem:

— To dzienniczek Arietty.

Tego Kasia domyśliła się od razu, zanim jeszcze ujrzała napis ze spłowiątych złożonych liter: „Diariusz” i „Księga przysłów”. Spomiędzy zniszczonej oprawy wypadły kartki, zapisane atramentem, ołówkiem czy też sokiem roślinnym — tym, co Arietta miała akurat pod ręką — wyblakłe i dziwnie pożółkłe. Na jednej z nich, opatrzonej datą „31 sierpnia”, Kasia przeczytała słowa: „Ziemia jest najlepszym schronem”, a pod tym nie ulegającym wątpliwości stwierdzeniem informację: „Straszliwe trzęsienie ziemi w Charleston, USA, r. 1866” — i na tej samej kartce nabazgrane nieudolnym pismem Arietty trzy zapiski, jeden po drugim:

„Pająki w spiżarni”.

„Dorocie w kuchni rozlał się garnek z zupą. U nas zaciek na suficie”.

„Rozmowa ze Spillerem”.

„Kto to jest Spiller? — zastanawiała się Kasia. — 31 sierpnia? To musiało już być po tym, jak opuścili »Stokrot-kę«”.

Na chybił trafił przerzuciła wstecz kilka kartek.

„Matka w złym humorze. Coraz bardziej tetryczeje”.

— 31 —

• * %ą

r«*j

„Nawlokłam zielone paciorki”.

„Wdrapałam się na żywopłot. Jajka do niczego”.

Arietta wdrapała się na żywopłot? Widocznie szukał gniazd ptasich, chciała wybrać jajka, ale były „do

niczego'^ Kasia rzuciła okiem na datę: sierpień. Motto na ten dzie głosiło: „Nie trzymaj dwóch srok za ogon, bo nie utrzymas żadnej”.

— Skąd pan ma tę książeczkę? — zapytała Kasia, a ci kawość aż ją paliła.

— Znalazłem — odparł stary Tom krótko.

— Ale gdzie?

— Tutaj — i stary człowiek zerknął w kierunku korni ka.

— W tym domu? W leśniczówce? — zawołała Kasia z niedowierzaniem i nagle przypomniały jej się słowa pan Piórko: „Stary Tom to największy kłamczuch w całe okolicy”.

Ale przecież trzymała w swoim ręku niezbity dow prawdy: dzienniczek Arietty!

— Chcesz, żebym pokazał ci coś jeszcze? — zapytał s człowiek nieco stropiony, tak jakby odgadł jej uk myśli. — Chodź!

Kasia poszła za nim jak urzeczona. Razem zbliżyli się kominka.

Tom pochylił się i głośno dysząc, podniósł z trudenj ciężkie drewniane pudło. Gdy przesunął je na bok, z głośn nym traskiem odpadła jedna z desek tworzących boazerię Stary człowiek podniósł głowę, wystraszony, i zaczął nasłul chiwać. Kasia nachyliła się i zobaczyła, że deska był wyłobiona u dołu i miała półokrągły łukowaty otwór jał drzwi w gotyckim kościele.

— 32 —

im::

— Widzisz? — zapytał Tom Pocziwiec, wciąż jeszcze głośno dysząc. — Ten otwór prowadził prosto do zmywal-ni; z tej strony mieli ogień, a z tej wodę. Żyli tu sobie i dobrze im było.

Kasia uklękła i zajrzała w głąb kominka.

— Tutaj? — zapytała z niedowierzaniem. — Tutaj? W pańskim domku?

I głos jej się załamał.

— W leśniczówce mieszkała... Arietta? I Dominika? I Strączek?

— Tak — potwierdził stary Tom. — Wszyscy tu mieszkali.

— A więc nie zamieszkali na polu, pod gołym niebem... Tak jak Arietta tego pragnęła?

— Mieszkali na polu także — stary Tom zaśmiał się krótko. — Jeśli można to nazwać mieszkaniem. Ale spójrz tu — podjął znów po chwili z ledwo ukrywaną dumą w głosie — przechodzili przez ścianę pomiędzy deską a tynkiem. Widzisz? — wskazał zardzewiałą rurę. — Biegnie od zbiornika na

poddaszu prosto do zmywalni. Włączyli się do rurociągu w sześciu różnych miejscach — i ani jedna kropla wody nie przeciekła na zewnątrz!

Milczał przez jakiś czas, zajęty widocznie wspomnieniami z przeszłości. Po chwili umocował deskę w ścianie, a pudło postawił z powrotem na miejsce.

— Latami tu mieszkali — rzekł, prostując się i otrzepując ręce z kurzu.

— Ale kto? — rzuciła Kasia jednym tchem, gdyż kroki brzmiały już na podeście schodów i pani May z panem Piórko lada chwila mogli nadejść. — Chyba nie sami? Przecież pan mówił, że znaleźli norę borsuka.

Allso ldi> W

— 33 —

• * v

I

— Tak jest, znaleźli norę borsuka — potwierdził star) Tom i znów się roześmiał.

— Ale skąd pan wie? Kto panu to powiedział? — dopytywała się Kasia, aż drząc z podniecenia.

Stary człowiek wrócił na swój zydel, wybrał pręt do strugania i z denerwującą powolnością wypróbował ostrze noża na paznokciu.

— Ona mi powiedziała — rzekł w końcu, łamiąc pręt m trzy części.

— Chce mi pan wmówić, że rozmawiał pan z Ariettą? -Kasia była tak rozdrażniona, że aż podniosła głos.

Tom Pocziwiec odrzucił głowę w tył i podniósł brwi ostrzegawczo. Kroki zbliżały się, słychać było wyraźne stąpanie po drewnianych stopniach.

— Trudno to nazwać „rozmową” — rzekł półgłosem. — Trzeba było czekać, aż sama zacznie mówić, i nie przerywać jej, dopóki nie skończy.

Kasia wytrzeszczyła oczy. Gdyby nagle coś ciężkiego runęło jej na głowę, nie byłaby bardziej zaskoczona.

— W takim razie... opowiedziała panu wszystko? — wyszeptała i czekała na odpowiedź z zapartym tchem.

Stary Tom przyłożył palec do ust na znak milczenia.

Pani May i pan Piórko, sądząc z odgłosu ich kroków, zeszli już ze schodów i wstąpili raz jeszcze do zmywalni, na dodatkowe oględziny.

— Dwie wmontowane miednice — dobiegł ze zmywaln głos pana Piórko, rzeczowo wyliczającego inwentarz.

— Zakradała się tu co wieczór... — wyszeptał stary Tom tajemniczo, wpatrując się w palenisko.

. I Kasia ujrzała oczyma wyobraźni taki oto obrazek: samotny chłopiec siedzi w jasno oświetlonym pokoju, a gdzieś

— 34 —

r

w kącie, w zakamarkach pokoju, prawie niewidoczna w cieniu, malutka istotka przycupnęła być może na pudełku od zapalek. Zdawało jej się, że słyszy cichutki, monotonny głosik zlewający się z ciszą, tak samo, jak zlewa się z ciszą bulgotanie wody gotującej się w czajniku lub tykanie zegara — i tak co wieczór, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem, może nawet rok za rokiem... Kasia nie odrywając zdumionych oczu od twarzy starego Toma nawet wtedy, gdy pani May i pan Piórko weszli do pokoju — zrozumiała: to Arietta opowiedziała Tomowi wszystko!

m

11 |

!

• • • •

ROZDZIAŁ CZWARTA

„Żadna opowieść nie traci przez to że została opowiedziana”

Zmarli poeci amerykańscy: Longfellow, r. 1881

Walt Whitman, r. 1891

(Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Ariettm

21 marccA

Wszystko to — myślała Kasia, leżąc w nocy w swyrH łóżeczku i słuchając nieustannego szumu wody w ruracli umywalni — stary Tom będzie musiał opowiedzieć ml z najdrobniejszymi szczegółami, tak jak jemu opowiedziała Arietta. Powiedział już tyle, że musi opowiedzieć i resz-j tę — chociaż boi się, żeby to nie zostało spisane”.

Ale ona nie powtórzy nikomu, postanowiła twardo, za nic na świecie, aż do końca życia (choć nie rozumiałaJ dlaczego właściwie Tomowi tak na tym zależy — przecież) wiedział chyba, że i tak uważają go za „największego kłam czucha w całej okolicy”). Najbardziej cieszyło ją to, że dają< jej dzienniczek Arietty, Tom nie zażądał zwrotu: miała g< przy sobie, schowany pod poduszką, a w dzienniczku prze cięż sporo było zapisków, choć nie wszystkie co prawd mogła zrozumieć. Niektóre były zbyt krótkie, po prost same tylko nagłówki, jak gdyby Arietta notowała dla pamięci jedynie daty. Ale kilka z nich brzmiało zagadkowo i tajemniczo... Tak będzie najlepiej — postanowiła Kasia, tknięta nagłą myślą — poprosi starego Toma, żeby jej wyjaśnił, co oznaczają niektóre nagłówki. „Co Ariet-

— 36 —

ta miała na myśli — zapyta go — pisząc na przykład: »Czarny człowiek«, »Matka ocalona«?”

Zrobi to zaraz jutro. W tym czasie, kiedy pani May będzie załatwiała swoje sprawy z panem Piórko czy też z zamówionymi robotnikami budowlanymi, hydraulikiem lub monterem, Kasia zostanie sama i zamiast na spacer pobiegnie do starego Toma Poczwiwa.

Tak się też stało. Czasami — jak to później Kasia opowiadała swoim własnym dzieciom — Tom udawał, że zupełnie go ta cała sprawa nie interesuje, i nie chciał wdawać się w żadne rozmowy na temat Arietty, ale bywały dni, gdy jakiś nagłówek w jej dzienniczku wskrzeszał wspomnienia i dodawał skrzydeł jego wyobraźni. Wówczas Kasia słuchała z zapartym tchem i nie mogła wprost opędzić się myśli, że stary Tom sam musiał być kiedyś Pożyczalskim. Pani May wyraziła się raz w ten sposób — Kasia dokładnie to

pamiętała — o swoim bracie. Tego jej brata Tom znał dobrze i przyjaźnił się z nim, chociaż był od niego o trzy lata starszy. Tak, na pewno byli w wielkiej przyjaźni. Rozumieli się doskonale: jeden był znany z tego, że lubił opowiadać różne niestworzone historie, bo był wielkim kpiarzem, a o drugim mówiono, że jest „największym kłamczuchem w całej okolicy”.

Kasia, dopiero gdy dorosła, zdecydowała się opowiedzieć, co działo się dalej ze Strączkiem, Dominika i małą Ariettą od owego strasznego dnia, kiedy to zostali wykadzeni spod kuchni i musieli pójść w świat, ażeby szukać dachu nad głową.

A oto ta opowieść, wiernie spisana. W co wierzyć, a w co nie, zdecydujcie sami.

>*•

• ! %•

*<*J

1

ROZDZIAŁ PIĄTY

„Krok za krokiem pniemy się w górę”

Otwarcie mostu tunelowego Wiktorii w Montrealu, r. 1861

(Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Arietty

25 sierpnia

Otóż zaczęło się od tego, że pobiegli w stronę klombi azalii, porośniętego wysoką trawą (tam gdzie przed kilkanaście miesięcy Arietta spotkała po raz pierwszy Chłopca) Sam diabeł chyba tylko wie, w jaki sposób przedarli się przez ten gąszcz, mówiła później Dominika. Ileż tu było owadów! Przez myśl jej nigdy nie przeszło, że może istnieć tyle rozmaitych gatunków! Jedne pełzały powoli lub tkwiły nieruchomo, uwieszone łodyżek, inne pędziły szybko; jakby je kto gonił, a jeszcze inne — te były najgorsze wytrzeszczały ślepią i tak się gapiły, że Dominika czuła się pod ich spojrzeniem jak sparaliżowana. Po chwili cofały się* nie odrywając jednakże od niej wzroku. Robiły wrażenie, mówiła Dominika, jak gdyby miały zamiar ukłuć ją boleśnie, ale w ostatnim momencie rezygnowały, choć nadal nie przestawały patrzeć na nią ze złośliwym uporem.

„Jakie to niegodziwe! — zżymała się w duchu Dominika. — Nikczemne stworzenia, nikczemne!”

Gdy przedzierali się tak we troje przez wysoką trawę, nagle opadła na nich chmura pyłku kwiatowego; zakrztuślili się, omal nie udusili. Napotykali na swej drodze i inne,

— 38 —

>••

'%:~

najrozmaitsze przeszkody: liście, na pozór miękkie i soczyste, lecz o tak ostro zakończonych brzegach, że kaleczyły im ręce. Prześlizgiwały się po skórze lekko jak smyczek skrzypiec, a pozostawiały bolesne zadrapania. Napotykali także suche jak słoma, skłębione łodyżki, które oplatały się wokół ich kostek i łydek, tak że potykali się i przewracali na murawę, a tu i ówdzie wpadali na rośliny z cienkimi jak włos, srebrzystymi kolcami, kłującymi i parzącymi niczym ogień. „Wysoka trawa... wysoka trawa...” — długo jeszcze potem dręczyła Dominikę po nocach ta zmora.

Ażeby dostać się do ogrodu, musieli przedrzeć się przez żywopłot z ligustru. Pod poczerniałymi krzakami leżały zeschnięte, zbutwiałe jagody i zwiędłe liście, tworzące szeleszczącą, wilgotną ściółkę. I tu także znalazły się jakieś straszne owady, wywracające się na grzbiet, skaczące albo pełzające powolutku.

Przebiec przez ogród było już o wiele łatwiej — ziemia tu była wygładzona i bez żadnych zasadzek, a widoczność aż po horyzont doskonała. Ale to właśnie groziło niebezpieczeństwem: skoro oni widzieli wszystko, równie dobrze sami mogli być widziani. Drzewa owocowe stały dość daleko jedno od drugiego, nie dawały więc cienia, w którym można by się ukryć. Z okna na pierwszym piętrze ktoś z łatwością mógłby ich dojrzeć i zapytać: „Co to tak się rusza, w ogrodzie? Tam, pod trzecim drzewem na prawo — jakby wiatr unosił liście. Ale przecież wiatru nie ma. Coś się rusza Jak ciągnięte na nitce. Jak na ptaka zbyt sztywne...”

Tego obawiał się Strączek i dlatego przynaglał Dominikę do pośpiechu:

— 39 —

« » *<

«*j

— Prędezej, prędezej!

— Och, nie mogę — jęczała. — Muszę usiąść na chwilę! Tylko na chwileczkę! Błagam cię, Strączku!

Lecz on był nieugięty.

— Nie wolno ci siadać! — mówił, chwytając ją za łokieć i popychając przed sobą. — Odpoczniesz dopiero w lesi! Weź matkę pod rękę z drugiej strony, Arietto, ale nil zatrzymujcie się ani na chwilę.

Gdy w końcu znaleźli się w lesie, usiedli od razu ni brzegu ścieżki, zanadto zmęczeni i wyczerpani, by mog| gdzieś dalej szukać lepszego ukrycia.

— Och, moi drodzy... — dyszała ciężko Dominika — | moi drodzy... moi drodzy...

Powtarzała te słowa machinalnie, gdyż myśli jej — ci można było poznać po rozbieganych oczach — zaprzątnię! te były czymś innym. Nie, nie zachowywała się ja! histeryczka. Starła się stanąć „na

wysokości zadania", tal^ musieli jej to przyznać.

— Nie ma sensu tak biec bez opamiętania — rzekła pJ chwili, gdy uspokoiła się trochę i zaczęła oddychać miarowo. — Nikt nas nie widział. Wszyscy myślą, że zostaj liśmy tam pod podłogą, jak w potrzasku.

— Nie jestem tego pewna — odezwała się Arietta. | Widziałam czyjąś twarz w oknie. Ktoś wyglądał z okn^ kuchni.

— Gdyby ktoś nas widział — upierała się przy swoijn Dominika — toby już nas gonili. To właśnie chciałanj powiedzieć.

— Tak, matka ma rację — przyznał Strączek.

— Dokąd my właściwie idziemy? I którędy? — zapytały Dominika, rozglądając się wśród drzew.

— 40 —

| #! • •

!*»•

.W&mK

r

Na jej usmolonym policzku widniała długa szramł a włosy zwisały w kosmykach.

— A teraz zobaczmy, co jest w tych tobołkach, którl zabraliśmy tak na łapu-capu — rzekł Strączek. — Pokaż tl pierwszą, co masz w swoim worku, Arietto.

Arietta rozwiązała worek, który zapakowała w pośpia chu na dwa dni przed tymi strasznymi wydarzeniami Wyłożyła zawartość na stwardniałe błoto obok ścieżki. Nał chylili się wszyscy troje: znajdowały się tu trzy małł zakrętki od fiolek po pigułkach, starannie nasadzone jedni na drugą, spory kawałek świeczki i siedem zapalek woskol wych, bielizna na zmianę i nie dokończony sweterek, któr| Dominika robiła na drutach (używając zamiast drutowi dwóch tępych igieł do cerowania) ze starej, dobrze spranej skarpetki, a na samym końcu największy skarb Ariettyj ołówek z karnetu i ukochany „Diariusz” z „Księgą przyj słów”.

— No i po co taszczysz takie niepotrzebne rzeczy? -^| zrzędził Strączek, rzucając gniewne spojrzenie na wielki tomisko, leżące na stosie jej ruchomości.

To samo pomyślała Arietta, widząc, jakie rzeczy wypakowuje Strączek. Była tu duża igła szewska, młotek zrobi ny z młoteczka od dzwonka elektrycznego i zwinięty kłębe sznurka — narzędzia do uprawiania rzemiosła, które na miętnie lubił. A jej pasja to literatura!

Oprócz narzędzi szewskich Strączek zabrał z sobą jedn ostrze nożyczek od manicure, ułamany kawałek

dzie cinnej laubzegi, żyletkę od maszynki do golenia, fiolek po aspirynie z zakrętką (do czerpania wody), mały zwite drutu izolacyjnego i dwie stalowe szpilki do kapelusza Krótszą podał Dominice.

— 42 —

> • •

— Przyda ci się — rzekł — jak trzeba będzie wspinać się pod górę.

Dominika zabrała swoje igły do robienia na drutach, resztkę nie sprutej skarpetki, trzy kostki cukru, palec od damskiej rękawiczki, związany od góry nitką i pełen soli i pieprzu (niestety, przemieszanych z sobą), garść okruszyn i kawałki suchara, pudełeczko od igieł gramofonowych, napełnione suchą herbatą, skrawek mydła i rurki do włosów, swoje własne (tych Dominika nigdy nie zapomniała).

Strączek spojrzął spode łba na tę osobliwą kolekcję.

— Wygląda na to, że zabraliśmy rzeczy nie najpotrzebniejsze — powiedział. — No, ale teraz nie ma rady, i tak już za późno. Schowajmy to wszystko z powrotem — mówił dalej i nie zwlekając pierwszy zabrał się do pakowania — i chodźmy stąd! Dobry pomysł miałaś, Arietto, zabierając z sobą aż trzy nakrętki. Przydadzą się.

— Wystarczy przecież, żebyśmy dostali się do nory borsuka — broniła się Arietta. — Ciocia Lucy ma na pewno całe gospodarstwo... musi w czymś gotować. Ona nam pożyczy.

— Nie ma takiej gospodyni, która miałaby garnki do pożyczania — orzekła Dominika, wrzucając z pośpiechem do worka resztkę skarpetki i zawiązując worek nitką niebieskiego jedwabiu do haftowania. — I jakież to można mieć gospodarstwo w norze borsuka? A w ogóle skąd ta pewność, że jest tam ciocia Lucy? Przecież wyszła z domu na spacer i odtąd wszelki ślad po niej zaginął.

— Mogła się przez ten czas odnaleźć — rzekł Strączek. — Już chyba cały rok minął.

— Co prawda — wyraziła pewne wątpliwości Arietta —

— 43 —

• » »<

trudno przypuścić, żeby ktoś wychodząc na spacer zabrał z sobą garnki.

— Nigdy nie mogłam zrozumieć — rzekła Dominika! wstając i wając w rękę worek, czy bardzo ciężki — i niJ gdy nie zrozumieć, choćby mi nie wiem kto próbował wytłumaczyć, co też wuj Henryk widział w tej pyszałkowatej Lucy, że postanowił się z nią ożenić. Właśnie z nią!

— Dość! — ofuknął ją Strączek. — Doprawdy, dość rozmów na ten temat.

Wstał i wspierając się na stalowej szpilce od kapelusza zarzucił sobie worek na plecy.

— No, jesteście już gotowe? — zapytał, oglądając zoi i córkę od stóp do głów.

- Serce ma nawet dobre, nie można powiedzieć —I ciągnęła Dominika niezrażona. — Ale z jaką wyższością daje innym do zrozumienia...
- Jak jest z waszym obuwiem? — przerwał jej Strą-j czek. — Trzewiczki macie wygodne?
- Tak — odparła Dominika. — Przynajmniej chwilowo — dodała.
- A twoje, Arietto?
- Moje są bardzo wygodne.
- Czekaj, nas jeszcze długa droga — wyjaśnił Strą-j czek. — Teraz już bez wielkiego pośpiechu. Ale przystawać także nie możemy. I nie gadać za dużo. Zrozumia-1 łyście?
- Zrozumiałyśmy — odparła Arietta.
- Trzeba mieć się cały czas na baczności — mówił dalej Strączek, gdy ruszyli w drogę ścieżką leśną. — Jeśli zauważycie jakieś niebezpieczeństwo, dajcie mi znać. Tylko bez
- 44 —

>••

paniki, moje drogie. Żadnego uciekania w bok, na swoją rękę. I żadnych krzyków, pamiętajcie!

- Wiem — burknęła Arietta z rozdrażnieniem, poprawiając swój worek.

I przyspieszyła kroku, tak jakby chciała znaleźć się możliwie najdalej od ojca i nie słyszeć jego uwag.

. — Zdaje ci się, że wiesz — zawołał Strączek idąc w ślad za nią. — Tak naprawdę to ty nic nie wiesz. Nie masz pojęcia, co to znaczy „kryć się”. Twoja matka także tego nie potrafi. Kryć się trzeba umieć, należy się w tym ćwiczyć, to wielka sztuka...

- Wiem — powtórzyła Arietta — już raz mi mówiłeś. Rzuciła okiem w bok ścieżki, w cienistą gęstwinę

zarośli. Na jednej z gałęzi spostrzegła pająka wiszącego na niedostrzegalnej pajęczynie. Zdawał się w nią wpatrywać. Widziała przed sobą jego wielkie oczy. Zatrzymała się strwożona.

- Nie można nikogo nauczyć w ciągu pięciu minut — mówił Strączek dalej — tego, czego uczymy wieloletnie doświadczenie. To, co mówiłem ci tego dnia, kiedy zabrałem cię pierwszy raz na pożyczanie, nie stanowi nawet ABC tej nauki. Powiedziałem ci pokrótce tylko rzeczy najważniejsze, bo matka nalegała, żebym cię z sobą zabrał. No, i sama wiesz, do czego twoja lekkomyślność doprowadziła...

- Mój drogi — przerwała mu Dominika, zasapana, gdyż jak na jej możliwości maszerowali w zbyt szybkim tempie — po co wracać do przeszłości?

— Chodzi o to — odparł Strączek — że przeszłość to nic innego, jak doświadczenie, z którego należy się uczyć. A pożyczanie...

— 45 —

<y/

— Zęby na tym zjadłeś, Strączku — znów przerwała mł Dominika. — Masz za sobą długoletnią praktykę, a Arietta była na pożyczaniu tylko jeden raz, pierwszy i ostatni... 1

— Właśnie to mówię — Strączek podniósł głos z rozpal czliwym uporem. — Chciałbym nauczyć was obie kryć się! a Arietta zna zaledwie ABC.

— Uważajcie! — krzyknęła ostrzegawczo Arietta, wyl przedzając Strączka i Dominikę o dobrych parę kroci ków.

W pobliżu rozległ się ostry, chrapliwy głos. Na ścieżka padł cień — i nagle Strączek znalazł się oko w oko z wielkim czarnym gawronem.

Ptaka gapił się na niego, trochę nieufnie, stojąc z otwartym dziobem. Strączek znieruchomiał z przerażenia, wrosły w ziemię niby mały, przysadziasty grzybek. Gawron, zacieł kawiony, obrócił łepkę na bok i zmierzył Strączka od góry do dołu jednym okiem. Osłupiały Strączek wytrzymał to spojrzenie. Gawron wydał jakiś dziwny głos — coś pośredniego między mručeniem a beczaniem — i przybliżył się do niego o parę kroków, wyraźnie zaniepokojony. Strączek nie cofnął się, stał jak skamieniały; wreszcie] przewyciężając lęk, przemówił z całkowitym spokojem:

— Wracaj, skąd przyszedłeś! Idź sobie! Zaskoczony ptak zatrzepotał skrzydłami.

— Zmykaj, mówię ci! — Strączek nabierał coraz więcej odwagi. — Ohydne ptaszysko!

Gawron słuchał tych słów jakby z niedowierzaniem.

— Precz! Precz! — krzyknął nagle Strączek, ruszając prosto na niego. — A sio! A sio! Wynocha!

Teraz gawron wystraszył się na dobre. Z gardła jego

— 46 —

wydobył się stłumiony wrzask; nie zwlekając rozpostarł skrzydła i odleciał.

Strączek otarł czoło rękawem, a Dominika, blada jak ściana i drżąca z przerażenia, wyczołgała się spod liścia naparstnicy, pod którym siedziała ukryta.

— Och, Strączku! — wysapała z trudem. — Jesteś bohaterem! Byłeś po prostu wspaniały!

— Cóż w tym nadzwyczajnego? — odparł Strączek z udaną skromnością. — To tylko sprawa opanowania. Trzeba umieć władać swoimi nerwami.

— Ale jakie to ogromne ptaszysko! — zawołała Dominika. — Nigdy byś się nie domyślił, jakie ma rozmiary, widząc go tylko w locie!

— Rozmiary nie są takie straszne — rzekł Strączek — ale ten głos!

W tym momencie zjawiała się Arietta — wysunęła się z dziupli drzewa, poprawiając sobie naprędce włosy. I zaraz przybiegła do ojca, i zarzuciła mu ręce na szyję.

— Za co tak mnie całujesz? — zapytał Strączek, uwalniając się łagodnie z jej uścisków.

— Och, tatusiu, zasługujesz na medal! Tak dzielnie stawieś czoło niebezpieczeństwu!

— Jeśli już stajesz oko w oko z niebezpieczeństwem, musisz stawić mu czoło — rzekł Strączek pouczająco. — Ale chodzi o to, żeby zapobiegać podobnym sytuacjom, moje dziecko. Trzeba umieć kryć się, ciągle to powtarzam! Jednakże — poklepał ją pieszczotliwie po rękę — muszę przyznać, że matka i ty wykazałyście dużą przytomność umysłu. Jestem z was dumny. Ale na przyszłość pamiętaj, córeczko: żadnych dziupli! Dziurawe pnie drzew nie zawsze

— 47 —

WL

są puste — rozumiesz chyba, co mam na myśli? — i nikt łatwiejszego niż wpaść z deszczu pod rynnę...

Szli i szli przed siebie dróżką, wydeptaną przez robotników, którzy kopali rów do przewodów gazowych. Dróżka biegła najpierw przez jedno pole, potem przez drugie, przez łąkę, pastwisko, a potem pięła się wzdłuż stopniowo! wznoszącego się wzgórza. Przemknęli pod szczeblami poziomo leżącej, pozostawionej przez robotników drabiny i szukali suchych miejsc na pastwisku, 'przeskakując z jednego śladu kopyt zwierzęcych na drugi. W jednej z kolein!

znajdowało się zagłębienie, niby lej wypełniony wodą i Dominika, uginając się pod ciężarem swego worka pośliznęła się, upadła i skaleczyła sobie kolano.

Na drugim polu, w miejscu gdzie rura gazowa zakręcała! w lewo, Strączek zatrzymał się na chwilę i zdecydował, że nie muszą iść dalej wzdłuż przewodu gazowego, lecz mogą wejść na ścieżkę biegnącą pod żywopłotem.

— To już niedaleko — uspokajał Dominikę, gdy błagała go o chwilę wypoczynku — ale nie wolno nam się nigdzie! \

zatrzymywać. Widzicie przełaz? — wskazał w kierunku horyzontu. — Musimy tam dotrzeć koniecznie przed zachodem słońca.

Powlekli się więc dalej, a Dominice ten ostatni odcinek drogi wydawał się najuciążliwszy. Jej zmęczone nogi poruszały się automatycznie, jak nożyce, a plecy przytłaczał ciężar naładowanego worka. Obawiała się, że siły ją lada chwila opuszczą.

Ariettę niosły jej lekkie nóżki szybciej niż matkę. Ale jej upragnionego przełazu nie mogła dostrzec, tak był

dale- ; ko. Szła ze spuszczoną głową, nie odrywając oczu od ! ziemi.

i

— 48 —

Wreszcie znaleźli się na szczycie wzgórza. Po prawej stronie, daleko za polami obramowanymi krzakami leszczyny, ciągnął się las, a na wprost, aż po sam widnokrąg, falowało zboże. Zachodzące słońce rzucało ukośne cienie drzew.

Stali i patrzyli, przytłoczeni ogromem tej przestrzeni, rozciągającej się pod różowiejącym niebem. Na tym nieogarnionym obszarze, ni to morza, ni to stepu, popręgowanym coraz to wydłużającymi się cieniami, znajdowała się wysepka złożona z kilku drzew, już przyćmionych zapadającym zmierzchem.

— To tu — rzekł Strączek uroczyście, wskazując na pole. — Majowy Chrabąszcz nad Potokiem.

— Jaki chrabąszcz? — spytała Dominika, zaniepokojona.

— Majowy Chrabąszcz nad Potokiem. Wiesz przecież — taką nazwę nosi pole, gdzie mieszkają Henrykowie.

— I tam jest nora borsuka? — spytała Dominika.

— Tak — odparł Strączek, rozglądając się dokoła. Zmęczona twarz Dominiki w złotawym świetle zachodzącego słońca wyglądała jak żółta.

— Ale gdzie to jest? — zapytała. Strączek zrobił nieokreślony ruch ręką.

— Gdzieś tutaj... Na tym polu w każdym razie.

— Na tym polu... — powtórzyła Dominika głucho.

I utkwiała wzrok w kępce drzew ciemniejących na skraju pola.

— Będziemy szukali — rzekł Strączek niepewnie. — Pójdziemy chyba prosto przed siebie... jak myślisz?

— A ja sądziłam, że ty wiesz dokładnie, gdzie to jest.

! — Pożyczabcy id^ w świat

— 49 —

• » »'

**j

ty/'

Głos Dominiki brzmiał ochryple. Arietta stała pomiędzy! rodzicami, ale nie odzywała się ani słowem.

— W najgorszym razie — podjął Strączek po chwili -J przenocujemy tu, gdzie teraz jesteśmy, a do

poszukiwali weźmiemy się jutro rano.

— A gdzie jest ten potok? — zainteresowała się nagiej Arietta. — Podobno jest tu gdzieś jakiś potok.

— Musi być niedaleko... może w pobliżu żywopłotu...! albo może tam, gdzie widać ciemniejszą zielen... Zdaje! mi się, że gdzieś coś szemrze... Słyszysz?

Arietta nasłuchiwała przez chwilę.

— Być może — rzekła bez większego przekonania, a poi chwili dodała: — Pić mi się chce.

— I mnie także — odezwała się Dominika.

Stała bez ruchu, z opuszczonymi rękami, bezsilna —J wyglądała jak piłka gumowa, z której wypuszczono po-J wietrze.

— Przez cały czas, gdy tak wspinaliśmy się na to wzgó-J rze, krok za krokiem, mówiłam sobie: „To nic, najważ-| niejsze jest to, że jak tylko dotrzemy do nory borsuka,! usiądziemy i będziemy mogli napić się dobrej, gorącej! herbaty". Ta myśl trzymała mnie przy życiu.

— Herbatę możemy zrobić zaraz — ożywił się Strą-j czek. — Arietta ma zapalki.

— I jeszcze coś ci powiem — rzekła Dominika — nu pójdę przez to pole na przełaj za nic na świecie. Moimi zdaniem powinniśmy trzymać się żywopłotu...

— I ja też tak myślałam — odparł Strączek. — Borsuki nie kopią nor na środku pola. Będziemy badali teren syste-j matycznie kawałek za kawałkiem. Rozpocniemy jutro od samego rana. Słońce już zachodzi, niezadługo się ściemni.]

— 50 —

A w nocy niedobrze kręcić się po nieznanej okolicy. Lepiej położymy się wcześniej. Co jak co, ale spać będziemy tej nocy doskonale.

— Ale gdzie? Zanosi się na deszcz — rzekła Arietta, wpatrując się w niebo. — Chmurzy się... i to bardzo.

— Zanosi się na deszcz? — powtórzyła Dominika wystraszona.

— Chodźmy stąd w takim razie — rzekł Strączek, poprawiając swój worek na plecach. — Daj mi twój także, Dominiko, będzie ci lżej iść.

— W którą stronę? — zapytała Arietta.

— Chodźmy w tym kierunku, gdzie szumi potok — odpowiedział Strączek. — I przesuwajmy się pod żywopłotem. Jeśli nawet nie zdążymy przed deszczem, to przynajmniej nie zmokniemy. Żywopłot nas osłoni.

— Co warta jest taka osłona... — jęczała Dominika, przedzierając się z wysiłkiem przez kępkę trawy. — Uważajcie, moi drodzy, tu są pokrzywy!

— Widzę — odparł Strączek. — A tam jest dziura. Spójrz! Pod tym korzeniem.

Po chwili Dominika znalazła się obok niego.

— Boję się... boję się... może w tej dziurze coś siedzi?

— Bądź cierpliwa — uspokajał ją Strączek. — Dojdziemy tylko do żywopłotu i ...

— Żywopłot nie będzie dobrą osłoną — powiedziała Arietta.

Wyprzedziła rodziców, a tu, gdzie szła, trawa nie była ani tak gęsta, ani taka wysoka.

Wystawiona na podmuchy chłodnego wiatru, Arietta drżała z zimna.

— 51 —

— Chmury nadciągają... są coraz bliżej!... — zawołał ła. — Zaraz zacznie padać.

— Lada moment zrobi się ciemno — rzekł Strączek. — Nie oddalaj się od nas, Arietto. Jeszcze się zgubisz!

— Nie zgubię się na pewno. Ale z tego miejsca lepiej widać. O! — zawołała nagle. — Jakiś stary but! Może narój się przyda?!

— Co takiego? But? — zapytała Dominika z niedowierzaniem.

— Gdzie? — zainteresował się Strączek.

— Tu, na lewo. Blisko ciebie. Ukryty w trawie. Strączek zatrzymał się i rzucił z pleców oba worki.

— Jakiś stary but! — skrzywiła się pogardliwie Dominika. — Co nam z tego? Dlaczego zatrzymujesz się, Strączku? Czyś ty rozum stracił? Oj, pada!

Wielkie krople deszczu za-bębniły po wysokiej trawie.

— Schowajcie się pod liściem szczawiu! — zakomenderował Strączek. — A ja się tymczasem rozejrzę...

— Stary but... Po co nam stary but? — zrzędziła Dominika.

Lecz obie z Ariettą posłusznie przycupnęły pod liściem końskiego szczawiu. Krople deszczu, spadając na koły szący się liść, wydawały odgłos bardziej zbliżony do bębnienia niż do zwykłego chlupotu wody.

— Słyszysz? Słyszysz, Arietto? Przysuń się do mnie, dziecko, będzie ci cieplej. Boję się, żebyś się nie przeziębila. Ojej, ojej, leje mi się na głowę! Co za deszcz!

— Musimy wyjść spod tego liścia — zawołała Arietta energicznie. — Tatuś nas woła... Nie słyszysz, mamó?

Dominika wynurzyła się spod mokrego liścia i rozej-

— 52 —

rzała wokoło. Z trudem dostrzegła w oddali Strączka, przesłoniętego mglistą kurtyną ukośnych strug deszczu.

„Zupełnie jak w tropikach” — przeleciało przez myśl Ariecie.

Przypomniało jej się to, co czytała w „Słowniku geograficznym” ze swej biblioteki, o dzielnym podróżniku, walczącym nieustraszenie z żywiołami, o bagnach w dżungli, o parujących lasach... Ten słynny podróżnik nazywał się Livingstone — przypomniała sobie to nazwisko — i dłuższy czas przebywał w tropikach.

— Po co tatuś nas woła? — denerwowała się Dominika. — Przecież nie można iść dalej. Taka ulewa! Przemokniemy do suchej nitki!

— A jednak musimy iść, mamó — perswadowała jej łagodnie Arietta.

Ujęła matkę za rękę i pociągnęła za sobą. Pobiegły pochylone, ogłuszone strumieniami lejącej się z góry wody. Ślizgając się i potykając dotarli do Strączka, a on rzucił zdyszonym głosem, żeby nie przystawały, tylko szły za nim.

Torowali sobie drogę przez coraz gęstszą trawę, co Arietta znów nazwała w myśli „przedzieraniem się przez dżunglę”.

— Tu jest but — rzekł wreszcie Strączek. — Włóżcie do środka.

But leżał na boku. Do wnętrza trzeba było się wczołgać. Dominika wzdragała się.

— Och, moi drodzy — jęczała swoim zwyczajem. — Och, moi drodzy... Co to za but? I kto go nosił?

— Czy ci nie wszystko jedno? — zniecierpliwiał się Strączek. — No, wchodź! Pośpiesz się!

— 53 —

***●

y*L

— Nie, nie! — broniła się Dominika. — Nie ruszę się ani

o krok... Boję się... Może tam coś jest przy samym nosku?

— Wszystko w porządku — zapewnił ją Strączek. — Sprawdziłem. Pod samym noskiem jest tylko

dziura. Właż!

I wrzucił oba worki do wnętrza buta.

— A ja jednak chciałabym wiedzieć, kto nosił tei but — upierała się Dominika, ocierając twarz mokrym fartuchem.

Ale w końcu dała się namówić i wszyscy troje znaleźli się we wnętrzu starego buta.

— I co ci z tego przyjdzie — rzekł Strączek — jeśli I będziesz wiedziała, czyj to but?

— To chyba ma znaczenie, czy właściciel buta był 1 schludny, czy brudas — i na co umarł? Przypuśćmy, że zmarł na jakąś chorobę zakaźną... co wtedy?

— Dlaczego miałby umrzeć? — rzekł Strączek. — Dla-1 czego na przykład nie przyszło ci na myśl, że jest zdrowi

1 cały, czysto umyty i siedzi w tej chwili przy her-I bacie?

— Herbata! — westchnęła Dominika z zazdrością. Och, jak mi się chce pić!

— Zaraz się zrobi. Daj zapaliki i świeczkę, Arietto rzekł Strączek do córki — i zakrętkę od aspiryny, śre niej wielkości. Ale herbatę musimy oszczędzać — rozumiecie same.

— Nie tylko herbatę — zgodziła się Dominika — ale wszystko, co mamy.

Po omacku dotknęła skóry buta.

— Wytarta — orzekła. — Ale jutro tak go wypucuję, że będzie błyszczał jak złoto.

— 54 —

>••,

»^»:

— Dobrze, że znaleźliśmy chociaż ten stary but — mówił Strączek, rozwiązując swój worek i wyciągając z niego ostrze nożyczek. — Przynajmniej mam) schronić się przed deszczem. I nie widzę powodu, żeby się niepokoić, Dominiko, na pewno jest czysty. Deszcz i słońce najlepiej dezynfekują.

Przesunął koniuszek ostrza nożyczek przez dziurkę od sznurowadła i przywiązał mocno kawałkiem sznurka.

— Po co to robisz, tatusiu? — spytała Arietta.

— Żeby móc postawić na tym zakrętkę — odparł Strączek. — To będzie coś w rodzaju rusztu, pod którym umieścimy świeczkę. Nie mamy przecież z sobą trójnoga. A teraz idź i napełnij zakrętkę wodą — deszczówki przecież nie brakuje!

Istotnie, deszczówki nie brakowało. Łało jak z cebra, lecz but leżał na boku i było w nim sucho. Arietta przechyliła liść rosnącej w pobliżu naparstnicy, tak żeby woda spływała wprost do zakrętki. Dokoła było ciemno i rozlegał się tylko jednostajny plusk deszczu, a odbłask świeczki palącej się we wnętrzu buta sprawiał, że ciemność wydawała się jeszcze czarniejsza. Ale za to pachniało tu czymś przyjemnym: tak pachnie ziemia, mokra trawa, mokre od deszczu liście. I jeszcze coś... Arietta pociągnęła noskiem. W pierwszej chwili nic mogła przypomnieć sobie. Ach, to przecież poziomki! Postanowiła sprawdzić z samego rana, czy się nie pomyliła.

Napili się gorącej herbaty, zjedli co najmniej połowę smacznego, słodkiego sucharka, po czym ściągnęli z siebie przemoczoną odzież i rozwiesili na owalnym uchwycie od ostrza nożyczek jak na wieszaku. Położyli się i przykryli wszyscy troje starą wełnianą skarpetką.

- 55 —

— Zabawne — zauważyła Arietta — jesteście w bucie...] i w skarpetce!

Strączek pilnował palącej się świeczki i martwił się, że] topnieje i ciągle jej ubywa. Gdy odzież trochę wyschła,] zgasił świeczkę.

Leżeli wszyscy troje zmęczeni, z workami pod głową, j i tulili się do siebie, żeby było cieplej. Ostatnim, dźwiękiem, jaki dotarł do świadomości Arietty, zanim] zasnęła, było bębnienie kropel deszczu po wytartej skórze] starego buta.

„Jakie drzewo, takie owoce”

Zakończenie wielkiego strajku kolejowego w Peorii, 1891 r. (Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Arietty, 26 sierpnia)

Arietta zbudziła się pierwsza. „Gdzie ja jestem?” — pomyślała. Było jej ciepło — nawet za ciepło, gdy tak leżała pomiędzy matką a ojcem. Ostrożnie podnosząc głowę, zobaczyła trzy plamy świetlne, zawisłe w powietrzu, jak trzy małe słońca. Po jakimś czasie zorientowała się, gdzie jest, i przypomniały jej się przeżycia wczorajszego dnia: szaleńcza ucieczka, bieg przez ogród, uciążliwe wspinanie się, ulewny deszcz — i dopiero wtedy uświadomiła sobie, że owe trzy słoneczne plamy to przecież dziurki od sznurowadła w starym buciu!

Uniosła się na postaniu i wychyliła poprzez brzeg buta. Wionęło na nią balsamiczną świeżością letniego dnia: ujrzała łan leciutko rozkołysanych traw, zalany blaskiem słońca. Niektóre trawki były przygięte w miejscach, przez które przedzierali się wczoraj, wlokąc za sobą worki. Oto żółty jaskier, lepki i lśniący — wygląda jak świeżo pomalowany. Po brunatnej łądyżce szczawiu sunie mszyca — zielonoseledynowa, o barwie tak delikatnej, że w słońcu wydaje się całkiem przezroczysta.

„Mrówki piją mleko mszyc — przypomniła sobie Arietta. — Może i my moglibyśmy także”?

— 57 —

*«*j

we

Ześliznęła się z posłania ostrożnie, żeby nie zbudzić śpiących rodziców, i boso, w samej haleczce i w lekkiej bluzce wyskoczyła na trawę.

Dzień był prześliczny, niebo czyste, omyte wczorajszym deszczem. Od ziemi szła orzeźwiająca woń.

„Tu jest właśnie to, za czym tęskniłam — pomyślała Arietta. — Tak sobie wyobrażałam świat. Wiedziałam, że istnieje, ale nie miałam nadziei, że kiedykolwiek zobaczy go na własne oczy”.

Idąc, rozgarniała rączkami drobne trawki, a krople rosy nagrzanej w słońcu bryzgały na nią łagodnie. Schodziła ze wzgórza w stronę płytkiego wykopu, tam gdzie wczoraj wieczorem deszcz i ciemność jakby się zmówiły, żeby napędzić jej strachu. Było tu ciepło i wilgotno, a żdźbła trawy szybko schły w słońcu. Były niższe niż te wczorajsze, które nazywała w myśli dżunglą. Nagle wyrósł przed nią nasyp, pełen poplątanych korzeni, niewielkich piaszczystych zagłębień, liści fiołków i delikatnych czerwonych kwiatków kurzyślady; a tu i ówdzie czerwieniały ciemno-pąsowe kulki: poziomki!

Arietta wbiegła na nasyp lekko i zwinnie. Jej bose stopki nie pozostawiały na wilgotnej ziemi śladów, jakie pozostawiłyby ciężkie stopy Człowieka.

Słońce grzało przyjemnie jej plecy przez bluzeczkę. Zerwała trzy poziomki, duże i soczyste, ułożyła się na ziemi tuż nad dołkiem przypominającym mysią dziurę i zapała się z zapalem do jedzenia. Z tego nasypu mogła ogarnąć wzrokiem całe pole. W dzień wyglądało inaczej niż w nocy, chociaż wydawało się nie mniej rozległe. Było dziwnie spadziste, a cienie także układały się dziś inaczej na lśniącej

— 58 —

»••

złotawo, zalanej słońcem trawie niż wczoraj wieczorem. Z daleka widniała stojąca samotnie grupka drzew: zdawały się płynąć w powietrzu nad murawą.

Arietta przypomniła sobie, że matka jej chorobliwie boi się otwartej przestrzeni.

„Ale przecież ja jestem sama — pomyślała. — Mogę przebiec przez to pole... mogę pójść, gdzie mnie oczy poniosą...”

Może tak samo właśnie myślała jej kuzynka Egglecina — córka wuja Henryka i ciotki Lucy — która, jak to rodzice opowiadali Ariecie, wyszła z domu i już nie wróciła. Podobno pożarł ją kot.

„Czy takie próby ucieczki — zastanawiała się Arietta — zawsze muszą kończyć się katastrofą? Czy

naprawdę, tak jak wbijali jej to stale do głowy rodzice, lepiej żyć pod podłogą w ciemności i nie mieć żadnych innych pragnień?"

Mrówki biegały po nasypie w nerwowym pośpiechu, zajęte swoimi, widocznie niezmiernie ważnymi sprawami; wysuwały trwożliwie delikatne czułki w kierunku łądyżek trawy, przystawały i jakby rozglądały się niespokojnie dokoła.

„Tak, one umieją korzystać ze swobody” — pomyślała dziewczynka.

Narwała sporo poziomek, a gdy się nimi pokrzepiła, weszła w cień żywopłotu: wszędzie nad nią piętrzyła się zieleń pocętkowana plamami słońca. W miarę jak podnosiła wzrok, widziała coraz wyżej i wyżej krzyżujące się w różne strony gałęzie: żywopłot oglądany od środka przypominał wnętrze katedry.

— 59 —

Arietta wskoczyła obiema nóżkami na jedną z niższych gałązek i rozhuściła się nad murawą. W chwilę później dała susa na wyższą gałązkę i tu się zatrzymała. Nie była to wcale trudne, łatwiejsze nawet niż wchodzenie po drabinie. Wdrapywanie się po drabinie tej wysokości byłoby! wyczynem nie lada, wymagającym odwagi i wytrzymałości, a poza tym nie ma chyba nic nudniejszego na świecie niż wspinanie się w górę ze szczebla na szczebel. Tutaj trzeba było wpierw badać nieznaną wysokość, zmieniać co chwila kierunek, wybierać najdogodniejsze przejścia! Jedne gałązki były suche i sztywne, pokryte spękaną łuszczącą się korą, inne znów lepkie od ożywczych soków; giętkie i odskakujące. Na tych Arietta zatrzymywała się dłużej, bujając się jak na huśtawce.

Jakże marzyła o takiej zabawie wówczas, gdy mieszkała pod podłogą!

„Przyjdę tu, jak będzie wiatr — postanowiła — i cały i krzak będzie się chwiać i kołysać jak żywy!”

Pięła się coraz wyżej i zatrzymała się dopiero wtedy, gdy znalazła stare, opuszczone gniazdo ptasie, całe wyjęte mchem i suchą trawą. Wsunęła się do gniazda, ułożyła w nim wygodnie i przechyłona przez jego krawędź zaczęła wyrzucać kłaczki zeschłego mchu. Widok kępek mchu przelatujących między splątanymi gałązkami żywopłotu przyprawiał Ariettę o rozkoszny zawrót głowy. Miała świadomość wysokości, na jakiej się znajduje, a jednocześnie poczucie całkowitego bezpieczeństwa. Zdawała sobie jednak sprawę, że gdyby zechciała pięć się jeszcze! wyżej, mogłaby spaść... i co wtedy?

„Spadłabym tak, jak te kępki mchu — pomyślała. — I co by się ze mną stało?”

— 60 —

> • •

_JL^"

« »

Ale gdy w chwilę później uchwyciła się obiema rączkami przyjaznych gałązek i gdy palce jej nóg rozprostowały się i przytrzymały kory, znów poczuła się beztroska i bezpieczna. Uświadomiła sobie, iż posiada wrodzone! zdolności do wspinaczki, zdolności, przez tak długi czas] nie ujawnione i nie wykorzystane.

„To przecież dziedziczne — pomyślała. — Ręce i nogi; Pożyczalskich są dłuższe w porównaniu z kończynami Człowieka. Gdyby nie to, czy mój tatuś umiałby ześlizgiwać się po fałdzie obrusa, wdrapywać się na firan! kę po frędzlach, przeskakiwać z biurka na fotel, odbija-jj jąc się do skoku przy pomocy szpilki, a potem tak lekko! dawać susa z fotela na podłogę? Tylko dlatego, że jestem! dziewczynką, a dziewczynkom nie pozwala się chodzić! na pożyczanie, rodzice wmówili mi, że ja tego nie potrafię”.

Zadarta głowę i ujrzała błękitne niebo poprzez siatkę liści — liści drżących i kołyszących się za lada potra-j cieniem. Stojąc w rozwidleniu gałązki, bujała się na niej przez dłuższą chwilę.

W pewnym momencie haleczka jej zahaczyła o cierni dzi-l kiej róży i rozdarła się z szelestem. Arietta bez trudu! wyciągnęła cierni z materiału i trzymała go na wycią-lgniętej na płask dłoni (był tej wielkości w stosunku do jej wzrostu, co róg nosorożca w stosunku do Człowieka).! Cierni ważył niewiele, jak na swoje rozmiary, ale był ostro! zakończony i mógł skaleczyć boleśnie.

„Zabiorę go z sobą — postanowiła Arietta. — Może! się nam przydać... może służyć... w razie czego... do! obrony”.

Podciągnęła się jeszcze raz i do połowy tułowia wysu-1

— 62 —

nęła się z żywopłotu. Oślepią blaskiem słońca zmrużyła oczy, patrząc przed siebie.

Wzgórza i doliny, pola i las drzemały w słońcu. Na sąsiednim pastwisku pasły się dwie krowy. Daleko pod lasem widać było myśliwego z fuzją na ramieniu. Z tej odległości nie był groźny. Widać było także dach dużego domu, zwanego „Stokrotką”, a nad nim dym unoszący się z komina. Na drodze, tam gdzie żywopłot się kończył, stał furgon z mlekiem. Słońce odbijało się w metalowych bańkach i nawet tu słychać było cichutkie pobrzękiwanie końskiej uprzęży.

Jakiż wielki ten świat, ileż w nim rozmaitych rzeczy do oglądania, ile cudowności... a tak niewiele brakowało, żeby Arietta nigdy nie ujrzała tych bogactw na własne oczy! Mogłaby żyć i umrzeć tak samo, jak liczni jej krewniacy żyli i pomarli — w mroku, w kurzu, w ukryciu, pod podłogą lub za boazerią.

Schodząc w dół Arietta znalazła właściwy rytm: najpierw dawała śmiałego susa na gałązkę, a gdy sprężysta gałązka odskakiwała w górę, dziewczynka lądowała miękko w gęszczu liści tworzących zbitą masę. Czuła instynktownie, że to dla niej najlepsza siatka bezpieczeństwa.

Gęste, skłębione liście rosły raczej po zewnętrznej stronie żywopłotu. Arietta ześliznęła się zwinnie na porośniętą trawą nasyp, a giętka gałązka, puszczona z nagła, uderzyła ją lekko w głowę.

Stanąwszy na ziemi dziewczynka obejrzała swoje ręce: na jednej z nich widać było spore zadrapanie. „Zahartują się za to” — pocieszyła się w myśli.

Włosy jej sterczały sztywno, przyprószone odłamkami

— 63 —

•>•

• * %!

kory, a na białej haftowanej hałeczce widniała wielka kropla rosy.

W pośpiechu zerwała jeszcze trzy poziomki, zawinęła je w liść fiołka, żeby nie poplamzić bluzeczki, i zbiegł z nasypu prosto w kępę wysokiej trawy.

W pobliżu buta stała Dominika, wystraszona i zafasflwana jeszcze bardziej niż zwykle.

— Ach, Arietto, gdzie ty się podziewasz? Śniadań! już dawno gotowe! Ojciec jest bardzo o ciebie niespokojny.

— Dlaczego? — spytała Arietta zdziwiona.

— Szukał cię, nie może się ciebie doczekać.

— Byłam tu niedaleko — rzekła Arietta. — Na żywopłocie. Trzeba mnie było zawołać.

Dominika przyłożyła palec do ust i rozglądając się bojaźliwie dookoła, wyszeptała:

— Wołać? Co też ty wygadujesz? Nie możemy robić najmniejszego hałasu, powiedział ojciec... Żadnego wołania! żadnego hałasowania, nic, co mogłoby ściągnąć na nas uwagę. Niebezpieczeństwo, powiedział tatuś, niebezpieczeństwo czyha ze wszystkich stron.

— To nie znaczy, że musicie mówić tylko szeptem — rzekł Strączek, wynurzając się nagle zza buta.

W rękę trzymał ostrze od nożyczek, którym kosił trawę i wytaczał dróżkę.

— Ale nie odchodź nigdy, Arietto, nie powiedziawszy uprzednio, dokąd idziesz, po co i na jak długo. Zrozumielaś?

— Nie — odparła Arietta przekornie. — Niezrozumiał! Bo przecież ja nie zawsze wiem, po co wychodzę. (Po co mi przykład wdrapywała się na żywopłot?) Gdzie ty jesteś?

— 64 —

i jakieś niebezpieczeństwo? Ja tam nie widzę żadnego! Chyba tylko te dwie krowy na pastwisku.

Strączek podniósł głowę i zamyślony patrzył w górę: na jasnym niebie zawisł prawie nieruchomo krogulec.

— Niebezpieczeństwo jest wszędzie — rzekł z wolna. — Nad nami i pod nami, za nami i przed nami.

!

i/

1K

N

\m-

«»• !

ROZDZIAŁ SIODMU

„Dmuchał przeciw wiatrowi”

I

Wyścigi wioślarskie Oxford — Harvard, r. 1869; (Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Ahettju

27 sierpniom

'Af//sf/y/yy/{y{/yy//yyysyyyss^^^

Uominika i Arietta siedziały przy śniadaniu, a StrączeB tymczasem zajął się swoimi sprawami: krążył zamyślony! wokół buta, oglądał go ze wszystkich stron, dotykał skóry ręką znawcy, najpierw przypatrywał mu się z blis-J ka, potem odstępował o krok i stał tak przez chwilę, mrużąc oczy. Wreszcie wyciągnął z wnętrza buta workii jeden za drugim, i poukładał je ostrożnie na trawie, pal czym wczołgał się do środka i żona i córka słyszały, jaki sapał i chrząkał, przyklękając i wstając na przemian! Odgadły, że mierzył, obliczał, badał i przeprowadza! staranną kontrolę szwów, spojeń i rodzaju ściegów, jakil mi but był zszyty.

Po pewnym czasie wysunął się z buta i usiadł obok Do^ miniki i Arietty na trawie.

— Zapowiada się skwarny dzień — rzekł zamyślony. —; Będzie dziś wielki upał.

Mówiąc to, poprawił krawat i ciężko westchnął.

— Coś ty tak oglądał, Strączku? — zapytała Do4 minika po chwili.

— Widziałas — odparł Strączek — ten but? Milczał przez chwilę, po czym powiedział:

— 66 —

'••-|* _____ fy.

— Nie należał ani do włóczęgi, ani do robotnika. Ten but — i przy tych słowach spojrzał na Dominikę — mu-sjał należeć do eleganckiego pana.

— Och! — westchnęła Dominika, przymykając oczy i wachlując się spotniałą dłonią. — Jakże się cieszę!

— Dlaczego, mamó — spytała Arietta z rozdrażnieniem — tak się z tego cieszysz? Cóż w tym byłoby złego, gdyby należał do robotnika? Tatuś też jest przecież robotnikiem, prawda?

Dominika uśmiechnęła się i pokiwała głową z politowaniem.

— Wszystko zależy od tego — rzekła — jaki to robotnik.

— Widzicie — powiedział Strączek — but jest ręcznie szyty, a tak delikatnej, starannie wyprawionej skóry nigdy jeszcze nie miałem w ręku.

Po chwili zwrócił się do Arietty:

— Rozumiesz, dziecko, taki elegancki pan dba o swoje obuwie, czyści je, smaruje pastą, a pasta jest tłusta. I robi to co dzień, nieraz całymi latami. Gdyby nie te zabiegi, but nie wytrzymałby tak długo, zniszczyłby go wiatr, deszcz, słońce i mróz. Eleganccy panowie drogo płacą za swoje obuwie, ale to warto.

— Masz rację — zgodziła się Dominika, potakując ruchem głowy, i zerknęła przy tym na Ariettę.

— Jeśli chodzi o dziurę przy nosku — ciągnął Strączek — mogę ją załatać kawałkiem skóry wyciętym z języka. Załatał tak, żeby wyglądało przyzwoicie.

— Szkoda czasu i atłasu! — wykrzyknęła Dominika. — Chciałam przez to powiedzieć, że szkoda pracy na tych

— 67 —

parę dni i nocy. Chyba nie jest z nami tak źle, żebyśm musieli zamieszkać w bucie — dodała, uśmiechając się z rozbawieniem.

Strączek milczał chwilę, po czym rzekł z powagą:

— Przemyślałem już wszystko...

— Przecież — mówiła Dominika niezrażona — mam tu, na tym polu, bliskich krewnych i chociaż trudn^o mi nazwać norę borsuka prawdziwym domem, jednak t^o coś już jest!

Strączek uniósł brwi wysoko w górę.

— Mówię ci — rzekł z naciskiem — przemyślałem ju wszystko. Krewni czy nie krewni, to nie ma znaczenia.. A jeśli chodzi o Człowieka, to powiedzcie, kto z nic widział kiedy jakiegoś Pożyczalskiego?

I spojrzał na Ariettę znacząco.

— Tak, prawda — odezwała się szybko dziewczynka. —j Chłopiec widział, ale...

— Otóż to! — podjął Strączek. — Wszystko stało się przez ciebie, Arietto, tyś rozmawiała z nim, co więcej szukałaś go bezwstydnie, jakbyś nie miała nic innego dcl roboty! A ja przecież mówiłem, przepowiadałem, co się z nami stanie: wygonią nas, wypędzą, sprowadzą na nas kota, szczurołapa, nawet policjanta! Miałem rację czy nie miałem?

— Miałeś — rzekła Arietta — ale...

— Nie ma żadnego „ale” — przerwał jej Strączek. —j Miałem rację, i koniec! A skoro miałem rację wtedy, to znaczy, że mam i teraz. Rozumiesz? Nie będziesz robił więcej głupstw, Arietto! I twoja matka także! Przez myślenie naszą sytuację, a to, co postanowiłem, na pewno jest słuszne.

— 68 —

.....~^

.....

«Tj»*

— Przecież ja nie robiłam żadnych głupstw, Strączku — broniła się Dominika potulnie.

— Powiem wam, co mi się nasunęło: Człowiek jest wysoki i chodzi szybko. Gdyby ktoś z nas stanął wyżej, też widziałoby więcej. Tak czy nie? Chcę przez to powiedzieć, że Człowiek wysokiego wzrostu nie patrzy na ziemię, niełatwo więc dostrzeże Pożyczalskiego... A co ważniejsze, Człowiek w ogóle nie wierzy, że Pożyczalscy istnieją, i dlatego nie jest dla nas taki groźny. Jeśli zaś chodzi o samych Pożyczalskich, to nawet ci, którzy mieszkają w domach i znają się nawzajem, tu, na polu, w tak dziwnym miejscu jak to, mogą mieć dostateczne powody, żeby unikać innych Pożyczalskich, i chowają się po norach przed sobą, podobnie jak przed Człowiekiem.

— Och, moi dro... — zaczęła Dominika, lecz westchnienie nie pozwoliło jej dokończyć.

— Przecież ruszamy się dość szybko — rzekła Arietta.

— Tak, nasze nogi poruszają się szybko, ale nogi Człowieka są dłuższe. Możesz sprawdzić po śladach na piasku, jaka jest długość jego kroku.

Po chwili zwrócił się do Dominiki:

— Nie martw się z góry. To nie znaczy, że nie odnajdziemy Henryków. Być może, znajdziemy ich już wkrótce. W każdym razie jeszcze przed zimą.

— Przed zimą... —jęknęła Dominika.

— Ale musimy tak postępować, jak gdyby nora borsuka w ogóle nie istniała. Nasze plany nie mogą od tego zależeć. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć, Dominiko?

— Tak, Strączku — odpowiedziała zgnębiona.

— 69 —

• * %!

— Powiedziałem wam już, że przemyślałem wszystko.! Jest nas troje i mamy tylko to, co jest w naszych! workach, no i ten but. Musimy spojrzeć prawdzie w oczy! i od tej chwili — dokończył uroczyście — zacznijmy żyć inaczej.

— Jak to: inaczej? — spytała Dominika.

— Tylko suchy prowiant. Żadnej gorącej hcrbatyj Musimy zachować świeczkę i zapałki na zapas, na zimę! Rozejrzyjmy się wokoło, czym będziemy mogli się żywić.!

— Aby tylko nie gąsienice! — zawołała Dominika! błagalnie. — Przrzekłeś mi to, Strączku! Za nic w świecie! nie przełknęłabym gąsienicy!

— Nie będziesz musiała — odparł Strączek — ani też ja! ci nie będę gąsienic przynosił. Znajdzie się mnóstwo innych! rzeczy do jedzenia o tej porze roku. A teraz wstańcie, moje! drogie, i spróbujemy, czy ten but da się ruszyć z miejsca.1

— Ruszyć z miejsca? — powtórzyła Dominika zaintrygowana, lecz obie posłusznie wstały.

— Widzicie sznurowadło? Jest dobre, solidne, naoliwione czy też może... nasmołowane, dlatego takie mocne! Nałóżcie, każda z was, jeden koniec na ramię i spróbujcie! ciągnąć but. Stańcie tyłem do niego — o, tak jak teraz..i i hajda w drogę!

Dominika i Arietta nałożyły na siebie uprzęż i ruszyły. But w pierwszej chwili podskoczył, ale potem zaczął sunąć równo po śliskiej trawie, i to tak szybko, że obie,] nie spodziewając się, iż będzie taki lekki, potknęły się i upadły.

— Utrzymać równowagę! — krzyczał Strączek, bieg-i nąc za nimi. — Starajcie się utrzymać równowagę! Prosto,! prosto... teraz dobrze, w porządku! Widzicie — mówił

— 70 —

>••

:• *«*j

dalej, gdy przystanąły na chwilę, ażeby zaczerpnąć tchu, a but został już przyciągnięty na skraj wysokiej

trawy — | jak to łatwo idzie! Jakby fruwał!

Arietta potarła ukradkiem bolące ramię i nic nie odpoi wiedziała. Dominika uśmiechnęła się nawet, na znak, że podziela radość Strączka i dumę z jego pomysłu.

— Siadajcie na trawie, moje drogie. Spisałyście się dzielnie. Zobaczycie, teraz wszystko pójdzie jak z płatka.j

Usiadły na trawie, a on stanął nad nimi i zaczął tonem wyjaśnienia:

— Mówiłem wam o niebezpieczeństwie: szczególnie ważne to dla ciebie, Arietto! Aczkolwiek musimy być dzielni — a mało kto umie zdobyć się na taką odwagę, jak twoja matka, gdy sytuacja tego wymaga — to jednak nie powinniśmy brawurować. Trzymajmy się swoich planów i nie traćmy głowy. Nie możemy pozwalać sobie na niepotrzebną stratę energii, na wdrapywanie się na przykład na jakieś żywopłoty, ot tak sobie, dla zabawy i nie możemy narażać się na żadne ryzyko! Mamy swoje plany i musimy się ich ściśle trzymać. Rozumiecie?

— Tak, tatusiu — szepnęła Arietta potulnie, a Dominika pokiwała parę razy głową.

— Ojciec ma rację — rzekła po chwili.

— Każdy powinien mieć wytknięty przed sobą jakiś cel — mówił Strączek — a nasz cel jest wiadomy: mamy znaleźć norę borsuka. A jak się do tego zabierzemy? Pole jest bardzo duże — gdybyśmy szli przed siebie, zabrałoby to nam sporą część dnia, nie mówiąc już o tym, ile czasu pochłonęłoby zagłębienie do każdej dziury. Zmęczilibyśmy się okropnie wszyscy troje, a do tego nie możemy do1 puścić. Powiedzmy, że udałbym się na poszukiwania j

— 72 —

*

Sam, bez was — ale wówczas matka nie miałaby ani chwili spokoju, dopóki bym nie wrócił: wyobrażałaby sobie, że stało się ze mną coś najgorszego. A jeszcze nie wiadomo, czy i ty byś się nie wymknęła matce, Arietto. powstałoby tylko wielkie zamieszanie, a w rozgardiaszu robi się dużo głupstw... no, i o wypadek nietrudno! Otóż, mam taką myśl — zamilkł na chwilę, ale potem znów zaczął mówić: — Obejdziemy najpierw całe pole dokoła, poczynając od płotu...

— Żywopłotu — poprawiła Arietta bez namysłu.

— Słyszałem, co powiedziałaś, Arietto — rzekł Strączek spokojnie. — Ale, moje dziecko, istnieją płoty i żywopłoty, a ja właśnie miałem na myśli płot.

Chętnie udzielał córce informacji, które mogły jej się w życiu przydać.

— Przepraszani — wymamrotała Arietta, czerwieniąc się po uszy.

— Otóż, jak już powiedziałem — mówił dalej Strączek — będziemy badali pole systematycznie,

będziemy penetrowali żywopłot — przy tych słowach spojrzał znacząco na Ariettę — i będziemy nocowali, gdzie popadnie, dzień tu, dzień tam, zależnie od tego, gdzie znajdziemy odpowiedni dołek czy zagłębienie. Na tym polu znajduje się sporo wzniesień i nasypów, a łatwo przewidzieć, że nora borsuka nie może znajdować się na wzniesieniu — będziemy je więc omijali. Widzisz zatem, Dominiko, że nie moglibyśmy przeprowadzać dokładnych badań terenu, gdybyśmy mieszkali stale w jednym i tym samym miejscu.

— To znaczy — zapytała Dominika z niepokojem — że musimy ciągnąć cały czas ten but?

— Nie jest chyba taki ciężki? — spytał Strączek.

— 73 —

• » %!

— Naładowany naszymi rzeczami będzie dość ciężki, gj

— Trawa jest przecież śliska — zauważył Strączek.

— A pod górę? — zapytała Dominika z rosnącym niepokojem.

— Tu, na skraju pola, teren jest płaski — wyjaśnił Strączek spokojnie. — Potem wznosi się nieco w górę, ale wzdłuż strumienia znów jest płasko. Jeden skok — i droga prowadzi w dół...

— Hm — bąknęła Dominika, najwidoczniej niezbyt przekonana.

— Proszę cię bardzo — rzekł Strączek — powiedz, co masz na myśli. Chętnie wysłucham innych propozycji.

— Czy Arietta i ja będziemy musiały ciągnąć ten but cały czas same?

— Co też ty opowiadasz! — obruszył się Strączek. — Będziemy ciągnąć wszyscy, każdy po kolei.

— No, trudno — westchnęła Dominika — skoro nie ma innej rady...

— Moja żona jak zawsze jest dzielna — pochwalił ją Strączek. — A teraz porozmawiajmy o aprowizacji...] o jedzeniu — poprawił się szybko, widząc, że Dominika nie zrozumiała, co miał na myśli.

— Najlepiej będzie, jeśli staniemy się jaroszami. Będziemy jadali rzeczy proste i łatwe do przygotowania.[^] Postanówmy to od razu i powiedzmy sobie: kości rzucone!

— Jakie znów kości? — rozgniewała się Dominika. — Po co mówić o kościach, skoro postanawiamy zostać jaroszami!

— Będziemy zrywali orzechy — ciągnął Strączek. — Już dojrzewają. Jest też mnóstwo różnych owoców — jeżyn, poziomek, malin. Jest sałata, jest szczaw, jest

— 74 —

mniszek, z którego można przyrządzać sałatkę. Wkrótce skończą się żniwa, będziemy mogli zbierać na polu kłosy, poradzimy sobie na pewno, musimy pamiętać tylko o jednym: nie tęsknić za gotowaną szynką, nie wzdychać do kotletów z kury, słowem, nie myśleć o niczym, co jest związane z mięsem. A teraz, Arietto — zwrócił się do córki — skoro tak lubisz się wspinać, idźcie razem z matką, wdrap się na krzak leszczyny i narwij orzechów. A ja tymczasem wezmę się do swojej łataninki — i przy tych słowach spojrzał na but.

— Gdzie ja znajdę orzechy? — zapytała Arietta.

— Tam — i Strączek wskazał na jasnozielony gąszcz nad żywoplotem — niedaleko, nie dochodząc do potoku. Wdrapiasz się na krzak, Arietto, jak już powiedziałem, i będziesz zrzucała orzechy na ziemię, a matka pozbiera. Przyłączę się do was trochę później. Będziemy musieli wykopać dołek.

— Dołek? — spytała Arietta. — Po co?

— Nie możemy przecież pakować orzechów do buta, żeby potem ten cały ciężar ciągnąć za sobą. Musimy mieć kryjówkę, coś w rodzaju spiżarni na zimę.

— Na zimę... — jęknęła znów Dominika.

— Zapamiętamy sobie, w którym miejscu będzie ten dołek, i będziemy stamtąd czerpali zapasy.

Ruszyły więc w drogę rowem, który — ponieważ był płytki i dobrze osłonięty — mógł służyć jako najwygodniejsze przejście. Arietta podała matce rękę i w ten sposób ją prowadziła. Czuła się tak jej bliska jak nigdy: traktowała ją raczej jak siostrę niż jak matkę.

— Spójrz! — zawołała Dominika, gdy znalazły się w trawie.

\

!P

— 75 —

• * %!

Pochyliła się i zerwała szkarłatny kwiatek kurzyślada łodyżkę miał cienką jak włos.

— Spójrz, czy nie piękny? — powtórzyła ze wzruszeniem w głosie.

Dotknęła delikatnych płatków spracowanymi palcami i wetknęła kwiatek w wycięcie bluzki. Arietta znalazła nie mniej delikatny kwiatek weroniki i wpięła go sobie we włosy. Nagle dzień wydał im się

odświętny.

„Kwiatki w sam raz na naszą miarę” — pomyślała] Arietta.

Dotarli w końcu do krzaka leszczyny, na którym obficie rosły orzechy.

1

— Och, Arietto! — zawołała Dominika patrząc z mieszaniną lęku i dumy na sterczące gałęzie. — Przecież tę[się tam nigdy nie dostaniesz! Nie wdrapiesz się tak wysoko!

Ale Arietta chciała pokazać, co umie. Zrzuciła sweterek,! zawiesiła go na szarozielonym kolcu ostu, zatarła ręce] tak, jak to robią robotnicy przed pracą (splunąć na niej nie miała odwagi w obecności Dominiki), i zaczęła wspinać się na krzak leszczyny.

Dominika obserwowała ją z trwogą, przyciskając sple-| cione dłonie do serca. Widziała, jak liście drżą na samej górze, ale Arietty nie mogła dostrzec w gęstwinie.

— Gdzie jesteś, córeczko? — zawołała. — Och, uważaj, Arietto! Jakbyś spadła, mogłabyś złamać nogę!

Po chwili z góry zaczęły zlatywać orzechy i nieszczęsna Dominika, nachylając się pod ich gradem, zbierała je z ziemi zasapana.

Zrywanie orzechów nie było wcale takie proste, jak to sobie Arietta wyobrażała: przede wszystkim na orzechy

— 76 —

^ojnwi

i b>ł° trochę za wcześnie, nie były jeszcze całkiem dojrzałe. Każdy z nich był przytwierdzony mocno do gałązki i otulony w coś zielonego i twardego, co wydawało się Ariecie podobne do stwardniałych dzwonek naparstnicy. Trzeba było niemałego wysiłku, żeby oderwać orzech od gałązki, i dopiero po pewnym czasie Arietta nauczyła się szybkiego chwytu, dzięki któremu udawało jej się za jednym zamachem zerwać całą kępkę. Po drugie, wcale niełatwo było do nich dotrzeć: musiała wspinać się coraz wyżej, przeginać i przechylać całym ciałem na samym koniuszku chwiejącej się niebezpiecznie gałązki. (Później dopiero Strączek wpadł na pomysł i zrobił dla niej z rozwidlonego korzenia, sznurka i kawałka ołowiu coś w rodzaju bosaka z ołowianą gałąką, którym mogła strącać orzechy z gałęzi). Arietta zrywała wytrwale i wkrótce na ziemi piętrzył się spory stos orzechów, pracowicie zebranych przez zdyszana i spoconą Dominikę.

— Dość już! — zawołała Dominika, z trudem łapiąc oddech. — Nie zrzucaj więcej, bo twój biedny tatuś nie da sobie rady z taką górą orzechów.

Arietta, zgrzana i potargana, z podrapaną twarzą i pokaleczonymi rękami, ześliznęła się na dół. Położyła się na chwilę pod kępką zielska, żeby odpocząć.

— Pić mi się chce — oznajmiła.

— Potok musi być tu gdzieś niedaleko, mówił tatuś. Wstań, pójdziemy. Możesz iść?

Oczywiście, Arietta mogła iść. Choćby była nie wiadomo jak zmęczona, nie chciała tłumić w matce nowo zbudzonego ducha przygód. Włożyła sweterek i ruszyły w drogę.

Słońce stało wyżej i robiło się coraz goręcej. Po

— 77 —

• | • |

drodze zobaczyły, jak jakieś chrząszcze do szczętu objał dają zdechłego kreta.

— Nie patrz w tę stronę! — zawołała Dominika, przy śpieszając kroku i odwracając głowę.

Lecz Arietta, nagle bardziej praktyczna niż matka/ powiedziała:

— Może będziemy mogli zabrać futerko, jak skończą] Przyda się... na zimę. Im

— Na zimę... — westchnęła Dominika. — Mówisz tai chyba tylko po to, żeby mnie zdenerwować — dokończyła z nagłym gniewem.

Potok, nad którym się wreszcie znalazły, wyglądał w tym miejscu raczej na małe, przejrzyste jeziorko o gładkim lustrze, które mąciły od czasu do czasu srebrzysta kręgi, gdy wystraszone żaby dawały nurka. Wypływać z lasu, wijąc się przecinał pole i wpadał w porośniętą rzeżuchą bagno. Pole opasywał tu nie żywopłot, lecz kilkanaście zbutwiałych palików, z których zwisały nadl wodą zardzewiałe druty. Za tą wątlą barierką cieniste pnie drzew w małym lasku zdawały się tłoczyć i patrzeć spode łba, jak gdyby pragnęły ruszyć przed siebie, przeskoczyć! wąski pasek wody i wkroczyć na zalane słońcem pole.

Tuż nad bagnem Arietta ujrzała kłąb kwitnących nieza-? pominajek i gdzieniegdzie pojedyncze kępy sitowia. Na dnie śladów racic bydła, które tędy szło do wodopoju, zbierał się szlam. W powietrzu unosił się zapach mułu, lekko zaprawiony orzeźwiającą wonią mięty.

Drobne fale marszczyły spokojną, jasną powierzchnię miniaturowego jeziorka, w którym odbijało się niebo. Był to widok bardzo piękny i dziwnie podniecający: Arietta nigdy jeszcze nie była nad taką dużą wodą.

— 78 —

' • • -

— Mięta! — zawołała Dominika uradowana. — Będzie można narwać i naparzyć herbaty.

Arietta nachyliła się, żeby zerwać rosnącą na samym brzegu bagna miętę, i ujrzała w ciemnej powierzchni wody swoje odbicie, lecz odwrócone i dziwnie pomarszczone.

— Uważaj, żebyś nie wpadła do bagna, Arietto! — przestrzegała ją matka. — Pamiętaj, że masz tylko jedną zmianę bielizny!

A po chwili, wskazując na sitowie, dodała:

— Takie coś mogłoby przydać się nam w domu, do odpędzania much. Albo na rozpałkę w kuchni. Aż dziwne, że twój ojciec o tym nie pomyślał. Czekał, nie zrywaj mięty nad bagnem, tu woda jest stojąca, nie wiadomo, co za świństwa mogą się w niej roić. Chodźmy dalej, tam woda jest zupełnie czysta, będziesz mogła nawet się napić.

I rzeczywiście, o kawałek drogi dalej znalazły odpowiednie miejsce. Spory płat kory, osadzony w mule przybrzeżnym, tworzył jakby małą groblę czy też pomost, na którym mogły stanąć. Był płaski i szary, wyglądał z daleka jak wygrzewający się w słońcu krokodyl.

Arietta wyciągnęła się, jak długa, na porowatej korze i zaczerpnąwszy w złożone dłonie wody, piła chciwie wielkimi łykami. Dominika, po chwili wahania, zgarnęła ceremonialnie sukienkę, przyklęła i także złożywszy dłonie na kształt kubka, zaczerpnęła wody.

— Szkoda — rzekła, gdy ugasila pierwsze pragnienie — że nie mamy z sobą ani dzbanka, ani wiaderka, ani butelki. Mogłybyśmy zabrać trochę wody dla tatusia.

Arietta nic nie odpowiedziała. Leżała wpatrując się przez rozedrganą powierzchnię w głąb strumyka.

— 79 —

• » »<

EHRraw*

— Czy jarosze mogą jadać ryby? — spytała po chwili M

— Nie wiem — odpowiedziała Dominika niepewnie. — Trzeba by zapytać tatusia.

Ale dobra gospodyni wzięła w niej górę.

— A czy są tam jakieś ryby? — zapytała z rosnącym zainteresowaniem.

— Mnóstwo — wyszeptała Arietta, patrząc w zamyśleniu na toczący się nurt: wydawało jej się, że potok miarowo oddycha. — I to takie długie, jak moje ramię. Są tu jeszcze inne stworzonka... coś jakby krewetki..., niewidzialne...

— Jak to: niewidzialne? — zdziwiła się Dominika.

— Wydaje mi się — mówiła dalej Arietta rozmarzonym głosem — że są zupełnie przezroczyste...

— I co tam jeszcze widzisz? — spytała Dominika.

— Jakieś takie czarne... wyglądają jak prężące się aksamitne kuleczki...

— Pijawki! — wykrzyknęła Dominika z dreszczem obrzydzenia, ale po chwili namysłu dodała z wahaniem w głosie: — A może można by udusić je w sosie?

— Czy tatuś będzie umiał zrobić sieć na ryby? — zapytała Arietta. — Jak myślisz?

— Twój ojciec umie zrobić wszystko — oświadczyła Dominika z pełnym uznaniem. — Wszystko, co tylko powiesz. Wystarczy, żebyś podsunęła mu pomysł.

Arietta dłuższą chwilę leżała spokojnie, jak gdyby drzemiąc na zalanym słońcem kawałku kory, a zerwała się dopiero wtedy, gdy kora zaczęła płynąć z pn dem.

Uciekły obie na brzeg.

— Nie należy spać na wodzie — strofowała ją matka.

— 80 —

>ę**^

Przecież taka ruchoma kładka może się w każdej chwili wywrócić.

Arietta stała chwilę, mrużyła oczy w słońcu i szeptała coś do siebie.

— Co mówisz, Arietto? — spytała Dominika.

— Mówię — zaczęła Arietta śpiewnym głosem, jakby przez sen — że dobrze byłoby ulokować się razem z naszym butem tutaj... nad wodą... jak myślisz, mamó?

! * %•

„Mój dom — mój zamek

ROZDZIAŁ ÓSM

mm

Wielki pożar Londynu, r. \ (Z„Diariusza" i „Księgi przysłów" Ariett\\

2 wrześniom

• fi,.MUUimtM\ii\\v*\V\\^^^

s^N^sNANNNAA^^JNNNJ

1 ak właśnie zrobili, jak zaproponowała Arietta. Strączek, poproszony o radę, poszedł obejrzeć wskazane miejsce; pokręcił głową i po dłuższym namyśle zdecydował, że istotnie dobrze będzie ulokować się właśnie tutaj.

— Dominika będzie mogła urządzić tu swoje pranie — powiedział tak, jakby to było jedyną jego troską.
— A ja zajmę się sporządzeniem sieci.

But, naładowany rzeczami, dał się z łatwością prze-: ciągnąć płytkim rowem, gdy w zaprzęgu stanęła cała trójka. Miejsce, które Strączek obrał na przyszłą siedzibę, stanowiło niewielkie wgłębienie mniej więcej w

połowie stromego nasypu, niedaleko potoku i w pobliżu żywopłotu.

— Najbezpieczniej będzie na pewnej wysokości — wyjaśnił Strączek — w razie deszczu... Pamiętajcie, jaka ulewa była wczoraj w nocy? Przypomnij sobie — zwrócił się do Dominiki — ten potop, który mieliśmy w naszym poprzednim mieszkaniu, gdy w kuchni nad nami pękł kocioł.

— A po cóż miałabym to sobie przypominać? — zachnęła się Dominika. — Woda była gorąca, poparzyłam się, i tyle. Nie ma o czym mówić.

— 82 —

r

Z wyboru miejsca była bardzo zadowolona. Arietta również: powiedziała, że będzie się tu czuła jak w baszcie obronnego zamku, chociaż ta baszta przypominała raczej altanę, otwartą na słońce i dopływ powietrza.

Szeroki pień ściętego dębu, okrągły i solidny, wznosił się nad nasypem, jak gdyby pełnił straż nad ich fortecą. Korzenie dębu wypełzały spod ziemi, tworząc jakby naturalne skarpy twierdzy. Niektóre z korzeni jeszcze nie całkiem obumarły i puszczały tu i ówdzie młode pędy, wyglądające jak miniaturowe dąbki. Jeden z takich pędów zwisał tuż nad jamą w nasypie i rzucał nad wejściem nakrapiany słońcem cień.

Zostawili but w rowie i od razu wypakowali jego zawartość. Gdy z tym skończyli, Strączek zabrał się do wyciągania ćwieków z obcasa.

— Czy ci nie szkoda? — zapytała Dominika, sortując rzeczy do dalszego transportu. — Jak powyjmujesz gwoździe, to cały obcas odpadnie.

— A po co mi obcas? — odparł Strączek, ocierając pot z czoła. — Tego buta i tak przecież żadne z nas nie wzuje. A ćwieki będą mi potrzebne.

I wrócił do swego zajęcia.

— Ścięty pień ma gładką powierzchnię — rzekł po chwili — i daje rozległy widok. W razie grożącego niebezpieczeństwa będziemy zaciągali na przemian wartę.

— Przyda się także do suszenia ziół i jagód — dodała praktyczna Dominika. — I do rozkładania bielizny po praniu. I do tłuczenia ziarna.

— Później zabierzemy się do kopania dołka na orzechy — rzekł Strączek, prostując obolały grzbiet. — Ale

— 83 —

MASI

najpierw musimy zrobić tutaj porządek i przygotować legowisko na noc. Przytulne legowisko — dodał patrząc na żonę i córkę. — Będziemy dziś na pewno spali doskoła na le. Jesteśmy wszyscy bardzo zmęczeni.

Okazało się, że wyciąganie ćwieków to wcale nie taka łatwa robota. Pomysł, żeby wyciągnąć z obcasa kilka gwoździ, przyszedł Strączkowi do głowy w chwili, gdy łatał, dziurę przy nosku buta. Dotychczas jedynym materiałem,

na którym pracował, była miętuska skórka rękawiczek. Teraz zaś musiał mocować się z twardym boksem, a jego igła, zastępująca szydło, okazała się za cienką i zbyt łamliwą. Posługiwał się więc gwoździem i młoteczkiem od dzwonka elektrycznego i w końcu udało mu się przebić parę dziurek w cholewce buta, mniej więcej na wysokości kostki, i w języku, którego część zużył na łatę. Teraz wystarczyło przewlec sznurek przez te dziurki, które przypominały oczka od sznurowadeł, i ściągnąć od środka, by zamknąć but, podobnie jak w obozowisku zaciągają się i zawiązują na noc płótno namiotu.

Opróżniony but nie był ciężki; wyciągnęli go z rowu i wtaszczyli na nasyp bez trudu. Gorzej było z umieszczeniem go w wybranym miejscu, pod odziomkiem dębu. Wymagało to niemało siły i pomysłowości. Trzeba było wcisnąć but pod najszerszy korzeń, tak ażeby powstał nad nim naturalny dach.

Jeszcze trochę wysiłku, ostatni zręczny manewr — i but leżał bokiem pod korzeniem, wsparty podeszwą o nasyp. Przez otwór z wnętrza można było widzieć wszystko: gdyby w nocy zbliżał się ktoś niepożądany, dostrzegliby go od razu. But obrócony był ku wschodowi, cieszyli się więc, że

— 84 —

• # • •

wczesnym rankiem będzie budzić ich słońce. Poniżej mniejsze korzenie tworzyły wypukłe półeczki. W jeden z nich Strączek wbił rząd gwoździ i zawiesił na nich swoje narzędzia: ostrze nożyczek, kawałek piłki od laubzegi, młoteczki od dzwonka i ułamaną żyłkę.

Nad tą półeczką z korzenia znajdowała się niewielka wnęka. Strączek poradził Dominice, żeby urządziła tu swoją podręczną spiżarnię.

I gdy w końcu umieścił dużą szpilkę od kapelusza przed otworem buta („z ważnych względów strategicznych”, jak powiedział), a mniejszą ułożył w jego głębi („na wypadek alarmu nocnego”, jak oświadczył zagadkowo), poculi wszyscy troje, że najważniejsze zostało zrobione. Ten wysiłek naprawdę się opłacił. Byli bardzo zmęczeni, ale mieli przyjemne poczucie dobrze wykonanej pracy.

— Och, moje plecy! — jęknęła Dominika, masując sobie krzyż. — Pozwól nam chwilę odpocząć, Strączku, posiedzieć spokojnie, popatrzeć, jaki stąd widok...

A widok był rzeczywiście wspaniały: zachodzące słońce oświetlało pole na całą jego rozległość. Z kępy

drzew, stojących nieco dalej, poderwał się bażant i odleciał z furkotem skrzydeł.

— Czekaj, nas jeszcze jedna robota — przypomniał Strączek po dłuższej chwili. — Chodźmy, zabierzmy się do kopania. Jak skończymy, pójdziemy spać.

Ruszyli bez zbędnego pośpiechu. Zabrali z sobą ostrze nożyczek i worki na orzechy, po czym powoli, spokojnie zeszli w dół z nasypu.

Dominika wzdychała ciężko na znak, że jest już bardzo znużona.

- 85

•«\j

— Ciesz się, że nie będziesz musiała gotować — rzekł do niej Strączek.

Ale dla Dominiki była to słaba pociecha. Czuła się nu tylko zmęczona, ale i porządnie głodna. Jednakże, jak te stwierdziła z goryczą, nie miała najmniejszej ochoty n* kolację złożoną z samych orzechów laskowych.

Pierwszy zabrał się do kopania Strączek. Rozruszał murawę, ażeby dostać się do ziemi — przy czym kępy trawy wydawały mu się wysokie jak pampasy. Dominika! otrząsnęła się z przygnębienia i ożywiła. Postanowiła stanąć na wysokości zadania i odegrać rolę dzielnej, nie-j! zawodnej towarzyszk! swego męża. Nigdy nie próbowała! kopać, ale teraz zajęcie to wydało jej się dość pociąg! gające. Kto wie, czy i ona nie odkryje w sobie nowego] talentu? Różne rzeczy dzieją się na tym świecie.

Kopali więc we troje, każde po kolei, i ostrze nożyczek raz po raz przechodziło z rąk do rąk.

— Mamy za mało narzędzi — trapił się Strączek. — Ale to nic, tak jest tylko na razie. Postaram się coś wykombinować i jutro każde z nas będzie miało swój własny szpadel.

Dominika ujrzała po raz pierwszy w życiu żywą dżdżo*; wn!cę i uderzyła w krzyk. Dżdżownica była długa i wiła się tak obrzydliwie. Brr!

— Podnieś! — zakomenderował Strączek. — Na pewno nic złego ci nie zrobi. Przyjrzyj się jej z bliska.

I zanim Arietta (która także, prawdę mówiąc, bała się pajaków i robaków) zdążyła przybiec matce na pomoc, Dominika chwyciła skręconą w kłębek dżdżownicę i odrzuciła daleko w trawę.

— Była bardzo ciężka — oświadczyła i poprzestawszy

— 86 —

na tym krótkim komentarzu, ze zdwojonym zapałem zabrała się do kopania.

Arietta zdążyła jednakże zauważyć, że matka mocno pobladła.

Dżdżownic w ziemi było sporo, ale Dominika oswoiła się z ich widokiem i podnosiła je teraz z ziemi z obojętnością doświadczonego zaklinacza węży. Nie wpadała już w panikę, jak za pierwszym razem, lecz odrzucała je precz ze znudzoną miną, co ogromnie imponowało Ariecie.

Ale ze stonogą była już całkiem inna sprawa. Na jej widok Dominika nie tylko narobiła krzyku, ale upiekła na nasyp i stanęła na nim jak skamieniała, mamrocąc do siebie niezrozumiale. Zgodziła się zejść dopiero wtedy, gdy Strączek połaskotał stonogę koniuszkiem ostrza nożyczek, a ta wzięła nogi za pas (jeśli tak można powiedzieć o stonodze) i znikła w gąszczu trawy.

Gdy skończyli z kopaniem, zamagazynowali w dołku orzechy na zimę, a część wsypali do worków i zabrali z sobą do nowego mieszkania. Pierwsza kolacja, na którą złożyło się kilka poziomek, dwa listki rzeżuchy i parę tyków zimnej wody, była wprawdzie posilna, ale niezbyt smaczna. Jedli bez żadnej przyjemności. Czegoś tu brakowało: może kawałka biskopta? A może filiżanki dobrej, gorącej herbaty? Resztki biskopta Dominika postanowiła schować na śniadanie, a herbatę — jak zarządził Strączek — musieli oszczędzać. Będzie się ją parzyło tylko od wielkiego dzwonu, w wyjątkowych okolicznościach: dla uczczenia jakiejś uroczystości czy też dla pokrzepienia w jakiejś krytycznej sytuacji, na przykład po zażegnaniu wielkiego niebezpieczeństwa.

— 87 —

• » ••

Jak słusznie Strączek przewidział, w nocy spali wszyscy trójce doskonale. Czuli się całkowicie bezpieczni pod dachem z osłaniającego ich głowy korzenia, pod strażą dobrze zasnuwanego buta. Było im wprawdzie troszkę duszno z powodu braku powietrza, ale za to niezbyt ciasno, gdyż niektóre swoje rzeczy ułożyli w pustej części jamy, stanowiącej jakby przybudówkę buta.

--SyffiSki i

i

m

H

M

H

w

w

!

1

!

1

1

-----^

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

„Z owoców ich poznacie je”

Zmarł Oliver Cromwell, obrońca Anglii, r. 1658 (Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Arietty,

3 września)

^//////////y////i////yy/i//y/i^/w////////fillHitUVVVWiWVVVVV

aftm^N

INazajutrz przy śniadaniu Strączek rzekł:

— Dziś pójdziemy zbierać kłosa. Na polu jest już po żniwach. Owoce, orzechy — to dobre teraz, ale na zimę potrzebny nam będzie chleb.

— Na zimę! —jęknęła Dominika. — Jak to, czyżbyśmy zrezygnowali już z szukania nory borsuka? Kłosa... a kto zmiele ziarno?

— Ty i Arietta — odparł Strączek tonem nie dopuszczającym sprzeciwu. — Na pewno będziecie umiały. Weźmiecie dwa kamienie, włożycie między nie ziarno i będziecie meły jak w żarnach.

— Niebawem zażadasz, żebym roznieciła ogień, pocierając jedno drewno o drugie — rozzłościła się Dominika. — A jak ty sobie wyobrażasz... gdzie ja upiekę chleb, skoro nie ma pieca? I jak piec bez drożdży? Gdybyś zapytał mnie o zdanie, powiedziałabym ci wprost — po co chodzić na rżysko i zbierać kłosa, jeśli z tej mąki i tak chleba nie będzie. Uważam, że powinniśmy zabrać się serio do poszukiwania Henryków, to ważniejsze. Weźmy po parę orzechów na drogę, nazrywajmy owoców i wyjdźmy na cały dzień.

.

— 89 —

***●

— Niech i tak będzie — zgodził się Strączek, ciężko] wzdychając.

Sprzątnęli po śniadaniu, wpakowali to, co mieli najcenniejszego ze swego dobytku, do worków, worki ułożyli porządnie jeden na drugim w głębi buta, but starannie zasnurowali od zewnątrz i poszli.

Najpierw zeszli z nasypu, potem ruszyli wzdłuż żywopłotu, skręcającego pod kątem prostym, szli, szli, szli, aż w końcu znaleźli się na szerokim polu.

Droga okazała się bardzo męcząca. Wczesnym rankiem spożyli skromny posiłek, złożony z namokłych od deszczu, przejrziałych jeżyn, i teraz byli już głodni. Po pewnym czasie musieli odpocząć, gdyż Dominika poczuła się senna. Położyła się pod nasypem i patrzyła przed siebie przymrużonymi oczyma. Nagle wydało jej się, że ziemia naprzeciw niej porusza się wolno, ale bez przerwy.

— Och, moi drodzy... Och, Strączku! — wykrzyknęła, upewniwszy się, iż nie jest to złudzenie. — Widzicie... tam się coś rusza... pod kamieniem... Patrz!

Strączek powiódł oczyma we wskazanym przez nią kierunku — i znieruchomiał. Dopiero po chwili wyszeptał z trudem:

— Tak... nie mylisz się... To wąż!

— Och, moi drodzy,.. — jęknęła Dominika, drżąc cała. Arietta czuła, że serce bije jej jak oszalałe.

— Nie ruszajcie się! — rzucił Strączek szeptem, nie odrywając oczu od falującej powierzchni.

Wąż sunął wolno, wijącym się ruchem, zbliżał się do nich coraz bardziej... Ale w chwili, kiedy zdawało im się, że dłużej już nie wytrzymają tego wyczekiwania, ujrzeni tylko śmignięcie ogona i wąż zniknął pod kamieniem.

— 90 —

Odetchnęli wszyscy troje z ulgą.

— Co to było, Strączku? — zapytała Dominika słabym głosem. — Żmija?

— Wąż — odparł Strączek. — Chyba zaskroniec.

— Och! — zawołała Arietta z cichym śmieszkim, zadowolona, że opuścił ją strach. — Zaskronce są niegroźne.

Strączek spojrzał na nią z powagą. Jej krągła twarzyczka z szeroko otwartymi oczyma przypominała bułeczkę z rodzynekami.

— Dla Człowieka — objaśnił z naciskiem. — A jeśli chodzi o nas, to wcale nie wiadomo...

— Szkoda, że nie mieliśmy z sobą naszych szpilek — powiedziała Dominika.

— Na co by nam się przydały? — rzekł Strączek z powątpiewaniem.

Ruszyli w dalszą drogę i w czasie podwieczorku, złożonego z owoców dzikiej róży, gdyż obrzydły im już mokre jeżyny, stwierdzili ze zdziwieniem, że przeszli prawie jedną trzecią pola. Ale raczej szli przed siebie, niż szukali. Nigdzie nie widzieli żadnego dołka, w którym mogliby mieszkać Henrykowie, nie mówiąc już o norach borsuków. Nasyp stawał się stopniowo coraz niższy, a gdy znów usiedli, żując sennie kulki róży, spostrzegli, że rozciąga się przed nimi płaska równina.

— Możemy obejść pole dookoła — rzekł Strączek — albo też wrócić do domu. Jesteśmy mniej więcej w połowie drogi. Jak myślisz, Dominiko?

— Chodźmy lepiej dookoła — rzekła Dominika schrypniętym głosem, gdyż nasionko róży utkwilo jej w gardle.

Po chwili zaczęła kaszleć.

— 91 —

— Myślałam, żeś powyjmowała nasionka ze środka -rzekła z wyrzutem do córki.

— Musiałam jedno przeoczyć — usprawiedliwiała się Arietta. — Bardzo przepraszam.

I podała matce czerwoną kulkę, przed chwilą przepo* łowioną. Bawiło ją otwieranie tych małych owoców i wybieg ranie ze złotego gniazdka ciasno ułożonych nasionek. Owo* ce pachniały pięknie, trochę jak skórka jabłek, a trochę jak płatki róży ogrodowej.

— No, chodźmy już! — rzekł Strączek wstając. Słońce zachodziło, gdy dotarli do ostatniego odcinka pola, gdzie żywopłot rzucał nierówny, poszarpany cień; Poprzez pustą przestrzeń między ciemnymi gałązkami dostrzegli połyskujące jak stare złoto ściernisko.

— Skoro już tu jesteśmy — rzekł Strączek, zatrzymując się i patrząc, przez lukę w żywopłocie — i nie mamy pc* co śpieszyć się do domu, co byście powiedziały, żeby tak nazbierać trochę kłosów?

— Ani mi się śni — rzekła Dominika i wzruszyła ramionami.

— Kłosy nie są ciężkie — próbował przekonywać ją Strączek — i zbieranie nie zajęłoby nam wiele czasu...

Dominika westchnęła. Ostatecznie, to przecież był jej pomysł ta wędrówka po polu. Słowo się rzekło, trzeba i brnąć dalej...

— No, trudno, chodźmy zbierać — rzekła zrezygno*: wana.

Między luźniej rosnącymi gałązkami żywopłotu pr dostali się na ściernisko.

Znaleźli się w całkiem innym — tak przynajmniej się im zdawało — świecie: w blasku zachodzącego słońca

no-

:

— 92 —

rżysko wyglądało jak złocisty las. Każde źdźbło skoszonej pszenicy rzucało cień, a wszystkie te cienie razem padały równolegle, tworząc niezwykle zestawienie kolorów: czarnego i złotego. Nisko przy ziemi czerwieniały kwiatki kurzyślada. Tu i ówdzie leżały na wyschniętej ziemi pełne, dojrzałe kłosy.

— Podnieś kłos za łodyżkę — poradził Strączek Domi-nice — i zarzuć sobie na ramię. Będzie ci łatwiej nieść.

W tym dziwnym, równo uciętym lasku ścierniska światło było tak odmienne, że Arietta raz po raz traciła z oczu rodziców, a gdy zwracała, ogarnięta strachem, znajdowała ich w pobliżu, przegowanych jak zebry przez cień i słońce na przemian.

Nazbierały razem z Dominika tyle kłosów, że w końcu Strączek ulitował się nad nimi. Związali je w małe snopki i nieśli pochylone w dół, trzymając za krótkie łodyżki. Ariecie przypomniał się Felicjan, stróż w „Stokrotce”, gdzie mieszkali do przedwczoraj. Widziała go nieraz przez kratę, jak wnosił cebule do

kuchni. Splecione w warkocz podobne były do ziarenek pszenicy, tylko znacznie większe.

— Dacie sobie z tym radę? — zapytał Strączek, patrząc zaniepokojony na Dominikę, gdy ciężko dysząc zaczęła wspinać się na nasyp.

— Łatwiej nieść kłosy niż tłuc ziarno — odpowiedziała Dominika cierpko. — A młynka nie mamy.

— Widziałaś przecież, nigdzie nie było nory borsuka — mówił Strączek, z trudem łapiąc oddech.

— Więc gdzie oni mogą być? — zapytała Arietta równając się z ojcem. — Obeszliśmy przecież całe pole dokoła.

— 93 —

— Jest jeszcze jedno miejsce, które trzeba będzie przeszukać — rzekł Strączek. — Ta kępa z drzewami.

Przystanął na chwilę i objął wzrokiem rozciągające się po horyzont pastwisko.

W tym dziwnym świetle zachodzącego słońca wyglądało całkiem inaczej niż wieczorem pierwszego dnia (czyżby to było dopiero przedwczoraj?). Lecz z tego miejsca nie mógł dojrzeć ciemniejącej smugi cienia, który rzucała kępa drzew na środku pola.

— Otwarta przestrzeń — rzekł Strączek do Arietty. — Twoja matka tędy nie przejdzie!

— Ale ja mogę — zaofiarowała się Arietta. — Nawet z wielką chęcią!

Strączek nic nie odpowiedział.

— Muszę się jeszcze zastanowić — rzekł po chwili. — A teraz chodźmy, córeczko, bo nie zdążymy wrócić do domu, zanim się zupełnie ściemni. Pośpieszmy się!

Słusznie przewidywał: istotnie, nie zdążyli wrócić do domu przed zmierzchem. Było już prawie całkiem ciemno, gdy wchodzili do rowu, a gdy znaleźli się w pobliżu ściętego pnia, zapadła kompletna noc. Ale nawet w mroku czuli się dziwnie swojsko na myśl o zasnutowanym bucie.. Znów znaleźli dach —jeśli tak można powiedzieć o bucie — nad głową, znów mają jakiś dom!

Będąc już u samego podnóża nasypu Dominika zrzuciła z pleców przydźwigane kłosy i ciężko usiadła.

— Pozwólcie mi odsapnąć chwilę — poprosiła — zanir wdrapię się na tę górę.

— Odpocznij sobie — rzekł Strączek — a ja tymczasem pójdę naprzód i rozsuptam sznurowadło.

Zdyszał się trochę, gdy uginając się pod ciężarem

- 94 -

A zresztą rób,

i kłosów — sobie bowiem naładował na plecy najwięcej — wdrapywał się na nasyp.

— Strączku! — rozległ się głos Dominiki z dołu.

— Co?

— Wiesz co?

— Nie wiem.

— Dziś był taki trudny dzień... — mówiła Dominika. — Może byśmy tak wieczorem... wyjątkowo... pozwolili sobie na filiżankę dobrej herbaty?

— Jeśli chcesz koniecznie... — odparł Strączek, zabierając się do rozsznurowywania buta.

Po chwili odwrócił się i zawołał głośno:

— Zjesz teraz, nie będziesz miała potem, jak chcesz.

Następnie poprosił Ariettę:

— Przynieś ostrze nożyczek, moje dziecko. Wisi na gwoździu. Zaraz z brzegu, nie będziesz musiała długo szukać. Pośpiesz się!

Po pewnym czasie dał się słyszeć głos Arietty:

— Nie ma, tatusiu!

— Co to znaczy: nie ma?

— Nie ma, i już. Inne rzeczy są, a nożyczek nie ma.

— Nie ma? — powtórzył Strączek z niedowierzaniem. — Czekaj, niech no sam zobaczę.

Głosy obojga dochodziły do Dominiki nieco przytłumione. Coś tam na górze jest widać nie w porządku. Ale co? Co spowodowało zamieszanie?

— Ktoś tu był widocznie — usłyszała zafrasowany głos Strączka, po czym nastąpiła dłuższa pauza.

Dominika wstała, zarzuciła na plecy snopek kłosów pszenicy i powolutku, przystając co kilkanaście kroków,

•«v/

y*ti

zaczęła wspinać się na górę. Niełatwe to było zadanie, szczególnie po ciemku.

— Zapal świecę, Arietto — usłyszała znów głos Strączka, teraz nieco wyraźniejszy.

Gdy wdrapała się na nasyp, świeca już się paliła. Knot zaskwierczał, płomień zachwiał się, zamigotał, ale po chwili już świecił równo.

Komora tworząca jakby przybudówkę buta była teraz jasno oświetlona jak scena teatralna, tylko piaszczyste jej ściany tonęły w mroku. Postacie Strączka, Dominiki i Arietty rysowały się na tej scenie ostro i wyraziście niby sylwetki aktorów grających w teatrze. Nachylali się, prostowali, przystawali, odchodzili, sprawdzali, czy są worki.

Worki leżały równiutko, poukładane rzędem, tak jak je Strączek rano zostawił. Na półeczce, utworzonej z wypukłego korzenia, wisiały na gwoździach narzędzia, tak jak je Strączek rano powiesił, a obok nich stała wsparta

0 ścianę miotła z główki ostu, osadzona na patyczku. Strączek, pobladły i żółtawy w migotliwym blasku

świecy jak piaszczyste ściany jamy, wymacał pusty gwóźdź

1 zamarł w bezruchu.

— Tutaj wisiało... — wymamrotał. — Tu było... Na pewno! Sam przed wyjściem zawiesiłem tu ostrze nożyczek!

— Och, moi drodzy! — zawołała dramatycznie, swoim zwyczajem, Dominika. — Sprawdźmy jeszcze raz! Może gdzie spadło.

Odsunęła worki na bok i zaczęła szukać gorączkowo.

— Arietto! — zawołała po chwili zawiedziona. — Wsuń się do buta i zajrzyj, czy nie zawieruszyło się czasem gdzieś pod samym czubkiem.

— 96 —

Arietta posłusznie spełniła polecenie, ale stwierdziła, że nie ma nie tylko zaginionego ostrza, lecz także i szpilki do kapelusza, tej większej, która broniła wejścia do buta.

— Wszystko jest oprócz tych dwóch rzeczy — mamrotał pod nosem zatroskany Strączek, a Dominika po raz trzeci czy czwarty przerzucała zawartość wbrków.

— Ta mniejsza szpilka leży na swoim miejscu — powiedziała — tylko tej większej nie ma. Dobrze, że choć ta została.

— Ktoś tu musiał być — mruknął Strączek. — Tylko kto? Że nie zwierzę, to jasne. Zwierzę nie umiałoby przecież rozsznurować buta.

— I nie zabrałoby dwóch przedmiotów naraz — zauważyła Dominika rozsądnie.

— Jeśli nie zwierzę — wtrąciła się Arietta — to może ptak?

— Ptak?

— Na przykład sroka.

— Sroka?

— No, tak. Sroki lubią wszystko, co błyszczący.

— Nie, nie wydaje mi się, żeby to mogła być sroka — rzekł Strączek z wolna, jakby rozmyślał na głos — ani żaden inny ptak. To nie był ptak i nie było zwierzę. Nie przypuszczam również, żeby to był Człowiek, bo Człowiek, gdyby znalazł taką jamę, jak nasza, zniszczyłby ją, zgniótł, zdeptałby butem. Człowiek kopnąłby nogą, jeszcze zanim dotknąłby ręką.

— A więc kto? — zapytała Dominika.

— Wygląda mi to — dokończył Strączek ostrożnie — na kawał w stylu Pożyczalskich...

1 — Pożyczalscy idą w świat

— 97 —

•*Vd

:Un

y<ti

— To doskonale — ucieszyła się Arietta. — A więc oni tu są!

— Co za: oni? — zapytał Strączek.

— Znaleźli się! — zawołała Dominika uradowana.

— Kto się znalazł? O czym wy mówicie?

— No, ci krewni — odpowiedziała Arietta. — Henry-kowie...

Strączek milczał przez chwilę, jak gdyby rozważał w myśli to, co usłyszał.

— Może i tak... — rzekł z pewnym wahaniem.

— „Może i tak”! — przedrzeźniła go Dominika zirytowana. — A któż to mógł być inny? Mieszkają na

polu — tak czy nie? A więc przyszedli do nas... Arietto, zagotuj wodę na herbatę. Wykorzystajmy świecę, skoro i tak się pali.

— Ale widzisz... — zaczął Strączek.

— W jaki sposób ustawimy nad świecą zakrętkę od fiolki — zafrasowała się Arietta — skoro nie mamy ostrza z tym owalnym uchwytem?

— Och, moja kochana! — rozgniewała się Dominika. — Rusz głowę i wymyśl coś sama! Spróbuj wyobrazić sobie, że nigdy nie mieliśmy tego ostrza! Zakrętkę obwiąż kawałkiem sznurka i zawieś nad płomieniem... Na gwoździu, na korzeniu, na czym chcesz. Mówiłeś coś, Strączku?

— Mówiłem, że powinniśmy oszczędzać, tylko tyle. Postanowiliśmy przecież, że będziemy pili herbatę jedynie w wyjątkowych okolicznościach, od wielkiego święta albo w razie jakiejś krytycznej sytuacji.

— No, a czyż to nie jest okoliczność wyjątkowa?

— Jaka mianowicie? — spytał Strączek.

— Wielkie święto. Odnaleźli się ci, których szukaliśmy. Strączek chwilę rozglądał się w półmroku, zanim

— 98 —

r

dostrzegł Ariettę w najdalszym kącie przybudówki: zajęta była okręcaniem sznurka wokół karbowanego brzoška zakrętki od fiolki po aspirynie.

— Nie mów hop, póki nie przeskoczysz, Dominiko — rzekł zniżając głos. — I nie wyciągaj wniosków zbyt pochopnie. Powiadasz, że Henrykowie odnaleźli się. Jeśli tu byli, dlaczego nie zostawili dla nas żadnej wiadomości? Dlaczego nie poczekali, aż wrócimy? Henryk poznałby od razu, że to nasze mieszkanie — widział nieraz choćby „Diariusz” Arietty, bywał przecież u nas, gdy mieszkaliśmy w „Stokrotce”.

— Nie wiem doprawdy, do czego ty zmierzasz — rzekła Dominika, nie odrywając oczu od Arietty, która w tym momencie właśnie z całą ostrożnością zawieszała nad świecą zakrętkę napelnioną wodą. — Uważaj! Żebyś tylko nie podpaliła sznurka!

— Zmierzam do tego — odparł Strączek — że jeśli ostrze nożyczek można by uważać za miecz lub szpadę, a szpilkę do kapelusza za dzidę lub rapier, to znaczy, że ten, kto nam te rzeczy zabrał, jest teraz uzbrojony, a my — rozumiesz — zostaliśmy broni pozbawieni. Jesteśmy bezbronni... rozumiesz?

— Mamy przecież jeszcze jedną szpilkę, tę mniejszą — odparła Dominika, zbита cokolwiek z tropu.

— To prawda — zgodził się Strączek. — Ale ten, kto nam tamte rzeczy zabrał, tego przecież nie

wiedział. Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

— Rozumiem — szepnęła Dominika zgnębiona.

— Naparz herbaty, jeśli masz ochotę — rzekł Strączek — ale nie nazywaj dzisiejszego dnia wielkim świętem. W każdym razie — jeszcze nie w tej chwili.

— 99 —

rv* •;> %&te\r*<2L*L

Dominika rzuciła tęsknym okiem w kierunku świeczki: nad zakrętką, zawieszoną nad płomieniem, unosiła się już apetyczna mgiełka pary.

— Właściwie — rzekła Dominika po chwili zastanowienia — wychodzi na jedno.

— O czym ty mówisz? — spytał Strączek.

— A o tej herbacie — odpowiedziała Dominika szybko. — Powiedziałeś, że nas okradli, że zostaliśmy pozbawieni możliwości obrony. Skoro tak, to chyba można nazwać naszą sytuację krytyczną? Jesteśmy zagrożeni, tak czy nie?

— Chyba tak... — zaczął Strączek.

I nagle przerwał, odskoczył na bok, bijąc powietrze obiema rękami, Arietta zaś krzyknęła głośno. Dominika myślała przez chwilę, że oboje zwariowali. Zrozumiała, co się stało, dopiero wtedy, gdy zobaczyła na własne oczy wielką ćmę, która zwabiona blaskiem ognia wpadła do wnętrza. Oślepiąca światłem, wirowała, tańczyła dookoła świecy jak pijana i Dominika zdążyła tylko zauważyć, że ćma jest włochata, brunatna i obrzydliwa. Niewiele myśląc, chwyciła osadzoną na patyku główkę ostu i zaczęła walić w powietrze na oślep.

Zajęta wypędzaniem ćmy, nie zauważyła, że za jej plecami przemknął jakiś cień. Poczuła tylko chłodniejszy powiew i zauważyła, że płomień świecy zachwiał się i zamigotał, a spod knota skapnęło kilka kropel wosku. A

Ćma tymczasem znikła. Zapanowała przytłaczająca cisza. •/'

— Co to było? — zapytała po chwili Arietta.

— To była... — odparł Strączek po namyśle — sowa.

— I co, pożarła ćmę?

— 100 —

— Tak samo, jak pożre ciebie — rzekł Strączek — jeśli będziesz wychodzić bez opieki po nocy. Całe

Tak, Arietta była jeszcze głodna i z przyjemnością zjadła orzeszek.

Program dnia został ułożony następująco: ze względu na wydarzenia ostatniej nocy Strączek podejmie samotną wyprawę na przełaj przez pole aż do kępy drzew, ażeby odszukać wreszcie norę borsuka. Dominika, cierpiąca na lęk przestrzeni, zostanie w domu. Arietta zaś dotrzyma jej towarzystwa, tak jak ojciec kazał.

— W domu jest mnóstwo do zrobienia — mówił Strączek. — Najpierw spróbujcie nawoskować świecę worki, żeby stały się nieprzemakalne i żebyśmy mogli nosić w nich wodę. Potem weźcie piłkę od laubzegi i przepotówcie kilka skorupki orzechów laskowych, żebyśmy mieli kubki do

— 102 —

picia. Potem możecie nazbierać jeszcze trochę orzechów i schować je do naszej podręcznej spiżarki, bo dołka już kopać nie będziemy, jak wiecie, nie mamy czym. Aha, jeszcze coś: widziałem zawieszony na krzaku jeżyn długi włos koński. Mogłabyś wdrapać się na żywopłot, Arietto, i przynieść mi ten włos, a ja, gdy wrócę do domu, zaraz zabiorę się do sporządzania sieci. No, i natłuc jeszcze trochę ziarna także by nie zaszkodziło...

— Och, dajże spokój, mój drogi! — obruszyła się Dominika. — Robota robotą, ale przecież nie jesteśmy niewolnicami!

— Widzisz — odparł Strączek, spoglądając w zamyśleniu na rozciągający się dokoła łan zielonej trawy — nie będzie mnie przez cały dzień w domu... zanim obejdę pole i wrócę, minie wiele godzin... Chciałbym, żebyście byli zajęte i nie miały czasu niepokoić się o mnie...

Ledwo Strączek wyszedł, Dominika zaczęła biadać:

— Wiedziałam, że tak się skończy... Co ja mówiłam w zeszłym roku, gdy chcieliście emigrować? Czy nie przepowiedziałam, co nas czeka? Przeciągi, ćmy, dżdżownice, węże... i licho wie, co jeszcze! Widziałas, Arietto, jak to było, kiedy lunął deszcz! A co będzie w zimie? No, powiedz sama, Arietto! Nikt mi nie zarzuci, że nie starałam się, żeby wszystko było jak najlepiej... i nikt nigdy nie słyszał, żebym kiedykolwiek narzekała, ale zapamiętaj moje słowa, Arietto: żadne z nas nie doczeka wiosny!

I wielka łza stoczyła się z jej oczu na woskowany worek i spłynęła po jego powierzchni, zostawiając ślad podobny do żyłki marmuru.

— Przecież nie mogliśmy zostać w „Stokrotce” — odparła Arietta. — Przypomnij sobie szczurołapa...^

— 103 —

• » •!

• «\j

— Wcale bym się nie zdziwiła — mówiła dalej Dominika — gdyby się sprawdziło to, co mówił Chłopiec. Może miał rację? Mówił, że to koniec naszego rodu, pamiętasz? Przyszedł na nas czas, moje dziecko. Jeśli chcesz wiedzieć prawdę, to ci powiem: czeka nas jedno — * śmierć.

Chcąc przerwać te niewesołe rozważania, Arietta zaproponowała matce, ażeby pójść po wodę. Wzięły z sobą uodporniony już na wilgoć worek i kawałeczek mydła i poszły nad potok. Obezwładniający upał i łagodne falowanie wody w strumieniu podziały na Dominikę uspokajająco. Poweselała i nawet zachęcała Ariettę do kąpieli: niech się mała popluska w płytkim miejscu, tuż przy brzegu!

Tak lekkiej istotce jak Arietta nietrudno było utrzymać się na wodzie. Dziewczynka wiedziała, że nauczyłaby się pływać bez trudu. Zażywała więc kąpieli z lubością, pluskała się i prychała; namydliła się, a gdy kawałek mydła wpadł do potoku, woda w tym miejscu początkowo zmętniała, a potem zaczęła się mienić barwami opalu.

Odświeżona kąpielą Arietta odprowadziła matkę do domu, a sama poszła do żywopłotu, afceby przynieść z krzaka jeżyn włos koński, o co prosił ją ojciec. Dominika zabrała się do parzenia na podwieczorek herbaty z listków mięty. Przyniosła z przybudówki kilka owoców dzikiej róży i głogu. Rozłupała także parę orzechów laskowych, tłukąc skorupki młoteczkiem od dzwonka elektrycznego.

Arietta czuła się rześka po kąpieli i z prawdziwą przyjemnością wdrapała się na żywopłot. Włos koński wisiał dość wysoko, ale Arietta wspinała się sprężysto

— 104 —

i zwinnie. Nareszcie miała go w ręku! Schodząc z żywopłotu i szukając po omacku oparcia dla nóg na którejś z gałązek, krzyknęła głośno: jej stopa dotknęła nie chłodnej, chropowatej kory, lecz czegoś ciepłego i miękkiego. Zawisała w powietrzu, przyciskając do piersi włos koński, i spojrzała pod nogi, pomiędzy liście. Nie zobaczyła nic prócz zbitej gęstwiny listowia, pocętkowanego tu i ówdzie złotymi plamami słońca. Po paru sekundach, kiedy wreszcie odważyła się ruszyć, coś mignęło jej w oczach, tak jakby gałązka drgnęła. Wyteżyła wzrok; na samym koniuszku gałęzi dostrzegła jakby wiązkę stulonych pączków w kształcie maleńkiej brązowej rączki. Nie, to nie może być ręka, mówiła sobie, to tylko tak wygląda, jak maciupenka dłoń z pięcioma palcami, niewiele większa od jej własnej. Nabrała odwagi i leciutko dotknęła nogą gałązki w tym miejscu. W tej samej chwili brązowe pączki poruszyły się wyraźnie... i pięć małych palców zacisnęło się wokół jej stopy. Arietta szarpnęła się, zachybotała, straciła równowagę i runęła w dół, przelatując pomiędzy gałęziami, na podściółkę ze zwiędłych liści. Razem z nią spadła malutka figurka, niewiele większa od niej.

— Przestraszyłaś się? — usłyszała śmiejący się głos.

Arietta dyszała szybko. Była nie na żarty wystraszona. Tuż obok niej leżał na trawie wsparty na łokciach malutki człowieczek o ciemnej twarzy, czarnych oczach i rozczochranych, ciemnych włosach. Ubrany był w spodnie i bluzę z wytartego moleskinu, odwróconą spodem na wierzch. Był tak ubrudzony i upačkany ziemią, że nie różnił się kolorem nie tylko od zwiędłych liści, ale także i od szerniałych gałązek.

— 105 —

• * • |

— Kto ty jesteś? — zapytała. Człowieczek wzruszył ramionami.

— Jak się nazywasz?

— Spiller — odpowiedział.

— Jesteś brudny — zauważyła Arietta z niesmakiem.

. .; Była zła i wciąż jeszcze nie mogła złapać tchu po tym upadku.

— Być może — odparł beztrosko.

— Gdzie ty mieszkasz?

Jego ciemne oczki przybrały wyraz chytry i rozbawiony. \$]

— Różnie... Raz tu, raz tam.

— Ile masz lat?

— Nie wiem.

— Jesteś chłopcem czy dorosłym?

— Nie wiem.

— Czy ty się czasami myjesz?

— Nie — odpowiedział szczerze.

Zapanowała dłuższa chwila niezręcznego milczenia./ Arietta owijała szorstkie pasmo siwego włosa końskiego^ wokół napięstka swej ręki.

— Pójdę już — powiedziała.

— Idziesz... do tej jamy w nasypie? — zapytał z nutką przekornej wesołości w głosie.

Arietta spojrzała na niego zdziwiona.

— Skąd wiesz?

Uśmiechnął się, a gdy się uśmiechał, Arietta zauważyła, że jego wargi unoszą się stopniowo w górę, a kąciaki ust wyginają się w kształt litery „V”: był to uśmiech wyzy-ł wający i złośliwy.

— Czyś ty naprawdę nigdy przedtem nie widziała ćmy? — zapytał po chwili.

— 106 —

*«\J

- Szpiegowałeś nas! Szpiegowałeś nas wczoraj w nocy! — wykrzyknęła Arietta.
- Cóż to, nie wolno? Macie sekrety?
- Do pewnego stopnia — odparła Arietta z godnością. — Tak jak każdy, kto jest u siebie w domu.

Odwrocił głowę, jakby ta rozmowa już mu się znudziła, i wzrok jego zaczął błędzić po trawie. Arietta otworzyła] usta, żeby coś powiedzieć, lecz on stanowczym gestem nakazał jej milczenie. Zaciekawiona, obserwowała go spod] oka: zerwał się nagle na równe nogi, jednym susem zna-j laż się na gałęzi nad jej głową, schwycił coś — co, tego dobrze nie widziała — i po chwili znów zeskoczył na ziemię. Dopiero wtedy ujrzała, że przedmiotem, który zdjął z gałęzi, był łuk, tej samej prawie co on wielkości.

Wyteżył wzrok, założył strzałę, wycelował, napiął cięciwę i puścił. Strzała poleciała ze świstem. W chwilę później rozległ się cichutki pisk.

- Coś ty zrobił? — zapytała Arietta wystraszona.
- Chyba trafiłem — odparł z triumfem i skoczył w gąszcz trawy.

Po chwili wrócił, niosąc nieżywą mysz polną, łebkiem w dół.

- Możesz ją zjeść — zaproponował łaskawie. Arietta otrząsnęła się ze wstrętem, choć sama nie

wiedziała dobrze dlaczego, bo przecież mieszkając pod podłogą kuchni, często jadała mięso. Ale było to mięso ^pożyczane z kuchni. Owszem, widywała surowe mięso, ale nie widziała nigdy zabitego zwierzęcia.

- Jesteśmy wegetarianie — odpowiedziała z wyższością.

— 108 —

Spiller nie przyjął tego oświadczenia do wiadomości, a może nie zrozumiał, co znaczy to słowo.

- Dać ci kawałek mięsa? — rzucił jakby od niechcenia. — Mogę ofiarować ci nóżkę.
- Nie jadam mięsa — odpowiedziała Arietta z godnością. — Tego bym nawet nie tknęła.

Wstała, poprawiła na sobie spódniczkę, otrzepała ją z ziemi.

- Biedactwo... biedactwo...—powiedziała, ale słowa te odnosiły się do myszy polnej. — A ty jesteś okropny! — dodała, a to odnosiło się już do Spillera.

— Kto, ja? — zapytał Spiller spokojnie, sięgając ponad głowę po swój kołczan.

— Pozwól mi się temu przyrzyć — poprosiła Arietta, nagle zaciekawiona. — Daj mi do ręki!

Bez słowa podał jej kołczan. Był zrobiony — jak to stwierdziła, oglądając go z bliska — z palca od rękawiczki, z grubej, źle wyprawionej skóry. Strzały zaś — to były suche igły sosnowe, zakończone czubkami kolców tarniny.

— Jak ty nasadzasz te kolce na drzewce strzał — zapytała Arietta rzeczowo — że to się trzyma?

— Gumąarabską — odpowiedział Spiller śpiewnie, tak jakby to był jeden wyraz.

— Gumą arabską? — powtórzyła Arietta. — A czy one są zatrute?

— Nie — odparł Spiller. — To nie byłoby polowanie. Strzelam — albo trafię, albo chybię. One muszą jeść — i ja muszę jeść. Strzała zabija szybciej niż sowa. A ja nie jem tyle, co sowa.

Było to bardzo długie przemówienie jak na Spil-

— 109 —

• | • |

*«\i

lera, który dotychczas odpowiadał tylko monosylaba-mi. Zawiesił łuk i kołczan na ramieniu i odwrócił się.

— Idę — oznajmił krótko i zrobił parę kroków. Arietta dogoniła go szybko.

— Pójdę z tobą! — oświadczyła.

Poszli więc razem. Arietta zauważyła, że Spiller wciąż rozgląda się niespokojnie; jego czarne oczy były nieustannie rozbiegane. Nadstawiał uszu, gdy dawał się słyszeć najmniejszy szelest wśród traw. Nagle przystanął i zamarł w miejscu, a potem dał nura w gęszcz paproci: nie* było go dłuższą chwilę — aż w końcu wrócił, ciągnąc za odwłok nieznanego owada.

— Masz — rzekł — to dla ciebie.

Arietta pierwszy raz w życiu widziała z bliska takie wyrywające się i szamocące stworzenie.

— Co to jest? — zapytała z lękiem.

— Świerszcz. Nie bój się. Weź go sobie.

— Do zjedzenia? — zapytała Arietta z odrazą.

— Do zjedzenia? Nie. Zanieś go do domu i trzymaj so-^ bie. Śpiewa... gra... — poprawił się po chwili.

Arietta wahala się jednak.

— Zanieś go sam. Ja nie wiem... — rzekła wymijająco.

Gdy zbliżyli się do domu, dziewczynka zadarła głowę i ujrzała Dominikę drzemącą przed progiem. Widocznie zmógł ją upał i zbyt długie czekanie na powrót Arietty. Siedziała na piasku zalanym słońcem i głowa jej się kiwała, przechylając się raz po raz w stronę buta.

— Mamo! — zawołała Arietta i Dominika ocknęła się* momentalnie.

— Co, Arietko?

— 110 —

— Tu jest ze mną — i dziewczynka dokończyła niepewnie: — Spiller.

— Co? — spytała Dominika bez większego zainteresowania. — A włos koński przyniosłeś?

Arietta rzuciła okiem na Spillera. Stał znieruchomiły, skulony, prawie niewidoczny.

— To moja matka — wyjaśniła mu szeptem. — Porozmawiaj z nią. No, śmiało!

Dominika usłyszawszy szept, pochyliła się, mrużąc oczy od słońca.

— Co ja mam powiedzieć? — zapytał Spiller również szeptem.

I nie czekając na odpowiedź, odchrząknął i rzekł na głos:

— Przyniosłem świerszcza.

Dominika wpatrywała się dłuższą chwilę przymrużonymi oczyma w bure plamy, zanim zdołały ułożyć się w kształt postaci, rąk, nóg, twarzy. Przestraszyła się, tak jakby żdźbło trawy nagle do niej przemówiło.

— Co to jest? — zawołała, z trudem łapiąc oddech. — Co to jest? Na miłość boską, gdzieś ty toto wytrzasnęła?

— To jest świerszcz — wyjaśnił Spiller, nie domyślając się, że Dominika mówi o nim, a nie o świerszczu.

— To Spiller — powtórzyła Arietta i zniżając głos powiedziała do gościa: — Zostaw to zdechłe paskudztwo i chodźmy na górę.

Spiller posłusznie rzucił martwą mysz, ale widocznie coś jeszcze zaświtało mu w głowie, gdyż zdjął także z ramienia łuk i położył go na ziemi. Wspinał się na nasyp już nie uzbrojony.

Dominika powitała Spillera spojrzeniem niezbyt zachę-

— 111 —

• » •<

y*t:

cającym. W chwili gdy znalazł się tuż przed butem, cofnęła się o krok, ażeby utrzymać przyzwoitą odległość między sobą a tym dziwnym stworem.

— Dzień dobry — wykrztusiła wreszcie, nader chłodno. Spiller postawił świerszcza na ziemi i popchnął go

w jej kierunku.

Dominika krzyknęła przeraźliwie, a świerszcz skoczył na długich nogach, zawadziwszy o jej spódnicę, i drapnął, kryjąc się gdzieś z tyłu, w cieniu buta.

— To był prezent dla ciebie, mamó! — zawołała Arietta oburzona. — To świerszcz... umie śpiewać... to jest... grać...

Lecz Dominika nie chciała słuchać żadnych wyjaśnień.

— Jak śmiałaś! Jak śmiałaś! Jak śmiałaś! — krzyczała ze złością. — Co to za brzydki, brudny, nie domytł chłopak!

I bliska łez z irytacji rzuciła się w stronę Spillera.

— Idź precz! Wynoś się! Fora ze dworu! Wynoś się! Opuść mój dom! W tej chwili, słyszysz? Całe szczęście — I dodała po chwili, tonem już trochę spokojniejszym — że mojego męża nie ma w domu... ani też mojego brata Henryka...

— Wuja Henryka? — zdziwiła się Arietta, ale ugryzła się w język.

Dominika spojrzała na nią tak, że gdyby spojrzeniem można było zabić, Arietta padłaby trupem na miejscu.

— Zabieraj tego swego potwora! — rozkazała Dominika Spillerowi. — I wynoś się stąd! Żebym cię tu nigdy więcej nie oglądała!

A ponieważ Spiller wciąż jeszcze nie odchodził, wrzasnęła, nie panując nad sobą:

— 112 —

— Słyszysz, co powiedziałam?!

Spiller zerknął na Ariettę. Było to spojrzenie bardzo żalosne. Westchnął i rzucił półgłosem:

— Zatrzymaj go sobie!

I szybkimi susami zbiegł z nasypu.

— Och, mamó! — zawołała Arietta z wyrzutem. — Jak mogłaś?!...

Zobaczyła „herbatę”, którą matka przygotowała na podwieczorek, ale nawet to, że przekrojone na pół kulki róży posmarowane były miodem z koniczyny, nie pocieszyło jej wcale.

— Biedny Spiller! — jęknęła. — Byłaś dla niego taka niedobra, mamol!...

— A któż to jest? Czego tu chciał? Po coś go sprowadziła? — zasypała Dominika córkę pytaniami. — Wdziera się do porządnego domu i rzuca pod nogi jakieś straszdyła. Wcale bym się nie zdziwiła, gdybyśmy któregoś dnia zbudzili się wszyscy z poderżniętymi gardłami! Widziałaś, jaki on brudny? Smoluch! Brudas! Wcale nie byłabym zaskoczona, gdyby zostawił nam na pamiątkę pchły!

Chwyciła miotełkę z główki ostu i zaczęła gwałtownie zamykać w tym miejscu, w którym nieszczęsny Spiller stanął, znalazłszy się w tak niegościnnym progach.

— Nigdy w życiu nie przydarzyło mi się nic podobnego! Nigdy a* nigdy! Teraz już wiem — zakończyła Dominika z triumfem — kto skradł naszą szpilkę dc kapelusza!

W głębi duszy Arietta podejrzewała go o to samo, ale nie miała ochoty powiedzieć tego na głos. Wołała trzymać język za zębami, a jeśli wysuwała go na chwilę, to tylko

8 — Pożyczalscy idą w świat

— 113 —

• * •<

• oj

•Atn

yf

po to, żeby zlizać trochę miodu z rozłupanej na pół czerwonej kulki róży. Myślała także, tasując ze smakiem ciepły od słońca miód, że Spiller jako myśliwy na pewno lepiej potrafi posługiwać się szpilką od kapelusza niż jej rodzice czy nawet ona sama. Zastanawiała się tylko, na co mogło. J mu być potrzebne ostrze nożyczek.

— Skończyłaś podwieczorek? — zapytała Dominika.

— Tak — odpowiedziała Arietta.

— A ja zjadłam tylko parę ziarenek pszenicy — oświadczyła Dominika omdlewającym głosem. — Teraz muszę wziąć się do roboty. Przede wszystkim trzeba wywietrzyć pościel.

Arietta uśmiechnęła się: cała pościel to był kawałek wełnianej skarpety — biedna Dominika, nie mając prawie żadnych zajęć domowych, nie znajdowała upustu dla swej energii. Dobrze, że nawinął się Spiller, na którym mogła wyładować swój temperament. Teraz oczy jej błyszczały jaśniej, a policzki zaróżowiły

się wyrażnie.

Arietta patrzyła przed siebie i zauważyła jakiegoś ptaka, mozolnie torującego sobie drogę wśród gęstych traw. Wytężyła wzrok i stwierdziła, że to nie mógł być ptak. Ptak przelatujący z miejsca na miejsce lub podskakiwał, a ta mała figurka poruszała się wprawdzie żywo, ale. równo i miarowo.

— Tatuś idzie! — zawołała uradowana. Wybiegły obie na spotkanie.

— No i co? — zawołała Dominika już z daleka, ale gdy Strączek zbliżył się do nich, wyczytała z wyrazu jego twarzy, że przynosi nie dobrą wiadomość. — Nie znalazłeś ich?

— Znalazłem — odparł Strączek głucho — to miejsce...

— 114 —

— Dlaczego więc masz taką strapioną minę? — i Dominika zasypała go pytaniami: — Widziałeś ich? Są czy ich nie ma? A może wynieśli się gdzie indziej?

— Chyba tak — odparł Strączek niepewnie. — A może...

— Może co?

— Może... zostali pożarci...

— Co też ty wygadujesz, Strączku! — jęknęła Dominika.

— Tam... w pobliżu nory... jest mnóstwo lisów — mówił Strączek, a oczy zaokrągliły mu się z przerażenia. — Okropny zaduch — dodał po chwili.

i

> 9tPSa

! j

! *«»,

ROZDZIAŁ JEDENASTY j

„Niepowodzenia uczą rozumu”

Urodził się Ludwik XIV, król Francji, r. 1638 (Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Arie t ty,

5 września)

JDominika cały wieczór przesiedziała zgnębiona. Co będzie? W jakiej sytuacji znaleźli się we troje? Co ich czeka? Egzystencja w stylu Robinsona Crusoe, i tak już do końca życia? Odżywianie się tylko suchym prowiantem nawet w lecie jest dość uciążliwe, a w zimie, podczas silnych mrozów, będzie nie do wytrzymania. I co z opałem na zimę? Ten kawałeczek świeczki woskowej na pewno na długo nie wystarczy. A co będzie, jak skończą się zapałki? A gdyby nawet udało się skrzesać ogień, pocie-^{*} rając jedno drewno o drugie — trapiła się Dominika H cóż to byłby za kolosalny płomień! Istny pożar widoczny w całej okolicy, a dym także byłoby widać z odległości paru mil. „Nie, koniec z nami, co do tego nie ma dwóch zdań — zakonkludowała — a Strączek i Arietta, moje drogie biedactwa, przekonają się dopiero, jak mróz smakuje, gdy przyjdzie zima...”

Prawdopodobnie widok Spillera wywarł na Dominice tak wstrząsające wrażenie i utwierdził ją w najgorszych przewidywaniach. Nieokrzesany, nie domyty, nieuczciwy, gbur — takie pojęcie wytworzyła sobie o nim. Łączyły się w nim te wszystkie cechy, którymi gardziła i których się obawiała. To jest dno, na które muszą stoczyć się

i

pożyczalscy — i właśnie przed tym przestrzegała swoich bliskich — gdy popełnią ten błąd, iż odważą się wyruszyć w świat.

Na domiar złego obudził ich tej nocy dziwny dźwięk — przeciągły ryk, który pierwsza usłyszała Arietta. Leżała dzwoniąc zębami, wstrzymując oddech i słysząc, jak wali jej serce. Kiedy wreszcie głos wydarł się z jej zaciśniętego gardła, zapytała Strączka:

— Co to jest, tatusiu?

But skrzypnął, gdy Strączek usiadł na posłaniu.

— To chyba ryk osła — rzekł nasłuchując. — I to gdzieś niedaleko.

Ale po chwili dodał:

— Dziwne, nie widziałem w pobliżu żadnego osła.

— Ani ja — pisnęła Arietta.

Poczuła się jednakże trochę uspokojona i już znów układała się do snu, gdy wtem rozległ się drugi ryk, jeszcze głośniejszy.

— Słyszysz, tatusiu? — zapytała siadając.

— Śpij, moje dziecko, nie nasłuchuj — rzekł Strączek, odwracając się od niej i naciągając na siebie spory kawał skarpetki, pełniąc jej rolę kołdry. — W nocy trzeba spać...

— Ale słyszać jakieś szmery — szepnęła Arietta. — I to blisko. Chyba w przybudówce...

But skrzypnął po /az drugi, gdy Strączek znów usiadł w pościeli.

— Uspokój się, Strączku, proszę cię — wymamrotała Dominika, jeszcze nie całkiem zbudzona ze snu.

— 117 —

! : • * •

« » t 1

• « \ j

P f L

— Bądź cicho przez chwilę — poprosił Strączek, wyężając słuch.

I on także słyszał dziwne szelesty i jakby szuranie gdzieś blisko.

— Masz rację — szepnął do Arietty. — Szmerzy słyszać z przybudówki.

Odrzucił skarpetkę, w którą Dominika wczepiła się konwulsyjnie, i przykrył nią ramiona żony.

— Wychodzę — oznajmił krótko.

— Nie, Strączku, nie chodź nigdzie! — błagała Domini-? ka schrypniętym głosem. — Jesteśmy bezpieczni... nic nam nie grozi... przecież but jest zasznurowany... Zostań, błagam cię!

— Nie — odparł Strączek stanowczo. — Muszę zobaczyć, co to jest. — I już po omacku przesuwiał się do wyjścia. — Leżcie spokojnie, moje drogie, wrócę niedługo.

— Och, mój kochany... — jęknęła Dominika wystraszona. — Zabierz ze sobą chociaż szpilkę! — zawołała, widząc, że zaczyna rozwiązywać but.

Arietta zobaczyła w otworze buta głowę i ramiona ojca rysujące się wyraźnie na tle nocnego nieba. Po chwili dał się słyszeć szmer, szelest, szuranie, jakby ktoś uciekał w popłochu — i głos Strączka, wołającego:

— A kysz... a kysz... precz, przeklęte myszy! I po chwili znów zapanowała głucha cisza.

Arietta przesunęła się wzdłuż buta i wystawiła głowę na zewnątrz. Przybudówka zalana była światłem księżyca i każdy przedmiot rysował się ostro i wyraziście. Strączek, cały jak figurka ze srebra, stał na brzegu jamy, z wzrokiem utkwionym w rozświetlone blaskiem księżycowy pole.

— 118 —

.

— • » •

• *€\|

— Co to było? — dobiegł głos Dominiki z głębi buta.

— Przeklęte myszy polne — odpowiedział głośnie Strączek. — Dobrały się do ziarna!

Arietta zauważyła, że cała przybudówka usiana jest nadgryzionymi łuskami po ziarnach pszenicy.

— Co ty tu robisz? — zapytał Strączek, widząc głowę Arietty, sterczącą nad otworem buta. — Wzięłabyś lepiej miotłę i uprzątnęła te śmieci.

Mówiąc to kopnął porozrzucane łuski.

Arietta nie dała sobie dwa razy powtarzać. Zabrała się do zamykania z wawo jak do tańca. Była urzeczona tym cudnym blaskiem, który nadawał przedziwny czar nawet najpospolitszym przedmiotom — takim na

przykład, jak młoteczek od dzwonka wiszący na gwoździu czy bielejący szew buta. Gdy zgarnęła miotłą w jeden kąt łuski zaśmiecające przybudówkę, stanęła obok ojca i oboje w ipilczeniu nasłuchiwali odgłosów nocy.

Sowa huknęła gdzieś w lasku niedaleko potoku wysoką, śpiewną nutą, a po chwili odpowiedział jej jeszcze wyższy, jeszcze śpiewniejszy głos, rozbrzmiewający echem ponad sennym pastwiskiem, które wyglądało jak czasza pełna blasku księżycowego, poprążkowana tu i ówdzie aksamitną czernią cieni drzew.

„Chociaż tyle na świecie trudności... i tyle niebezpieczeństw — myślała Arietta rozmarzona — jestem szczęśliwa, że wyszłam spod podłogi!...”

Milczenie pierwszy przerwał Strączek:

- Wiesz, co by nam się przydało?
- Na przykład? — zainteresowała się Arietta.
- Jakaś blaszanka.

120 —

- Blaszanka? — powtórzyła Arietta, nie mając pewności, czy dobrze usłyszała.
- Puszka albo pudełko. Na przykład puszka po kakao. Albo pudełko po tytoniu...

Strączek myślał przez chwilę, zanim dodał:

- Dołek, który wykopaliśmy, nie jest dość głęboki. Głowę daję, że te przekłete myszy polne dobrał> się także i do orzechów.
- Czy mógłbyś nauczyć się strzelać z łuku, tatusiu? — zapytała Arietta.
- Z łuku? A po co?

Po chwili wahania Arietta wyrzuciła z siebie jednym tchem wszystko, co wiedziała o Spillerze, o jego łuku i o groźnych kolczastych strzałach. I o tym jeszcze, że Spiller, stojąc po ciemku w krzakach, widział tę scenę z ćmą, rozgrywającą się w oświetlonej przybudówce niby w teatrze.

- Bardzo mi się to wszystko nie podoba — rzekł Strączek. — Nie lubię, jak mnie kto podgląda. Nigdy nie chciałem mieć sąsiadów, wiesz sama. Ani w dzień, ani w nocy. To nie jest dla nas korzystne, jeśli domyślasz się, co chcę przez to powiedzieć.

Tak, Arietta nie miała wątpliwości, co ojciec chciał powiedzieć.

- Wiesz, co jeszcze nam by się przydało? — mówił dalej Strączek. — Jakieś drzwi albo jeszcze lepiej jakieś okiennice. Gdyby tak znalazł się gdzieś duży kawał drutu! Albo taka tarka do sera, jaką mieliśmy w tamtym mieszkaniu.

— Tak, powinniśmy mieć jakąś zastłonę — podchwyciła

— 121 —

• » • !

ty#

Arietta — ale żeby przepuszczała światło. Nie chcę* przebywać znów w ciemnościach! irkb

— Mam pomysł! — zawołał Strączek nagle i wyciągnął szyję w kierunku zwisającej nad ich głowami gałęzi, oblanej srebrzystym światłem księżyca.

Patrzył przez dłuższą chwilę na liście dębowe, rysujące się na tle nieba, tak jakby obliczał odległość. Potem spojrzął w dół i rozgrzebał stopą piasek.

— Co się stało? — spytała Arietta, myślała bowiem, że ojciec coś zgubił.

— Ach! — zawołał Strączek, klękając na piasku. — To się na pewno da zrobić!

Obiema rękoma pogłębił dołek i z trudem wydobył na wierzch skręcony węzowato splot korzeni — mocnych i ciągnących się, jak się Ariecie zdawało, w nieskończoność.

— Tak — powtórzył. — Będzie się nadawało doskonale.

— Do czego? — spytała Arietta zaintrygowana.

— Przynieś sznurek — rzekł Strączek zamiast odpowiedzi. — Leży na półeczce, tuż nad narzędziami.

Arietta stanęła na paluszkach, sięgnęła ręką do wnęki i po omacku znalazła kłębek sznurka.

— Daj mi go tutaj! — rzekł Strączek. — I podaj także młoteczek.)

Arietta obserwowała, co ojciec robi: przywiązał sznurek do młoteczka ^balansując niebezpiecznie na samym brzeżku tarasu wycelował dokładnie, zamachnął się i cisnął młoteczek w stronę grubej gałęzi wiszącej nad jego głową. Młotek uwiązł, jakby zakotwiczył się w gąszczu drobniejszych gałązek.

— A teraz chodź tu — rzekł Strączek do Arietty —

— 122 —

trzymaj mocno i ciągnij. Spokojnie... tak... a teraz... powoli, stopniowo... Powoli, powoli!

I przytrzymując stopami sznurek, pochylili się oboje i przyciągnęli do siebie odległą gałąź. W przybudówce zrobiło się nagle ciemno: napętniła się nierównymi cieniami, pomiędzy którymi sączyło się srebrzyste światło miesiąca.

— Trzymaj mocno — nakazał Strączek córce, ciągnąc sznurek w kierunku skręconego w

pętlę korzenia — a ja go tymczasem przywiążę.

Odchrząknął, nabrał tchu i mówił dalej:

— A teraz daj mi nożyczki. Ach, do licha! Zapomniałem... Daj w takim razie ten kawałek laubzegi!

Stał wyprostowany, cały obsypany drżącymi plamkami srebra, i ciągnął ku sobie rozluźniony sznurek.

Trudno było odszukać po omacku ostrze laubzegi, tak żeby się nie pokaleczyć, ale w końcu Arietta znalazła je, podała ojcu i Strączek odciął część sznurka.

— Widzisz — rzekł do Arietty triumfująco — jak się tę linkę umocuje, będziemy mieli spokój. Podoba ci się mój pomysł? Możesz podnosić lub opuszczać zastonę w zależności od pogody i w ogóle, kiedy będziesz miała ochotę.

Przywiązał drugi koniec sznurka do najgrubszej gałęzi i odczepił młoteczek.

— Myszy nie będą tu już więcej zaglądać ani też — dokończył znacząco — nikt inny...

— To cudownie! — ucieszyła się Arietta, wsuwając głowę pomiędzy liście. — A my sami będziemy mogli wyglądać na świat.

— Wracajmy już — rzekł Strączek. — Czas spać!

— 123 —

* «

'•»«>

Gdy ruszyli w stronę otworu buta, Strączek potknął się o kupkę łusek i przewrócił. Wstał, krztusząc się i kaszląc od kurzu. Kiedy się już otrząpał, powiedział:

— Spiller... tak się nazywa? A po chwili milczenia dodał:

— Może, jak się tak dobrze zastanowić, pieczeń z myszy polnej, utuczonej na pszenicy, podana na gorąco, dobrze soczysta, nie łukowata... nie byłaby w końcu taka zła!

lin * ~

H*W2

I

A

I

-

ROZDZIAŁ DWUNASTY

„Co z oczu, to z serca”

Zatonął statek floty królewskiej „Kapitan”, r. 1870 (Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Arietty,

7 września)

imitltuiiJnilili iiiitllllit 11II UIU \ \ V WvVVVVV\VVV\VVAKVvVwVVXv^^

J^!azajutrz rano ledwo Dominika wstała, wylazła z buta i zobaczyła jamę zalaną zielonkawym światłem — zaczęła gderać:

— Co to ma być? Do czego to podobne? Dlaczego tu tak ciemno?

— Och, mamó! — zawołała Arietta z wyrzutem. — Przecież to takie ładne światło!

Lekki wietrzyk szeleścił ruchliwymi liśćmi, co sprawiało, iż jasne smugi drgającego, tańczącego światła tworzyły cudowne połączenie tajemniczości i wesołości na przemian (tak to przynajmniej Arietta odczuwała).

— Doprawdy, nie widzisz, jakie to ładne? — zwróciła się do matki trwającej w upartym, nadąsanym milczeniu. — Tatuś sam zrobił tę zasłonę: wpuszcza światło i chroni przed deszczem. Będziemy mogli wyglądać przez okno, ale nikt nie będzie mógł zajrzeć do nas.

— A któż mógłby zaglądać? — zainteresowała się Dominika.

— Czy ja wiem? Każdy przechodzień. Spiller na przykład — dodała w chwili nagłego natchnienia.

Dominika od razu złagodniała.

— Hm — mruknęła, nie angażując się jednakże w żadną

— 125 —

y<t:

obowiązującą wypowiedź, ale obejrzała dokładnie obnażony korzeń, biegnący pod tarasem, zauważyła skręconą pętlę i w końcu przesunęła dwoma palcami po naprężonym sznurku.

— Trzeba pamiętać — wyjaśnił Strączek, jednocześnie rozsuwając zasłonę — ażeby sznurka nie szarpać i nie oderwać od korzenia. Rozumiecie, co mówię?

— A czy to nie szkoda światła? — wyraziła powątpiewanie Dominika. — Teraz jest jeszcze lato, słońce grzeje. Ale przecież nadejdzie...

Wzdrygnęła się i zacisnęła wargi, jak gdyby to straszne słowo nie chciało przejść jej przez usta.

— ...zima — dokończył za nią odważnie Strączek. — Przede wszystkim do zimy jeszcze daleko, a po drugie, mówiłem ci już, że ta zasłona nie jest na stałe, można ją w każdej chwili unieść — o, tak, widzisz!

Manipulował jakiś czas przy węźle na korzeniu, aż gałąź poderwała się w górę na rozluźnionym sznurku i jama znalazła się znów w pełnym blasku słońca.

— Czy teraz jesteś zadowolona? — zapytał Dominikę, nie ukrywając satysfakcji.

I

I

Podczas śniadania usłyszeli znów ryk osła, długi i przeciągły, na który nieoczekiwanie odpowiedziało rżenie konia.

— Bardzo mi się to nie podoba — oświadczyła Dominika, odsuwając od siebie skorupkę orzecha, napełnioną wodą z miodem.

Dziś wszystko jakby się uwzięło, żeby straszyc Dominikę: w chwilę później rozległo się szczekanie psa, i to gdzieś

— 126 —

całkiem blisko. Dominika zerwała się na równe nogi; łapiąc się za głowę i wodząc dookoła nieprzytomnymi ze strachu oczyma, wołała:

— Nie mogę! Nie mogę już dłużej! To okropne! Nerwy mam w strzępach!

— Czego się boisz, mamó? — próbowała ją uspokoić Arietta. — Przecież to daleko... Tam pod laskiem jest dróżka, widziałam z żywopłotu. Ludzie tamtędy przechodzą, nic dziwnego, że pies szczeka.

— Ona ma rację — przytaknął Strączek. — Nie martw się na zapas. Siadaj i jedz!

Dominika z niesmakiem spojrzała na nadgryzione ziarno pszenicy, suche i twarde jak bułka w trzy dni po pikniku.

— Moje zęby są na to zboże za słabe — wyznała ze smutkiem.

— Z tego, co mówi Arietta — zaczął wyliczać Strączek, zginając za każdym razem po jednym palcu lewej ręki — wynika, że pomiędzy nami a tą dróżką jest jeszcze pięć barier: pierwsza — to potok zaraz za zakrętem, druga — to paliki z zardzewiałym drutem, trzecia — to spory lasek, czwarta — to jeszcze jeden żywopłot, piąta — to pastwisko... prawda, Arietto? Mówiłaś mi, żeś widziała to wszystko, gdy wspięłaś się na żywopłot.

Arietta kiwnęła głową i dodała:

— A dróżka biegnie skrajem pastwiska — tyle że nie jest zarośnięta trawą.

— No, widzisz! — zawołał Strączek triumfująco i poklepał żartobliwie żonę po plecach. — Wszystko jest jasne! Na pastwisku ktoś pewno uwiązał osła. Cóż w tym groźnego? Osioł cię nie zje — ani osioł, ani koń!

- 127 -

LV**

— Ale pies — odparła Dominika. — Pies może nas zjeść. Słyszałam szczekanie psa.

— I co z tego? — wzruszył ramionami Strączek. ~ Słyszałaś nie po raz pierwszy i nie po raz ostatni. Jak byłem mały, w domu, w którym mieszkałem, było pełno psów. Głównie myśliwskie — setery. Z psami można dojść do ładu, można się nawet z nimi dogadać.

Dominika milczała przez chwilę. W zamyśleniu turlała po kawałku deseczki, służącej im za stół, tam i z powrotem okrągłe ziarno pszenicy.

— Nie jest dobrze — westchnęła.

— Co to znaczy? — zirytował się w końcu Strączek.

— Jest bardzo niedobrze. Musimy wziąć się do czegoś., coś zrobić... przygotować się... do zimy.

— A czyż pie przygotowujemy się? Nie staramy się ciągle

o coś nowego?

Rzucił okiem w stronę córki i dodał:

— Nie do razu Rzym zbudowano — tak jak pisze w tej „Księdze przysłów” Arietty.

— Musimy znaleźć jakieś mieszkanie... mieszkanie gdzieś u Ludzi — mówiła dalej Dominika.

— O, to nam jest potrzebne... Dom, gdzie będzie ogień... i ciepło...

1 jakieś okruchy... reszteczki... I żeby było się czym przykryć. Albo — dokończyła po chwili wahania z nagłą decyzją — wracajmy tam, gdzie byliśmy. Do naszego dawnego mieszkania. W

„Stokrotce”.

Zapanowało głucho milczenie.

— Coś ty powiedziała? — zapytał Strączek, gdy wreszcie mógł wydobyć głos z zaciśniętej krtani. — Coś ty powiedziała?

Arietta zaś westchnęła z wyrzutem:

— 128 —

— Och, mamo!...

Ale Dominiki nie można już było powstrzymać.

— Wysłuchaj mnie, Strączku: wszystkie te jagódki i orzeszki, i ta dzika róża, i ta mięta, i to szczekanie psów, i te lisy w norze borsuka, i to włożenie do buta, i to kapanie deszczu nad głową, i ten brak ciepłej strawy, i w ogóle... mam tego powyżej uszu! Już dłużej wytrzymać nie mogę! Wracajmy do tamtego mieszkania, mówię wam, i ukryjmy się pod kuchnią. Już raz zrobiliśmy tak, pamiętasz, wtedy gdy bojler pękł... możemy zrobić to samo i teraz!

Strączek spojrzał na nią i zaczął mówić z powagą, tonem spokojnej perswazji:

— Chyba nie zdajesz sobie sprawy z tego, co mówisz, Dominiko. Myślisz, że oni czekają na nas z otwartymi ramionami? Jakby tylko zwierzyli, żeśmy wrócili, na pewno sprowadziliby kota, zastawili sidła, porozrzucali truciznę, słowem, zrobiliby wszystko, żeby znów się nas pozbyć. Nie możemy wrócić, Dominiko, pod żadnym pozorem nie możemy wracać do „Stokrotki”. To się skończyło raz na zawsze, musisz to zrozumieć, czy ci się podoba, czy nie. Słyszysz?

A ponieważ Dominika nie odpowiadała, zwrócił się do Arietty:

— Nie przeczę, mamy trudności, tak, owszem, przyznaję, trudności są niemałe. I niełatwo się z nimi uporać. Ale jeśli nie będziemy działali zgodnie, to koniec z nami — rozumiecie? Koniec nie tylko z nami, z naszą rodziną, ale i — jak to już kiedyś powiedziałaś, Arietto — z całym naszym rodem. I proszę was, żebyście od tej chwili — dokończył uroczyście — żadna z was, ani ty, ani

9 — Pożyczalscy idą w świat

— 129 —

«

twoja matka... nigdy więcej nie wspominały o powrocie do tamtego mieszkania!

Na Ariettie słowa te wywarły wielkie wrażenie. Najwidoczniej na Dominice także. Milczały obie dłuższą chwilę.

— Zrozumiałyście? — zapytał Strączek surowo.

— Tak, tatusiu — wyszeptała Arietta.

A Dominika tylko pokiwała głową, nie mogąc wykrztusić ani słowa.

— W takim razie w porządku — rzekł Strączek już łagodniej. — Jak to jest w tej twojej „Księdze przysłów”, Arietto? „Mądrej głowie dość dwie słowie”.

Po chwili dodał wesoło:

— A teraz dajcie mi ten włos koński. Posprzątaj po śniadaniu, Dominiko, a ty, Arietto, idź nad potok i przynieś mi spory kawałek kory. Tylko nie marudź, wracaj* zaraz. A ja się zabiorę do splatania sieci.

Dominika kiwnęła głową. Nie zapytała go nawet (czego na pewno nie omieszkaby zrobić w innych okolicznościach), w jaki sposób — gdyby udało im się nawet złowić w sieć rybę — miałyby ją ugotować? Na czym? A przecież nikt nie jada ryb na surowo!

Strączek, choć tak zręcznie umiał wiązać sznurek, nie bardzo dawał sobie radę z włosiem końskim. Długi, sprężysty włos z końskiego ogona wyslizgiwał się z oczka igły i nie dawał się z powrotem nawlec.

Po zakończeniu drobnych robót domowych Ariettę wysłano nad potok. Zabrała z sobą dwa puste worki, jeden nawoskowany, nieprzemakalny, na wodę, drugi na korę. Strączek poprosił Dominikę, żeby mu pomogła. Pracując

- 130 —

r

razem, splatali z włosa końskiego sieć na wzór pajęczyny, w czym celowała Dominika, gdyż umiała dobrze szydełkować.

— Kto to jest ten Spiller? — zapytał Strączek, zniżając głos, choć Arietty nie było w domu.

Dominika zachnęła się:

— Ach, nie mów mi o nim! Ale Strączek nie ustępował.

— Jak on wygląda? Powiedz mi!

— Wzrostu tego, co i my. Ale ja nie wiem — i Dominika podniosła głos z rozdrażnieniem — kto to jest... i wcale nie chcę wiedzieć! Rzucił we mnie jakimś insektem — tyle wiem o nim, i koniec. To on ukradł nasze nożyczki i naszą szpilkę.

— Jesteś tego pewna? — zapytał Strączek ostrożnie.

— Jestem tak samo pewna — odparła Dominika — jak tego, że tu z tobą siedzę. Gdybyś go widział!...

Strączek zastanawiał się chwilę.

— A wiesz — rzekł z namysłem — chciałbym go zobaczyć!

Zwinne palce Dominiki pracowały bez wytchnienia i sieć pajęcza rosła po prostu w oczach. Gdy była już prawie gotowa, rozpostarli ją w powietrzu, trzymając każde za jeden koniec — i w tym momencie skoczył nagle konik polny i wplątał się w jej oczka. Po wielu trudach i ostrożnościach, żeby nie uszkodzić sieci, udało im się oswobodzić szamoczącego się owada.

— Ojej! — jęknęła Dominika. — Czas pomyśleć o obiedzie. Spójrz na te cienie — powiedziała, wychylając się z tarasu — już musi być późno, a Arietty wciąż jeszcze nie ma. Czy jej się aby co złego nie przytrafiło?

— 131 —

— Pewno pluska się w wodzie — rzekł Strączek. — Gorąco, wcale bym się nie dziwił.

— A czy nie powiedziałaś jej, jak wychodziła: „Wracaj zaraz, nie marudź”?

— Nie pamiętam, czy tak powiedziałem — odparł Strączek. — Ale ona wie sama, że ma nie marudzić i zaraz wracać.

— Ariecie trzeba to powtarzać za każdym razem, gdy wychodzi. To przecież jeszcze dziecko.

— Skończy niedługo czternaście lat — przypomniał Strączek.

— Ale na swoje lata jest jeszcze bardzo dziecinna. Trzeba powtarzać jej za każdym razem, bo będzie się tłumaczyła, że nikt jej nic nie mówił, więc nie wiedziała...

Dominika starannie złożyła ukończoną sieć, wstała, otrzepała spódnice i zaczęła krzątać się po przybudówce. Przede wszystkim sięgnęła do półeczki, na której rzędem wisiały narzędzia Strączka.

— Głodny jesteś, Strączku?

(Było to pytanie raczej retoryczne. Głodni byli stale, wszyscy troje, cały dzień. O żadnej porze, nawet zaraz po posiłku, nie byli syci).

— A co masz?

— Jest parę orzechów, jest kiść głogu, jest garść jeżyn, ale już trochę spleśniałe.

Strączek tylko westchnął.

— Niech będzie — rzekł krótko.

— Ale co? — spytała Dominika.

— Orzechy są najbardziej pożywne...

— No, powiedz sam, co ja mam robić? — zapytała

— 132 —

Dominika, nieszczęśliwa. — Może masz jakiś pomysł? Może pójdziesz i nazbierasz poziomek?

— Wiesz, to dobra myśl — rzekł Strączek i zaczął gotować się do wyjścia.

— Ale musisz dobrze szukać — pouczała go Dominika. — Poziomek jest bardzo mało. Ktoś je widać podbiera. Może ptaki wydziobują. A może — dokończyła z goryczą — ten Spiller podkrada?

— Cicho! — upomniał ją Strączek, podnosząc palec ostrzegawczo do ust.

Stał chwilę na brzegu jamy i nasłuchiwał.

— Słyszysz? — zapytał Dominikę.

— Słyszę — odpowiedziała. — Co to jest?

— Głosy — odparł Strączek.

— Jakie głosy? Czyje?

— Ludzkie — rzekł krótko.

— O, mój kochany... — jęknęła Dominika.

— Ciszej — zgromił ją Strączek.

Stali bez ruchu, nadstawiając uszu. Dochodziło ich odległe buczenie owadów znad trawy i brzęczenie muchy, która wpadła do przybudówki. Krążyła śmiało nad nimi i w końcu przysiadła na piaszczystej podłodze, tam gdzie Dominika niosąc śniadanie rozlała kapkę miodu. I nagle usłyszeli blisko, przerażająco blisko, dobrze znany dźwięk — od którego pobledli oboje, a serca ich napełnił strach. Ten znany dźwięk to był śmiech Człowieka.

Ani jedno, ani drugie nie ruszało się z miejsca: zmartwiali z przerażenia, nasłuchiwali. Po krótkiej pauzie usłyszeli — jeszcze bliżej — głos Człowieka wykrzykującego ostro jakieś jedno krótkie słowo, a w chwilę później ujadanie psa.

— 133 —

• † «'

Strączek pochylił się — jednym ruchem ręki szarpnął sznurek i przyciągnął do siebie pęd dębu. Musiał zdobyć się na duży wysiłek, ażeby nisko przygiąć gałęzie. Ale już po chwili wejście do ich schronu zostało zamknięte i zamaskowane gęstą zieloną zasłoną.

Dominika, oszołomiona tą nagłą zmianą światła, nie widziała nic w półmroku.

— Czy to wystarczy? — zapytała, starając się zdobyć na spokój. — Nie będzie widać od zewnątrz?

— Na pewno nie — odparł Strączek, badając jednocześnie ręką, czy gałąź jest dość dobrze umocowana. — A teraz — rzekł zaczerpnąwszy tchu — daj mi tę drugą szpilkę.

I w tym momencie stało się coś bardzo dziwnego. Strączek wyciągnął rękę — i nagle w jego ręce znalazła się szpilka do kapelusza, ale znalazła się za szybko jak na to, by zdążyła ją przynieść i podać Dominika. Jakiś cień ukazał się na tle liści, jakaś niewielka sylwetka... A szpilka... była to ta sama szpilka, która im uprzednio zginęła!

— Spiller! — krzyknęła Dominika schrypniętym głosem.

I

ttt<

UI

I

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

„Dobre maniery ważniejsze od dobrego jadła”

W Wielkiej Brytanii wprowadzono nowy styl, r. 1752 (Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Arietty,

U września)

\^^ss>^SSS^

S pilic

Ier przesunął się poprzez liście jak cień. Gdy wszedł, Dominika po raz pierwszy ujrzała z bliska jego twarz i zmierzwioną czuprynę. W ręku trzymał dwa worki: jeden pusty, drugi pełny. Były to te same worki — Dominika poznała je i serce w niej zamarło — które rano zabrała z sobą Arietta.

— Coś ty z nią zrobił?! — krzyknęła, nie panując nad sobą ze strachu o córkę. — Coś ty zrobił z Ariettą?!

Spiller podniósł głowę, żeby zobaczyć, kto do niego mówi.

— Spotkałem ją, jak szła przez pole — rzekł obojętnie, a twarz jego pozbawiona była jakiegokolwiek wyrazu. — Puściłem ją na wodę — uzupełnił niefrasobliwie.

Dominika wbiła dziki wzrok w piaszczystą ścianę przybudówki, tak jakby mogła przebić ją spojrzeniem i

zobaczyć pole — to samo pole, po którym biegli przerażeni w dniu ucieczki.

— Coś zrobił?! — wykrzyknął Strączek.

— Puściłem ją na wodę — powtórzył Spiller flegmatycz-nie. — W mydelniczce — dodał, podnosząc głos z rozdrażnieniem, jakby mówił do głuchego.

— 135 —

>»•

• | %'

EB&f

Strączek otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale zamilkł przerażony. W tej samej chwili usłyszał odgłos kroków w pobliżu rowu, kroków tak ciężkich i groźnych, że cały nasyp zadrżał i młoteczek spadł z gwoźdźcia. Po chwili rozległo się szczekanie psa.

— Nie bójcie się — rzekł Spiller, przeczekawszy pełną napięcia pauzę. — Skręć w lewo, a potem pójdą na przełaj. Cyganie — wyjaśnił rzeczowo. — Idą polować na króliki.

— Cyganie? — powtórzył Strączek jak echo i otarł rękawem czoło, na którym perliły się kropelki potu.

— Tak — rzekł Spiller. — Mieszkają tam, zaraz za drózką. W domu na kółkach.

— Cyganie... — powtórzyła Dominika i oczy jej się zaokrągliły z przerażenia.

Chwilę z zapartym tchem nasłuchiwała.

— Tak — powtórzył Spiller, również nasłuchując. — Teraz pójdą przez ściernisko na przełaj.

— Gdzie Arietta? — wykrzyknął Strączek.

— Już mówiłem — odparł Spiller.

— Coś o mydelniczce? Czy...

— Żyje? — przerwała Strączkowi Dominika. — Zdrowa? Mów!

— Żyje, nic jej się nie stało. Już powiedziałem. W mydelniczce... pływa — rzekł Spiller i z zainteresowaniem rozejrzał się po przybudówce. — Spałem raz w tym bucie — dodał tonem konwersacji towarzyskiej, wskazując głową but.

Dominika zatrzęsała się cała.

— Nie mówmy teraz o bucie! — krzyknęła. — Opo-

— 136 —

„

wiedz nam wszystko po kolei, co wiesz o Ariecie! Co to za mydelniczka? Co się stało z Ariettą? Gdzie ona jest?

Niełatwo było zbudować zwartą opowieść z krótkich, urywanych zdań Spillera, ale w końcu ułożyły się w sensowną całość. Spiller, jak wynikało z jego słów, był posiadaczem górnej połowy aluminiowej mydelniczki, na tyle głębokiej, że mógł stanąć w niej jak w łódce i przeprowiać się przez potok. Jego letnie obozowisko czy też, ściślej mówiąc, domek myśliwski — znajdowało się w starym, poczerńiałym imbryku, osadzonym w mule nad wodą. Miał chyba nie jedno miejsce zamieszkania, lecz kilka — w swoim czasie mieszkał także i w bucie — i żył z tego, co udało mu się pożyczyć z budy cygańskiej. Z łupem przeprowiał się łodzią, co pozwalało mu zmieniać miejsce pobytu szybko i bez pozostawiania po sobie śladów. Z powrotem musiał płynąć pod prąd i jest bardzo wdzięczny, tak powiedział, za tę szpilkę, która służyła mu nie tylko jako ostra i giętka żerdź do odbijania się od dna, ale także jako harpun. Tak się rozczulał nad tą szpilką, że obojgu, Dominice i Strączkowi, zrobiło się ciepło na sercu, jak gdyby dobrowolnie zdobyli się na szlachetny gest obdarowania biedaka.

Strączka świerzbil język, ażeby dowiedzieć się, po co Spillerowi potrzebne jest ostrze nożyczek, ale nie mógł się zdobyć, by zapytać go wprost, w obawie, że w tak przyjemnej atmosferze niewinnej radości pytanie to wywoła niepotrzebny zgrzyt.

Tego dnia po południu Spiller miał w swej łodzi dwie kostki cukru, szczyptę herbaty, trzy metalowe zakrętki do

— 137 —

« » »

włosów i jeden z tych płaskich złotych kolczyków, jakie zazwyczaj noszą Cyganki w przekłutych uszach, i przewoził to wszystko poprzez tę część potoku, która rozszerza się w jeziorko. Nagle zobaczył na brzegu Ariettę, taplającą się bosymi nóżkami w mule przybrzeżnym. Trzymała w ręku liść tataraku i bawiła się nim w dziwny sposób: zdawała się polować na żaby. Gdy któraś żaba, nie podejrzewając nic złego, wygrzewała się spokojnie na słońcu, dziewczynka zakradała się po cichu i uderzała ją znienacka liściem po grzbiecie. Rozlegał się najpierw rechot, a potem plusk — to żaba dawała nura w wodę. Arietta zaproponowała Spillerowi, żeby przyłączył się do tej zabawy, nie wiedząc, że ktoś jeszcze przypatruje się tym igraszkom z wielkim zainteresowaniem — mianowicie pies Cyganów, mieszaniec kundla z chartem, który stał na zalesionym brzegu jeziorka i nie odrywał od niej ślepi. Nie wiedziała o tym ani nie słyszała w pobliskich krzakach szelestu, który mógł znaczyć, iż właściciel czy właścicielka psa znajduje się tuż obok.

Spiller zdążył uskoczyć w bok, wepchnął Ariettę do mydelniczki, rzucił jej spieszenie kilka niezbędnych wskazówek co do miejsca położenia imbryka i pchnął łódkę z prądem.

— Ale czy ona go znajdzie? — zaniepokoiła się Dominika. — Czy znajdzie ten imbryk?

— Nie może nie znaleźć — zapewnił ją Spiller i zaczął wyjaśniać szczegółowo, jak to nurt sam niesie czołno w kierunku jego kryjówki.

— Jedyne, co ma do zrobienia — mówił — to dopłynąć, wyładować szybko zapasy i wrócić pieszo.

— Wzdłuż rury gazowej? — zapytał Strączek.

— 138 —

i Spiller rzucił na niego zdziwione spojrzenie.

— Górna połowa mydelniczki — wymamrotała Dominika w zamyśleniu. — Żeby tylko dziecko dało sobie radę!...

— Da sobie radę — zapewnił Spiller. — I nie zostawi śladów na wodzie.

— Dlaczego nie wsiadłeś razem z nią do tego czołna? — zapytał Strączek.

Spiller spuścił oczy i otarł grzbiet dłoni o swoje mo-leskinowe spodnie.

— Nie starczyłoby miejsca na dwoje — odparł. — I przecież łódź była załadowana.

— Należało wszystko z łodzi wyrzucić — rzekł Strączek z wyrzutem.

Spiller skrzywił się, jakby ten temat potężnie go nu-!: dził.

— Może i racja — rzucił bez przekonania.

— Skoro byliście oboje widoczni — a byliście przecież — i nie mieliście gdzie się skryć, jakie znaczenie wobec tak wielkiego niebezpieczeństwa miało to, co znajdowało się w łodzi?

Spiller był wyraźnie niezadowolony z tego wypytywania.

— Płytkie to moje czołno. Nie było miejsca na dwoje.

— Och, Strączku! — zawołała nagle Dominika z przejęciem.

— Co takiego?

— Ten chłopiec — i głos Dominice załamał się. — Spójrz na niego... on przecież...

I wyciągnęła obie ręce do Spillera.

— 139 —

• | %«

yo

!

Strączek posłusznie spojrział na niego: Spiller stał na swoim miejscu, zakłopotany i nieopisanie niechlujny.

— Uratował jej życie! — zawołała Dominika entuzjastycznie. — Uratował jej życie... z narażeniem własnego!

— Z narażeniem własnego? — powtórzył Strączek z powątpiewaniem. — Fakty mówią co innego, moja droga — dodał z niezaprzeczalną logiką. — Przecież on jest tu, a jej... nie ma!

— Ale zaraz będzie! — zawołała Dominika w nagłym przypiływie optymizmu. — Wszystko będzie dobrze, zobaczysz! I przyniósł szpilkę z powrotem. Ten chłopiec to bohater!

I Dominika, jak to Dominika, od razu zaczęła się krzątać, ażeby przygotować coś do jedzenia.

— Siadaj, Spiller — poprosiła gościnnie — odpocznij sobie. Zmęczyłeś się, to kawał drogi od potoku. Czym można cię poczęstować? Miałbyś ochotę na dziką różę... albo na orzeszek? Nie przelewa się u nas — dodała z zażenowanym uśmiechem — jesteśmy tu od niedawna, jeszcze nie urządziliśmy się całkowicie...

Spiller wsadził rękę do kieszeni.

— Ja tu coś mam — i rzucił na deseczkę, pełniącą rolę stołu, coś sporego, ciężkiego i ociekającego sokiem.

Dominika przybiegła, zaciekawiona.

— Co to jest? — zapytała, patrząc pożądliwie.

Ale zanim skończyła mówić, już wiedziała. Zapach pieczonej dziczyzny mile połąskotał jej nozdrza — tak rozkosznie smakowity, że od tego zapachu zakręciło się jej w głowie. Tak pachnie pieczone...

— 140 —

— Mięso — wyjaśnił krótko Spiller.

— Mięso? Ale jakie? — zainteresował się Strączek.

I jemu oczy błysnęły łakomie. Surowizna, składająca się wyłącznie z owoców dzikiej róży i z orzeszków, może jest i higieniczna, ale bez wątpienia powoduje nieustanną czczość w żołądku...

— Nie chcę wcale wiedzieć! — zawołała Dominika, zatykając sobie uszy.

I dodała ciszej, tonem usprawiedliwienia:

— Wolę jeść i nie wiedzieć. Siadajmy do stołu.

I zaczęła krajać mięso ostrzem ułamanej żyłki. Strączek wodził oczyma za każdym jej ruchem. Spiller patrzył na oboje z pewnym zdziwieniem: mając zawsze mięsa pod dostatkiem, nie odczuwał nigdy wielkiego głodu.

— Odłóżmy jakiś ładny kawałek dla Arietty — mówiła Dominika i przypominając sobie co pewien czas o zasadach dobrego wychowania, podsuwała plasterek mięsa Spille-rowi i zapraszała go do jedzenia.

Strączek zjadał ze smakiem, ale jednocześnie rozmyślał na głos:

— Jak na mysz polną za duże... Jak na królika za małe... Gronostaje nie są jadalne... Co to może być? Ptak chyba... Nic innego, tylko ptak!

Dominika jęknęła udręczona:

— Przestań, Strączku... proszę cię!

I zwróciła się do Spillera z nieśmiałym pytaniem:

— Jedno, czego chciałabym się dowiedzieć: w jaki sposób Spiller piecze to mięso? Jest dobrze skruszałe, w sam raz upieczone, rozplywa się w ustach... wyborne!

— 141 —

• ! %«

4

Ale Spiller tylko wzruszył ramionami.

— To bardzo łatwe — rzekł krótko.

„Łatwe! — pomyślała Dominika z goryczą. — Dla niego może i łatwe... ale jak tu upiec pieczeń, nie mając ani rusztu, ani kawałka węgla, ani odrobiny koksu?”

I oprócz zrozumiałej wdzięczności czuła jeszcze wielki podziw dla Spillera. Podobał jej się ten chłopiec, podobał jej się od pierwszego wejrzenia, tak, była o tym teraz świeżo przekonana.

Arietta wróciła do domu i zastała wszystkich przy uczcie. Przedzierając się poprzez zasłonę zbitych gęsto liści, potknęła się, zachwiała i runęła jak długi.

Dominika zerwała się na równe nogi.

— Co ci jest, dziecino? Co się stało? Uderzyłaś się?

— Nic mi nie jest — rzekła. — Mam tylko zawrót głowy. I patrząc z wyrzutem na Spillera, rzekła z pretensją:

— Puściłeś mnie na wodę... a to czołno kręciło się i kręciło, i kręciło, i kręciło...

— Dość, Arietto! — upomniała ją matka. — Bo od takiego gadania i nam wszystkim zacznie kręcić się w głowie! Spiller zachował się wobec ciebie bez zarzutu. Powinnaś być mu wdzięczna. Gotów był oddać życie za ciebie...

— Nie przesadzaj, Dominiko! — ostudził ją Strączek. Lecz Dominika mówiła dalej, nie zwracając uwagi na

męża:

— ...i przyszedł tutaj do nas, i przyniósł twoje worki, i powiedział, żebyśmy się o ciebie nie niepokoili. Powinnaś podziękować mu, Arietto!

— 142 —

— Dziękuję ci, Spiller — powtórzyła Arietta posłusznie.

— Chodź, moje dziecko — rzekła Dominika — i bądź grzeczna. Siadaj do stołu. Mała nie miała nic w ustach od śniadania — dodała tonem usprawiedliwienia — i dlatego tak jej się w głowie zakręciło. Zostawiliśmy dla ciebie kawałek dobrego mięsa...

— Czego? Kawałek czego? — zapytała Arietta, nie wierząc własnym uszom.

— Mięsa — powtórzyła Dominika wyraźnie, unikając jednakże spotkania z jej wzrokiem.

Arietta zerwała się i podbiegła do stołu. Wpatrywała się przez chwilę w brązowe, apetyczne plasterki pieczeni.

— A ja myślałam — rzekła z wolna — że my jesteśmy wegetarianie...

Po chwili podniosła głowę i spojrzała na Spillera. W jej oczach malowało się zaciekawienie.

— Czy to jest... — zaczęła i nie dokończyła pytania. Spiller szybko — zbyt szybko — potrząsnął głową na

znak zaprzeczenia, co tylko utwierdziło Ariettę w jej niedobrych przeczuciach.

— Po co pytać? — wtrąciła Dominika i od razu znalazła wyjaśnienie: — To Cyganie zostawili... resztki... a on tu przyniósł.

— Cyganie zostawili... — powtórzyła Arietta bezdźwięcznie.

Ujęła w dwa palce plasterek mięsa, skosztowała ostrożnie i przymknąwszy oczy, rozkoszowała się i smakiem, i zapachem.

— Cyganie upolowali? — zapytała niedowierzająco.

— 143 —

>•

• » • |

— Nie — sprostował Strączek. — To Spiller upolował.

- Tym razem podziękowanie nie brzmiało już zdawkowo, lecz wyrażało szczerą wdzięczność.

„Kto sięga wysoko, ten spada nisko”¹

Pierwszy wzlot balonu w Anglii, r. 1784 (Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Arietty,

1 * września)

i nil III II n 111111 \ i W \ |/\vV^v\^v\^vV^vV^W^v^v^v

Wd tego dnia obiady poprawiły się wyraźnie, stały się i smaczniejsze, i posilniejsze — co miało pewien ukryty związek, jak domyśliła się Arietta, ze skradzionym ostrzem nożyczek.

„Skradzionym?” Jak nieprzyjemnie brzmi to słowo i jakże rzadko używane jest w języku Pożyczalskich!

- Ale jak to można nazwać inaczej? — rozmyślała na głos Dominika, podczas gdy Strączek przyszywał łąkę do jej trzewiczka. — Czego się zresztą można po nim spodziewać — po takim biednym, bezdomnym, ciemnym chłopcu, wyciągniętym z rynsztoka...
- Chyba z wykopu chciałaś powiedzieć — poprawiła ją Arietta rzeczowo.
- Powiedziałam to, co chciałam powiedzieć: z rynsztoka — powtórzyła Dominika z godnością. — To taki utarty zwrot. Nie — mówiła dalej, obciągając na sobie spódnice, ażeby zakryć pończochy, które świeciły wielkimi dziurami na palcach, o czym dobrze wiedziała — nie, nie można temu chłopcu mieć

tego za złe. Nie otrzymał żadnego wychowania, więc gdzie miał się nauczyć etyki?

— Czego? — zapytał Strączek.

Dominika, biedactwo, nie była zbyt wykształcona, ale

10— Pożyczalscy idą w świat

— 145

• ' %'

*«\j

czasem błysnęła jakimś słowem, które Strączka zaskakiwało, a zaskakiwało jeszcze bardziej, jeśli przypadkiem zostało użyte trafnie.

— Etyki — powtórzyła Dominika chłodno i z niezachwianą pewnością siebie. — Chyba wiesz, co to jest etyka, prawda?

— Nie, nie wiem — przyznał Strączek szczerze. — To przypomina mi coś takiego wysokiego, długiego...

— To jest „tyka”, a nie etyka — sprostowała Dominika.

— Ale czy ta etyka — zapytał Strączek, wygładzając lekko poślinionym palcem szew na świeżo przyszytej łacie — to nie coś takiego, co zatyka?

— O, nie! — powiedziała Dominika. — To jest zatyczka. A etyka to... — i zająknęła się.

— Jakie to dziwne — wtrąciła się Arietta. — Nie możecie się pogodzić.

— Co do czego? — spytała Dominika.

— No, co do tej etyki. Dla jednego znaczy to, dla drugiego tamto...

— Mylisz się, moja droga! — zaprotestowała Dominika. — Etyka, dziecko moje, znaczy jedno i to samo dla wszystkich. W tym właśnie rzecz. A Spiller nie ma pojęcia, co to jest etyka. Któregoś dnia — mówiła dalej — porozmawiam z tym biednym chłopcem szczerze, serdecznie, po przyjacielsku...

— O czym? — zapytała Arietta.

Dominika pominęła to pytanie; twarz jej przybrała pewien szczególny, uroczysty wyraz, którego wcale nie chciała zmieniać.

— „Spiller — powiem mu — tyś nigdy nie miał matki...”

— 146 —

— Skąd wiesz, że on nigdy nie miał matki? — zapytał Strączek. — Przecież musiał mieć — dodał rozsądnie po chwili zastanowienia. — Każdy ma przecież matkę.

— I on miał także — odezwała się Arietta. — Od niej usłyszał, jaki mu dano przydomek.

— Co to jest „przydomek”? — zainteresowała się Dominika.

— Spiller to jego nazwisko — odparła Arietta. — A przydomek — „Straszny”.

— Jaki? — zapytała Dominika.

— „Straszny”.

— Trudno, powiedz jaki — wyszeptała Dominika. — Nie jesteśmy dziećmi.

— Właśnie mówię: „Straszny” Spiller. „Jesteś straszny chłopiec” — tak mówiła mu matka przy obiedzie i on to zapamiętał. I tak już zostało, potem już nazywali go wszyscy: Straszny Spiller.

Twarz Dominiki przybrała wyraz łagodnej pobłażliwości.

— To właśnie mu powiem — i uśmiechnęła się smutno. — „Straszny”, powiem mu, mój drogi chłopcze, moja ty biedna sierotko...

— Skąd wiesz, że on jest sierotą? — przerwał jej Strączek. — Pytałaś go, czy ma rodziców?

— Spillera nie można o nic pytać — odezwała się szybko Arietta. — Czasami on sam coś powie, ale pytać go nie należy. Zapytałaś go, w jaki sposób piecze mięso — przypominasz sobie? A on nie tylko nie odpowiedział, ale od dwóch dni przestał się pokazywać.

— Tak, to prawda. — potwierdził Strączek ponuro — i od dwóch dni jesteśmy bez kawałeczka mięsa. Słuchaj,

— 147 —

• » • |

rAf-

r**V

chaj, Dominiko — zwrócił się nagle do niej — już zostaw ty lepiej tego Spillera w spokoju.

— Ale ja przecież ze względu na jego dobro... — broniła się Dominika. — Nie mam zamiaru o nic go pytać, chcę mu tylko powiedzieć. Powiem mu tak... — i znów na jej ustach pojawił się rozanielony uśmiešek: — „Spiller, mój biedny chłopcze”... albo: „Straszny, mój biedny chłopcze”...

— Nie możesz nazywać go: Straszny, mamó! — przerwała jej Arietta. — Jeszcze się o to obrazi!

— Niech będzie po prostu: Spiller — zgodziła się Dominika. — Ale muszę go nauczyć...

- Czego chcesz go nauczyć? — spytał Strączek zirytowany.
- No, tej etyki! — wypaliła Dominika triumfalnie. — Tego, co w nas wpajano od dzieciństwa. Że nie wolno pożyczać do Pożyczalskich.
- Strączek niecierpliwie odgryzł nitkę.
- To on wie sam — rzekł, podając Dominice trze-wiczek. — Masz, już naprawiony, możesz włożyć.
- A jak było z naszą szpilką od kapelusza? — przypomniała Dominika.
- Przecież ją zwrócił.
- Ale ostrza nożyczek nie zwrócił.
- Służy mu do polowania — wyjaśniła Arietta. — A my dostajemy mięso.
- Do polowania? — zdziwiła się Dominika. — Nigdy bym się nie domyśliła!
- Wiesz co, Dominiko — powtórzył Strączek — zostaw ty tego chłopca lepiej w spokoju!

Dominika mocowała się ze sznurowadłem trzewiczka.

— 148 —

— Ale w jaki sposób on je piecze? — mruknęła na pół do

siebie. — Tak się nad tym zastanawiali 1...

— Nie ma się nad czym zastanawiać — rzekł Strączek,

odwieszając narzędzia na swoje miejsce . — A pytać go na

pewno nie należy.

— Biedne, osierocone dziecko... — zaczęła znów Do-

minika i przesunęła dłonią po oczach, jak gdyby chciała

otrzeć łzy.

RUI

I V

Im ii R

M MI

M | 1

////lll wmKmm\\m

1

\?Vf .i*r^r* •<• mmmmm

yy//y///y///y//////////;

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

„Nie ma radości bez szczypty smutku⁴⁴

Krzysztof Kolumb odkrył Amerykę, r. 1492 (Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Arietty,

25 września)

Ustatnie sześć tygodni był to najszczęśliwszy (zdaniem Toma Pocziwca) okres w życiu Arietty. Nie dlatego, żeby można było nazwać ten okres beztroskimi wakacjami. Przede wszystkim musieli przejść przez całą gamę typowo angielskiej pogody: dni, kiedy pola zasnuwała mgła przypominająca mleczne szkło, a pajęczyna rozpostarta na żywopłocie lśniła jak brylanty; dni tak duszne i upalne, że zapierały oddech, dni parne i burzliwe, z błyskawicami przebiegającymi ognistym zygzakiem po niebie — wystraszona Dominika zakopywała wówczas w ziemi ostrze żyłki, gdyż, jak twierdziła, „stał przyciąga pioruny”; a potem jeden cały długi tydzień ulewnych deszczy z drobnym, przygnębiającym kapuśniaczkiem na przemian. Rów pod. nasypem rychło przeobraził się w rwący potok, po którym Spiller żeglował w swej aluminiowej mydelnicze z niebywałą zręcznością i w zdumiewającym tempie. W ciągu tego całego tygodnia Dominice i Ariecie nie wolno było ani? na chwilę wychodzić z domu, gdyż Strączek obawiał się, że mogą pośliznąć się i utonąć w mule.

— To nie żarty — mówił. — Taki wezbrany nurt porwie i poniesie do potoku, a potem dalej, coraz dalej, aż do rzeki, a rzeką aż do samego morza...

— 150 —

— Dlaczego nie powiesz: „Przez ocean aż do Ameryki”? — zapytała Dominika zgryźliwie.

Nie mogąc wyjść z domu, szukała sobie ciągle nowych zajęć: to robiła na drutach, to przygotowywała gorącą herbatę dla Strączka, to suszyła nad świecą odzież przemoczonego do nitki Spillera, on zaś w tym czasie siedział skulony i prawie nagi — ale nareszcie czysty! — we wnętrzu buta. Jama była dobrze osłonięta przed deszczem, tak że ani jedna kropla nie kapnęła do środka, ale wszędzie rozpanoszyła się niemiła wilgoć, na skórze buta pojawiła się pleśń, a po kątach rozplenił się obrzydliwy żółty grzyb, jakiego nigdy dotychczas nie widzieli.

Któregoś ranka, gdy Dominika wysunęła się z buta i weszła zziębnięta do przybudówki, zauważyła srebrną smugę, wijącą się jak wstążka po piasku, a gdy zaczęła szukać po omacku zapalek na półce z narzędziami, wydała stłumiony okrzyk — zamiast półki dłoń jej wymacała przelewające się, oślizłe cielsko ślimaka. Z tak ogromnym ślimakiem niełatwo byłoby poradzić sobie Pożyczalskim, ale ten na szczęście był skulony, jak nieżywy. Gdy udało im się wypchnąć go z zacisznej kryjówki, spadł na piaszczystą podłogę i stoczył się w dół po nasypie.

Pod koniec września nastąpił nawrót lata, jakieś dziesięć dni pięknej pogody: słońce świeciło i grzało, motyle latały, kwiaty rozkwitły powtórnie. Zabawom Arietty nie było końca. Schodziła z nasypu, przełaziła przez rów, kładła się wśród gęstej trawy i leżała bez ruchu. Odkąd poznała bliżej życie owadów, przestała się ich bać. Zrozumiała, że ich świat jest inny i że nie mają żadnego zainteresowania dla świata Pożyczalskich. Bała się tylko tych

— 151 —

•*v

wstrętnych kleszczy, które łąziły podstępnie po jej nagiej skórze i gdzie mogły, przywierały tak mocno, że trudno je było oderwać.

Koniki polne skakały nad jej głową: dziwne, zakute w pancerz stworzenia, ale całkowicie niegroźne dla takich istot jak ona. Łodyżki trawy ugiwały się przygniecione nagle ich ciężarem, Arietta zaś ze swej leżącej pozycji mogła obserwować poruszające się jak maszyna ich szczęki, gdy jadły.

W stosunku do wzrostu Arietty pszczoły były tej wielkości co ptaki w stosunku do człowieka. Pszczoły miały dla niej wymiary gołębia, a trzmiele — indyka. Wiedziała już, że ani pszczoły, ani trzmiele nie zaatakują jej same, jeśli nie zostaną sprowokowane. Buczący trzmiel, pożywiający się łapczywie na kwiatach koniczyny, zamierał w bezruchu, kiedy delikatnymi paluszkami gładziła jego włochate futerko. Dobroć wzbudza dobroć — zauważyła — a złość tylko strach. Raz jeden Arietta omal nie została użądłona; było to wtedy, gdy uwięziła pszczołę w kwiatku lwiej paszczy, zamykając rączkami jego kielich. Unieruchomiona pszczoła brzęczała i miotła się jak oszalała, a gdy Arietta wypuściła ją wreszcie,

zakołowała nad nią groźnie, ukazując żądlą.

Wiele czasu spędzała Arietta nad potokiem — uczyła się pływać i nurkować. Żaby uciekały od niej spłoszone. Ledwo zbliżyła się, wlepiały w nią wylupiające ślepia i z rechotem dawały nura w wodę, na której tworzyły się świetliste kręgi.

Po kąpeli w strumieniu Arietta lubiła przebierać się za wróżkę: spódnice robiła sobie z liści fiołków, obróconych szypułkami w górę, i umocowywała paskiem ze zwiędłej

— 152 —

1SV •"»•.'

łodygi orlika, a na głowę wkładała dzwonek naparstnicy. „Teraz wyglądam tak — mówiła sobie, patrząc na swe odbicie w kałuży stojącej wody, zebranej w kraterze po kopcy końskim — jak wyglądają gnomy, elfy, skrzaty i inne duszki z baśni". Tylko z tym przybraniem głowy jakoś nie wychodziło: jeśli obwód dzwonka był za mały, kwiatek na jej głowie sterczał niby kotpak kucharski lub różowa kiełbasa, a jeśli był za duży, opadał na ramiona jak kaptur, zakrywając jej oczy.

I dostać się do tych dzwoneczków też nie było łatwo: łodygi naparstnicy są dość wysokie. Elfy, owiane leciutką mgiełką — tak wyobrażała sobie Arietta — fruwały z kwiatka na kwiatek albo z nieopisaną gracją przebiegając tanecznym krokiem, ona zaś, biedna dziewczyna, musi przyginać całą roślinę przy pomocy kijka rozwidłonego na końcu i przysiądać na niej całym swym ciężarem, ażeby* zerwać dzwoneczki, do których nie może sięgnąć ręką. Często zdarzało się, że łodyga wymykała się jej i prostowała uparcie i dopiero po wielu próbach Ariettce udawało się zerwać pięć lub sześć kwiatów, spośród których mogła dobrać sobie w końcu odpowiedni rozmiarami kapelusz.

Spiller przyplątywał swoim przemysłnie naładowanym czółnem. Patrzył na nią wytrzeszczonymi oczyma: nie mógł przyzwyczaić się do jej dziwacznych pomysłów. Spędził całe życie na łonie natury, przywykł dawać sobie radę w każdych okolicznościach i bez niczyjej pomocy walczyć z przyrodą, nie mógł więc zrozumieć, czym jest swoboda dla kogoś, kto spędził całe swe dzieciństwo pod podłogą w kuchni: według niego żaby były do jedzenia, a nie do zabawy, trawa była do „krycia się", woda do picia, a nie do

— 154 —

pluskania się, strumień do łowienia ryb, a wszelkie owady, zwłaszcza komary i muszki, uważał za uprzykrzonych natrętów. Spiller, wiecznie na coś polujący, nie miał czasu na bez troskie zabawy.

Jeśli chodzi o pożyczanie, był on naprawdę bardzo odważny, co nawet Strączek mu przyznawał, i równie zręczny jak Strączek w czasach swojej młodości. Obaj prowadzili po kolacji długie dyskusje nad rozmaitymi zagadnieniami dotyczącymi sztuki pożyczania, wymagającej wielorakich umiejętności. Strączek reprezentował szkołę bardziej umiarkowaną: wypadły tylko przy świetle dziennym i skromne łupy — troszkę tu, troszkę tam — nic, co mogłoby wzbudzić podejrzenie. Spiller natomiast wołał technikę „kucia żelaza, póki gorące": szybko, zwinnie łapać, co pod ręką, i w nogi!

Z czego wynikała ta różnica pojęć, nietrudno było dociec, myślała Arietta, słuchając tych rozmów. Strączek to Poży-czałski domowy, skostniały w tradycyjnej rutynie, Spiller zaś trzymał się Cyganów, którzy dziś są tu, a jutro tam — musiał więc przystosowywać się do szybkich zmian.

Czasami mijał cały tydzień, a Spiller nie pokazywał się u Strączków; nie pozostawiał ich jednakże bez zapasów żywności: mieli teraz już stale gotowane lub pieczone mięso, jakieś udko tego lub owego ptaka, jakąś pieczeń, którą Dominika pocierała dla smaku zębkiem czosnku i odgrzewała nad świecą. Mąki, cukru, masła, herbaty — nawet chleba mieli także pod dostatkiem.

Spiller we właściwy mu sposób, od niechcienia, tak jakby to go nic nie kosztowało — przynosił im wszystko, czego tylko potrzebowali: kawałek aksamitu w kolorze śliwkowym na spódniczkę dla Arietty, dwie całe świece, bo

— 155 —

« * %<

rltn

WL

m

z poprzednich pozostały już tylko ogarki, cztery szpulki od nici, na których ustawili deseczkę i mieli już prawdziwy stół, sześć muszelek — ku wielkiej radości Dominiki, gdyż zrobiła z nich całą zastawę stołową...

Pewnego razu przyniósł małą okrągłą buteleczkę z jakimś lekarstwem. Odkorkował ją i zapytał:

— Wiecie, co to jest?

Dominika — nie bez obrzydzenia — powąchała bursztynowy płyn.

— Do mycia włosów? — zapytała, krzywiąc się.

— Wino — wyjaśnił Spiller, czekając na efekt, jaki wywołają jego słowa. — Dobre wino. Z czarnego bzu.

Dominika, choć przed chwilą gotowa już była skosztować, od razu zmieniła zamiar.

— „Od wina i wódki rozum krótki” — przytoczyła przysłowie zaczerpnięte z „Księgi przysłów” Arietty, a po chwili dodała surowo: — Zostałam wychowana w całkowitej abstynencji.

— On rozcieńcza to wodą — objaśnił Spiller — i pije po łyżeczce.

— Kto? — zapytała Dominika.

— Jednooki — odpowiedział Spiller. Zapanowało krótkie, lecz pełne napięcia milczenie.

— A któż to jest ten Jednooki? — zapytała w końcu Dominika.

— Do niego — odparł Spiller — należał ten but.

— O? — zdziwiła się Dominika.

Sięgnęła po miotłę z główki ostu i zaczęła zmiatać podłogę. Nie chciała być niegrzeczna, nie, chciała tylko dać do zrozumienia Spillerowi, żeby sobie poszedł, bo ona ma teraz robotę w gospodarstwie.

— 156 —

— Jaki but? — spytała po chwili.

— Ten — powiedział Spiller, wskazując ruchem głowy. Dominika przestała zmiatać. Stała i wytrzeszczyła

oczy na Spillera.

— Przecież to był but jakiegoś eleganckiego pana — rzekła po chwili.

— Był — zgodził się Spiller. — Kiedyś na pewno był.

— Nic nie rozumiem — wzruszyła ramionami Dominika.

— Był... zanim Jednooki go nie gwizdnął. Dominika roześmiała się.

— Jednooki... Jednooki... któż to jest ten Jednooki? — zapytała, postanawiając w duchu solennie, iż nie da się niczym wyprowadzić z równowagi.

— Cygan... To on świsnął te buty.

— Buty? — powtórzyła Dominika, podnosząc wysoko brwi, tak zaskoczyła ją ta liczba mnoga.

— Była para... Jednooki capnął je, kiedy stały za drzwiami kuchni... w tym dużym domu... tam... Pewno miały być oddane do reperacji... dużo par... we wszystkich rozmiarach i kolorach... wyszczotkowane, wyglansowane, aż błyszcząły.

— No i co? — zapytała Dominika zaciekawiona. — Dużo ich zabrał?

Spiller zaśmiał się.

— Tylko jedną parę... i w nogi!

— A ten nasz kto od niego... pożyczył? — zapytała Dominika. — Ty?

— Do pewnego stopnia — rzekł Spiller skromnie i dodał w formie bliższego wyjaśnienia: — Wszystko przez tego pręgowanego kota.

— 157 —

Is#

• | %«

m

— Co ma z tym wspólnego kot? — zdziwiła się Dominika.

— Którejś nocy wielkie kocisko biegało z wrzaskiem i miauczeniem pod oknami i Jednooki zbudził się i cisnął w niego butem — tym właśnie butem. Był w świetnym stanie, nieprzemakalny, dopóki łasica nie dobrała się do niego i nie wczepiła zębami w skórę przy samym czubku. Zabrałem go sobie, przeciągnąłem przez żywopłot, puściłem na wodę, wskoczyłem do środka i przepłynąłem z prądem do brzegu, wyciągnąłem z mułu i wysuszyłem w wysokiej trawie.

— Tam, gdzieśmy go znaleźli? — spytała Dominika.

— Tak jest — rzekł Spiller i roześmiał się. — Trzeba było słyszeć, w jaką złość wpadł Jednooki, gdy zbudził się rano i zobaczył, że buta nie ma! Kłął, na czym świat stoi! Był but — i nie ma. Szukał, szukał wszędzie... i będzie długo jeszcze szukał. I nie przestanie, dopóki nie znajdzie.

Dominika zbladła.

— Będzie długo jeszcze szukał... — powtórzyła zalekniona. — I nie przestanie, dopóki nie znajdzie...

— Ale przecież nie wpadnie mu na myśl, że jego but jest na drugim brzegu — pocieszył ją Spiller. — Przepadł jak kamień w wodę. I to go najbardziej wścieka, że nie może zrozumieć, jakim sposobem.

— Och, moi drodzy... — jęknęła swoim zwyczajem Dominika.

— Po co martwić się z góry? — wzruszył ramionami Spiller. — Co mam przynieść? Czego trzeba?

— Przydałoby się coś z wełny — przymówiła się Dominika. — Bardzo zimno było tej nocy. Zmarzliśmy na kość.

— 158 —

* * _ * ~* 5

— Może coś takiego jak runo owcze? — zapytał Spiller. — Leży tego mnóstwo na pastwisku, pod krzakami jeżyn.

— Cokolwiek, byleby chroniło przed chłodem. Wszystko jedno co — i wzdrygnęła się tknięta nagłą odrazą — byle nie skarpetka. Nie chciałabym za nic w świecie mieć pod brodą skarpetki Jednookiego!

Tego wieczora Spiller został na kolacji: była gotowana ryba na zimno i sałatka z listków szczawiu. Przyniósł im spory wałek zwiniętej ciasno wełny owczej i skrawek czerwonego koca. Strączek nalał mu wina do skorupki od orzecha. Ale Spiller nie chciał go nawet tknąć.

— Mam dużo spraw do załatwienia — rzekł ogólnikowo, lecz domyślili się od razu, że wychodzi na pożyczanie.

— Na długo się wybierasz? — zapytał Strączek jak od niechcienia i łyknął wina, tak tylko, dla smaku.

— Na jakiś tydzień... Może dziesięć dni...

— Uważaj na siebie, mój chłopcze — rzekł Strączek tonem przestrogi i znów upił łyk wina. — Bardzo dobre — powiedział, podsuwając Dominice skorupkę. — Skosztuj i ty.

Lecz Dominika zacisnęła wargi i potrząsnęła głową przecząco.

— Będzie nam ciebie brakowało, Spiller — rzekła, przymykając oczy. — Naprawdę, szczerze to mówię.

— Dokąd idziesz? — zapytała Arietta.

Spiller, który był już jedną nogą za zasłoną z liści odwrócił się i spojrzał na nią. Arietta spiekła raka.

— 159 —

• | • |

r<*j

<V#"

„Zadałam mu pytanie — spostrzegła się zaniepokojona — i znów nie pokaże się dobrych parę tygodni!”

Ale tym razem Spiller nie okazał się taki nieprzejeźdny.

— Palto — rzekł swoim zwyczajem zwięźle. — Na zimę.

— Och! — zawołała Arietta, uradowana. — Nowe? Spiller kiwnął głową potakująco.

— Futro? — spytała Dominika. Spiller znów kiwnął głową.

— Króliki? — spytała Arietta.

— Krety — odparł Spiller.

I od tych słów jakby poweselało w oświetlonym świeczką bucie: nareszcie zanosi się na coś przyjemnego! Uśmiechnęli się wszyscy troje do Spillera, a Strączek podniósł w górę swój kubek.

— Wypijmy za nowe palto Spillera! — zawołał. — I za jego powodzenie!

Ale Spiller, nagle zakłopotany, dał nura między gałęzie. Zanim jednak ruchoma kurtyna zasunęła się za nim, zobaczyli go jeszcze, jak stał z onieśmiałym i rozbawionym wyrazem twarzy, w obramowaniu zielonych liści.

— Futro będzie damskie! — zawołał i w chwilę później znikł na dobre.

.*~rr

ROZDZIAŁ SZESNASTY

„I największa powódź gdzieś się zatrzymuje”

Pożar wieży w Londynie, r. 1841

(Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Arietty.

30 października)

ij0U/IUIA

U MII III li 1111111 U V V WlvVVVVVV\VV\VVVVVNA>ivVIVNN^^

{Nazajutrz Strączek, stojąc na brzegu jamy, zawołał Ariettę:

— Chodź tu! Coś ci pokażę!

Arietta, drżąc z zimna, narzuciła na ramiona jak chustkę skrawek czerwonego koca, wylazła z buta i stanęła obok Strączka.. Słońce już wstało i cały krajobraz lśnił drżącym blaskiem, osypany czymś białym, co przypominało miątki cukier, zwany pudrem.

— To — objaśnił Strączek uroczyście — pierwszy śnieg. Arietta potarła zdrętwiałe paluszki i otuliła się szczerzej swoją czerwoną chustą.

— Widzę — rzekła dość obojętnie.

Oboje stali dłuższą chwilę w milczeniu. Strączek odchrząknął i rzekł głosem nieco schrypniętym:

— Matki nie będziemy budzić. W słońcu śnieg stopnieje najpóźniej za godzinę. — Po czym dodał: — Chciałem, żebyś to zobaczyła.

— To bardzo ładne — powiedziała Arietta.

— Wiesz co? Zrobimy śniadanie sami, niech mama choć raz się wyśpi. Jest jej tak ciepło... pod tą kołderką z owczego runa!

M-i\»/

— 161 —

"L**«

« » »'

m

:

— Ginę z zimna! — jęczała Dominika przy śniadaniu, ściskając w obydwóch dłoniach skorupkę orzecha laskowe-go, napełnioną gorącą herbatą (odkąd Spiller zaopatrywał ich we wszystko, co niezbędne, przestali oszczędzać świeczek). — Przemarzałam do szpiku kości. Wiesz co, Strączku?

— Nie wiem — odrzekł. (Skąd bowiem mógł wiedzieć?)

— Mam pomysł: może poszlibyśmy zobaczyć, gdzie jest ten dom na kółkach? Cyganów pewno już tam nie ma: skoro Spiller ruszył w drogę, to znaczy, że nie mógł się przy nich już dłużej wyżywić, a więc chyba przenieśli się gdzie indziej. A my jeszcze coś może dla siebie znajdziemy. W takim zimnie — dokończyła — nie ma sensu siedzieć. Ubierzmy się, w co mamy najcieplejszego, i chodźmy. Dobrze, Strączku?

Arietta siedziała jak trusia i czekała, co ojciec powie. Wiedziała z doświadczenia, że przynaglać go nie należy.

Strączek wahał się. Uprawiać kłusownictwo na terenach Spillera... czy to byłoby w porządku?

Lecz Dominice udało się rozwiać jego wątpliwości i wszyscy troje zdecydowali się ruszyć w drogę.

Nie była to łatwa wyprawa. Spiller ukrył gdzieś swoją łódź, musieli więc przeprowadzać się przez strumień na płaskim płacie kory, co nie było takie proste. Nie o wiele łatwiej było posuwać się po ziemi: skraj lasu porastały gęsto krzaki jeżyn, przedzierali się przez nie jak przez zasieki z drutu kolczastego. O kolce jeżyn rwała się odzież i zaczepiały włosy.

— 162 —

!

Gdy przedarli się wreszcie przez krzaki i znaleźli się na trawie, byli wyczerpani, podrapani do krwi i potargani.

Widok, jaki zastali na miejscu obozu cygańskiego, był po prostu wstrząsający: trawa stratowana i pożółkła, poniewierające się poobgryzane kości, rozsypane pióra, szmatki, gałganki, podarte gazety i papiery...

— Och, moi drodzy! — jęknęła Dominika, wodząc wzrokiem dookoła. — Jestem przerażona... Nawet ten kawałek naszego czerwonego koca budzi we mnie obrzydzenie...

Strączek otrząsnął się pierwszy.

— Chodźcie. Zobaczmy, jak wygląda to z bliska. Może jednak znajdziemy coś przydatnego.

I ruszył energicznie, za nim Dominika, ociągając się trochę (bała się, że pchły ją obleżą), a na samym końcu Arietta. Rozgarniali trawę i grzebali wśród śmieci bez większego przekonania. W końcu Strączek zatrzymał się przy patelni z dziurawym dnem. Myślał przez chwilę, żeby ją zabrać, ale nie wiedział po co. Obszedł patelnię dookoła, rozważając, czy się na coś zda, i parę razy uderzył łebkiem szpilki od kapelusza w jej rączkę, co wywoływało metaliczny brzęk. Spróbował ruszyć patelnię z miejsca, lecz stwierdził, że jest za ciężka, żeby ją przenieść, a zresztą — w jakim celu?

Wtem Arietta zauważyła stary piecyk kuchenny, ukryty w krzakach i tak zardzewiały, że musiał leżeć tu chyba od lat.

Oglądała go w milczeniu, zanim rzekła:

— Wiesz, mam... mam myśl: w takim piecu moglibyśmy zamieszkać.

Dominika otworzyła szeroko oczy.

— 163 —

%<*j

y<t:

m

— W takim piecu? — powtórzyła, odymając usta pogardliwie.

Piecyk leżał w krzakach, na boku, częściowo zaryty w ziemię. Był nieduży, ale ruszt i palenisko mogły jeszcze znaleźć zastosowanie. Obok niego widać było garstkę nadwęglonych kostek.

— Może to i dobry pomysł — rzekł Strączek, przesuwając szpilką po prętach rusztu, aż brzęknęły. — Można by zamieszkać w tym piecu, rozpalić ogień...

— I spalić się żywcem, tak? — wykrzyknęła Dominika porywczo. — Tego byś chciał?

— Nie — odparł Strączek. — Ogień można by rozpalić niewielki, tyle tylko, żeby ogrzewał. A bylibyśmy bezpieczni — dodał, rzuciwszy okiem na zamknięte drzwiczki piecyka — jak w prawdziwym domu. Żelazne — ocenił fachowo. — Takich drzwi nikt nie ugryzie.

— Ale myszy polne mogą prześliznąć się między prętami rusztu — zauważyła Dominika.

— Mogą — zgodził się Strączek — ale myszy polnych ja się nie boję ... Miałem na myśli coś groźniejszego: lisy, łasice, gronostaje...

— Och, Strączku! — wykrzyknęła Dominika, łapiąc się za głowę, a oczy jej zaokrągliły się z przerażenia. — Co też ty wygadujesz? Po co mnie straszysz? Wiesz przecież, jak to na mnie działa!

— Trzeba życie brać takim, jakim jest naprawdę, a nie takim, jakim chciałoby się, żeby było — rzekł Strączek filozoficznie.

— Ale lisy, Strączku... — zaczęła Dominika płaczliwie.

— Są tutaj i nie ma na to rady — brnął dalej odważnie Strączek.

— 164 —

— Nawet gdybyśmy napalili w tym piecyku — rzekła Dominika, patrząc nań okiem nieco życzliwszym — to Cyganie od razu zauważyliby dym.

— Nie tylko Cyganie — przyznał Strączek — każdy przechodzień zobaczyłby dym już z daleka. Nie — rzekł z westchnieniem — ten piecyk się nie nadaje. A szkoda — takie mocne żelazo!

Jedyną pocieszającą rzeczą, jaką znaleźli tego dnia, był pieczony kartofel, jeszcze ciepły. To Arietta wygrzebała go z niewygasłego ogniska. Węgielki jeszcze nie całkiem ostygły, a gdy Strączek zaczął je rozgarniać szpilką od kapelusza, szkarłatny płomyk przebiegł zygzakiem przez popiół. Przełamali parujący ziemniak na pół i zjadali z apetytem, siedząc blisko, jak mogli najbliżej tłącego się ogniska.

— Można by zabrać trochę tego popiołu do domu — powiedziała Dominika. — Teraz już wiem, w jaki sposób Spiller piekł mięso: pożyczał ogień od Cyganów. Jak myślisz, Strączku, zgadłam?

Strączek, żeby się nie sparzyć, dmuchnął na okruch kartofla, zanim wpakował go do ust.

— Nie — odrzekł z pełnymi ustami. — Spiller miał ciepłą strawę zawsze, niezależnie od tego, czy Cyganie byli, czy nie. Przypuszczam, że Spiller wynalazł jakiś swój własny sposób. Ciekaw jestem jaki.

Dominika nachyliła się nad ogniskiem i rozgarniała popiół na pół zwęglonym patyczkiem.

— A gdybyśmy tak podtrzymali ten ogień — zaproponowała — i przenieśli nasz but tutaj?

Strączek rozejrzał się dookoła, niezdecydowany.

— Za bardzo na widoku — ocenił.

— 165 —

liM

• * %'

— Moglibyśmy ukryć go w krzakach... w pobliżu piecyka. Co o tym sądzisz? Czekaj... a gdyby tak wstawić but do piecyka?

Strączek spojrzał na nią.

— Dominiko... — zaczął i urwał, jak gdyby zabrakło mu słów.

Po chwili położył rękę na jej ramieniu i rzekł do Arietty, nie ukrywając dumy:

— Twoja matka to wspaniała kobieta! I dodał wzruszonym głosem:

— Nie zapominaj o tym nigdy, Arietto!

Wstali i wzięli się ostro do roboty: nazbierali patyczków, naznosili zeschniętych liści, byle podtrzymać dogorywające ognisko. Rozgarniali węgielki, dmuchali w przygasający żar, dorzucali drewniek — aż w końcu biały, wijący się spiralami dym buchnął aż po ołowiane niebo.

— Och, moi drodzy! — jęknęła Dominika. — Ten dym widać będzie na milę.

— Nic nie szkodzi — odparł Strączek, dorzucając do ogniska jeszcze jedną gałązkę. — Jeśli nawet ktoś zobaczy, będzie myślał, że to Cyganie. Przynieś jeszcze trochę suchych liści, Arietto, musimy utrzymać ogień do jutra.

Nagły podmuch wiatru skierował kłęb dymu prosto w oczy Dominiki. Łzy pociekły jej po policzkach.

— Och, moi drodzy! — jęknęła znów, umęczona. — To nas czeka... przez całą zimę, dzień w dzień, będziemy musieli dmuchać w ogień... i będzie się dymiło a dymiło!

Usiadła na poczerniałej pokrywie od blaszanki i rozplakała się.

— Nie można spędzić całego życia — mówiła, łkając — na pilnowaniu, żeby ogień nie wygasł!

— 166 —

Strączek i Arietta milczeli. Co tu można było odpowiedzieć, skoro wiadomo, że Dominika ma rację? Poży-czalscy są zbyt słabi i zbyt małego wzrostu, żeby mogli utrzymać naturalnej wielkości ogień.

Wiatr dmuchnął ostrzej: taki porywisty wiatr zawsze zapowiada śnieżycę.

— Wracajmy lepiej do domu — zaproponował Strączek. — Otrzyj oczy — rzekł do Dominiki — wstań i chodź. Wymyślimy coś lepszego.

Ale nie udało im się wymyślić nic lepszego. Robiło się coraz zimniej. Spiller nie dawał znaku życia. Zabrakło im mięsa i dopalał się ostatni ogarek świecy, a było to dla nich jedyne źródło ciepła.

— Już sama nie wiem — biadała Dominika, nakrywając się po brodę kołderką z owczej wełny — co my teraz zrobimy! Spillera, niestety, już pewnie więcej nie zobaczymy. Miał chyba jakiś wypadek.

Tego dnia na dobre zaczął padać śnieg. Dominika leżała pod swoim przykryciem i nie chciała wstać i wyjść z buta.

— Wolę umrzeć tutaj — oświadczyła dramatycznie — przynajmniej jest mi ciepło. To już koniec. Mówcie, co chcecie — ja wiem jedno: z nami koniec!

Na próżno Arietta usiłowała ją przekonać, że mróz zelżał, na próżno opowiadała jej, że pole w słońcu i pod iskrzącym się śniegiem wygląda prześlicznie i że zrobiła sobie saneczki z poczerniałej pokrywy od blaszanki, którą Strączek wyciągnął z ognia. Dominika oświadczyła, że się nie ruszy, tu jest jej grób, tutaj

chce umrzeć.

— 167 —

« » %'

Nie przejmując się zbytnio tymi groźbami, Arietta — choć chwilami wyrzucała sobie, że jest bez serca — zjeżdżała z nasypu na sankach i wpadała rozbawiona na dno wykopu. A Strączek, dzielny jak zawsze, udawał się na poszukiwanie żywności. Niestety, jeżyn na krzakach było już bardzo mało, a te, które się uchowały, rozdziobały ptaki, stanowiące niemałą konkurencję dla Pożyczalskich. Chociaż schudli wszyscy troje, nie zachorowało żadne, a zaróżowiona od śniegu buzia Arietty wyglądała jak rumiane jabłuszko.

Po upływie tygodnia jednakże sytuacja zmieniła się na gorszą: znów spadł śnieg, tym razem pokrył nasyp grubszą warstwą, zrobiło się jeszcze mroźniej. Strączek i Arietta musieli siedzieć w domu i z konieczności dotrzymywać towarzystwa Dominice. We wnętrzu butą panował pół-1 mrok, czas płynął pówofi i dni, 'podobne' jeden do drugiego, przytłaczały nudą. Dominika próbowała zabawiać ich wspomnieniami ze swego dzieciństwa: były to długie, ciągnące się bez końca historie, obliczone na to, żeby słuchaczy przykuć do miejsca.

I z zapasami żywności było coraz bardziej krucho.

— Nie zostało już prawie nic — oznajmił któregoś wieczora Strączek — oprócz jednej kostki cukru i malutkiego kawałka świecy.

— Świeczki nie będę jadła — oświadczyła Dominika zbolalym głosem. — Ani wosku, ani stearyny...

— Nikt tego od ciebie nie żąda — odparł Strączek surowo. — Ale dobrze, że sobie przypomniałem: mamy jeszcze kapkę wina.

Dominika ożywiła się i usiadła na łóżku.

— Świetnie! — zawołała. — Wrzuć całą kostkę cukru

— 168 —

do wina i zagrzej nad tym ogarkiem świecy, jaki nam został. Oszczędzać i tak już nie ma po co. Upijmy się!

— Ależ, Dominiko — zaprotestował Strączek zdumiony. — Mówiłaś przecież, że jesteś abstynentką!

— To będzie grog, a grog to nic groźnego — wyjaśniła Dominika. — Powiesz mi, jak będzie gotów.

I położyła się z powrotem, przymykając oczy z błogością.

— Dobrze, dajmy jej się napić — szepnął Strączek po cichu do Arietty i spojrzał na buteleczkę pod światło. — Na szczęście jest więcej, niż myślałem. Będzie chyba zadowolona...

Był to prawdziwy bal — przynajmniej dopóty, dopóki paliła się świeczka. Napili się grzanego wina i zrobiło im się ciepło.

Gdy w końcu, lekko zamroczeni i rozgrzani, wsunęli się pod kołdrę z owczego runa, Arietta poczuła, że wypełniają całą jakieś dziwne radosne uczucie, zbliżone do nadziei. Strączek, wyraźnie podchmielony, po raz pierwszy zapomniał zasnuwać wejście do buta... Ale cóż, mniejsza o to — i tak przecież miała to być ich ostatnia noc na tym świecie... •

1 vi^v;

• * • |

* OJ

m

ROZDZIAŁ SIEDEMNAŚTY

„Tylko cud może nas uratować”

Wielkie trzęsienie ziemi w Lizbonie, 50 tysięcy ofiar, r. 1755 (Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Ariel Iv, 2 listopada)

INie, nie była to ostatnia ich noc na tym świecie — była to jednakże ostatnia noc w bucie.

Arietta zbudziła się pierwsza. Zbudziła się zmęczona, tak jakby źle spała, ale dopiero po pewnym czasie przypomniała sobie (jak to później opowiadała Tomowi), że miała niedobry sen: śniło jej się trzęsienie ziemi. Zbudziła się nie tylko nie wypoczęta, ale jakaś dziwnie skurczona, w bardzo niewygodnej pozycji. We wnętrzu buta było jaśniej niż zwykle, ale przypomniała sobie, że otwór nie został zasnuwany. Ale dlaczego światło dzienne pada nie z boku jak zwykle, tylko jakoś z góry?

I nagle dziewczynka zrozumiała: but, leżący dotychczas zawsze na boku, teraz z jakichś niezrozumiałych powodów został ustawiony prosto. W pierwszej chwili pomyślała — i od tej myśli serce jej zakotało mocno — iż trzęsienie ziemi to nie był sen, tylko rzeczywistość. Wysunęła głowę i spojrzała na rodziców: o ile mogła dojrzeć, byli zakryci po brodę kołderką z runa owczego i spali spokojnie, ale chyba także nie w tej samej pozycji, w jakiej ułożyli się wieczorem. Coś się stało — tego była pewna — gdy wszyscy troje byli pogrążeni we śnie. Arietta usiadła ostrożnie, tak żeby ich nie zbudzić.

— 170 —

W bucie, mimo że otwarty, było dziwnie ciepło, aż duszno. I dookoła snuły się jakieś zapachy — smolnych szczap, cebuli i jeszcze czegoś nieuchwytnego, czego nie umiała bliżej określić — czyżby to były zapachy świadczące

O bliskości Człowieka?

Arietta przeczołgała się wzdłuż podeszwy aż do otworu buta i spojrzała w górę. Zamiast piaszczystego dachu przybudówki zobaczyła nad sobą dziwną płataninę drutów

1 sprężyn i pasiasty pułap. „Co to może być? — zastanawiała się. I nagle przypomniała sobie: — Łóżko. Łóżko Człowieka!” Widywała takie łóżka, gdy mieszkali w „Stokrotce”. A więc znajdowali się pod łóżkiem. Ale pod czym? Ale gdzie?

Ciekawość wzięła górę nad strachem i Arietta zaczęła wspinać się, używając oczek do sznurowadeł jako szczebli drabiny. Na samym końcu sznurowadło było zawiązane na kokardkę. Arietta zrobiła jeszcze jeden krok, podciągnęła się, wyrzała. Pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, był stojący tuż obok — tak blisko, że mogła zajrzeć do środka — drugi but, bliźniak tego, w którym dotychczas mieszkali.

Tylko tyle widziała ze swego miejsca — łóżko Człowieka było tak niskie, że wyciągnąwszy rączki mogła dotknąć sprężyn. Dobiegały ją różne dźwięki: trzask palącego się ognia, mruczenie wody gotującej się w czajniku i głębokie, rytmiczne pochrapywanie.

Arietta zawahała się: zbudzić rodziców czy nie? Ale po chwili namysłu zdecydowała nie budzić, zanim nie zbada sytuacji na własną rękę. Rozplatała zawiązane sznurowadło i wyskoczyła na zewnątrz. Teraz dopiero miała rozległy widok przed sobą.

— 171 —

:...!);

ym

Nietrudno było odgadnąć, gdzie się znajdowali: w budzie cygańskiej. Buty stały pod składanym łóżkiem, umieszczonym przy ścianie. Po drugiej stronie, równolegle do łóżka, znajdował się mały piecyk na węgiel, podobny do tego, jaki widzieli niedawno w krzakach. W pobliżu łóżka stała toaleta z lustrem, zastawiona wazonikami ze sztucznymi kwiatami i porcelanowymi cackami. Na piecyku mruczał łagodnie czajnik z wodą. Poprzez pręty rusztu widać było pełgający czerwony płomień.

Pod ścianą, w głębi, stało drugie łóżko-koja, a obok niego szafka nocna na kółkach. Arietta myśląc o tym, gdzie mogłaby się ukryć, od razu zauważyła, że między podłogą a szafką jest pusta przestrzeń: zmieściłaby się tam, skulona. Na szafce stał dzbanek z wodą, a obok niego buteleczka z wydłużonym dziobkiem do odliczania kropel. „Wino bżowe — przypomniała sobie Arietta. — Tak nas wszystkich troje odurzyło, że spaliśmy kamiennym snem”.

Na lewo znajdowały się nie domknięte drzwi, przez które wpadała do wnętrza budy smuga zimowego słońca. Po chwili wahania Arietta zsunęła się na czubek buta, a stamtąd, stąpając bezszelestnie na paluszkach, żeby nie zbudzić chrapiącego Człowieka, pobiegła w stronę drzwi.

Słońce oślepiło ją na chwilę, ale gdy oczy przyzwyczały się do światła, rozróżniła pas pożółkłej trawy, na pół zakryty topniejącym śniegiem, dalej ognisko rozpalone pomiędzy dwoma kamieniami, a pod krzakami znajomy przedmiot — zardzewiały piecyk. Ucieszyła się: byli na tym samym starym

obozowisku, a więc buda cygańska nie odjechała w nocy, jak się tego bała.

Stała w smudze słońca i patrzyła. Zaskoczyła ją nagle cisza: chrapanie umilkło. Obejrzała się za siebie i struch-

— 172 —

łała: Człowiek na łóżku nie leżał już, tylko siedział. Był w ubraniu, słusznego wzrostu, o ciemnej cerze i czarnych, kędzierzawych włosach. Ziewał, szeroko rozdziawiając usta.

Ogarnięta paniką, Arietta nie wiedziała, gdzie się schować. Przede wszystkim rzuciła okiem w prawo, na łóżko, pod którym się zbudziła. Ale teraz dzieliła ją od tego łóżka spora przestrzeń. Natomiast od uchylonych drzwi, pod którymi stała, padał głęboki cień. Dała więc susa w ten cień.

Człowiek przestał ziewać, przeciągnął się i siedział dłuższą chwilę w milczeniu, wpatrując się w swoje nie obute nogi. Teraz Arietta ujrzała jego oczy: jedno było wielkie i ciemne, drugie zakryte opadającą powieką. „To pewno ten Jednooki — domyśliła się, przejęta zgrozą. — Jaki on straszny!”

Przez chwilę wodził jednym okiem dookoła, potem schylił się i zajrzał pod łóżko. Gdy zobaczył parę swoich butów, uśmiechnął się uradowany. Arietta patrzyła z zapartym tchem, jak schylił się po raz drugi i wyciągnął je spod łóżka. Przyglądał im się z lubością, trzymając oba buty w ręku. Nagle, jak gdyby tknięty różnicą wagi pomiędzy butami, jeden postawił na podłodze, a drugi wytrząsnął, podsuwając otwartą na płask dłoń. Widząc, że nic z niego nie wypadło, wsunął rękę do wnętrza.

Jeszcze chwila... i wrzasnął na cały głos. Krzyk ten słyhać było, jak się zdawało Ariecie, chyba na milę dookoła. Jednooki odrzucił but ze wstrętem i dziewczynka, struchlała z przerażenia, ujrzała, jak Strączek i Dominika wypadli i mignawszy tylko, przemknęli pomiędzy jego stopami i znikli w pustej przestrzeni między szafką a podłogą.

— 173 —

rviM

•»

Nie mniej od Arietty przestraszony był Jednooki. Zbladł, a jedyne okoomal nie wylazło mu na wierzch. Po chwili zaczął mrugać nerwowo powieką i jęknął:

— Ojej!... Ojej!...

Co też w takiej chwili musiała odczuwać biedna Dominika?! Zbudzona zniemacka z głębokiego snu i wytrząśnięta z buta usłyszała najpierw wrzask, a potem głośny jęk. Szpara między szafką nocną a podłogą była niewielka, musieli się dobrze skurczyć, żeby się tam zmieścić, a co najgorsze, wiedzieli, że nie będą mogli wyjść stamtąd niepostrzeżenie. Jeśli nawet oboje czuli się chwilowo bezpieczni, to zdawali sobie sprawę, że nie na długo.

Arietta stała w cieniu drzwi, przygwożdżona strachem. Bardziej bała się o rodziców niż o siebie. Ze swego

miejsca Jednooki nie mógł jej widzieć, oczywiście, dopóki się nie ruszała. I on także siedział jak przykuty — wstrząśnięty widokiem tych niezwykłych stworów, które w niepojęty sposób przemknęły pomiędzy jego stopami.

W końcu zdecydował się zajrzeć pod łóżko. Ukłął i niezgrabnie na czworakach zaczął macać ręką. Nic nie znalazł, wstał, sięgnął po pudełko, zapalił zapałkę, znów wlał pod łóżko i zaczął szukać w zasięgu światła.

Arietta wykorzystała ten moment, kiedy był odwrócony do niej tyłem, przebiegła truchcikiem pokój i skryła się pod drugim łóżkiem. Stało tam tekturowe pudło, za którym mogła się na chwilę schować, a także brudny spodek po mleku. Gdy rozejrzała się lepiej, dostrzegła jakieś sznurki, zwisające z wnyków na króliki.

Torując sobie drogę pomiędzy nagromadzonymi przedmiotami, Arietta dobrnęła w najdalszy kąt, tam gdzie łóżko stykało się z szafką. A tymczasem Jednooki, uzbro-

— 174 —

jony w kij, buszował po całym pokoju; raz po raz przykłękał i wymiatał wszystko, co było pod łóżkiem. Ariet-ta stała wciśnięta w kąt; przymknęła oczy, a serce jej waliło. Co ma się stać, niech się już stanie. „Tylko cud może nas uratować” — przypomniał jej się cytat z „Księgi przysłów”.

Nagle drzwi otworzyły się na roścież, wionęło zimnem z zewnątrz i zrobiło się jaśniej od blasku słońca. Do pokoju weszła kobieta w chustce spiętej na piersi, z koszykiem w ręku, i od razu zasypała Jednookiego pytaniami w jakimś obcym języku. Oczy jej błyskały dziko, nad ustami, mielącymi szybko niezrozumiałe słowa, powstał obłoczek pary, a wielkie złote kolczyki w uszach połyskiwały w słońcu i głośno dzwoniły.

Jednooki, jakby trochę zawstydzony, wstał z klęczek. Wydał się Arietcie bardzo wielki i chociaż ze swego miejsca nie mogła dojrzeć jego twarzy, widziała, że ręce zwisają mu bezradnie. Odpowiadał coś kobiecie w tym samym języku, mówił tak jak i ona bardzo dużo. Chwilami głos jego stawał się dziwnie piskliwy. Widocznie opowiadał o swojej przygodzie.

Schylił się, podniósł but, pokazał go kobiecie, starał się coś jej wyjaśnić — teraz już, jak Arietta zauważyła, trochę spokojniej — i w końcu nerwowo wsunął rękę w głąb buta. Wyciągnął z niego kłębek wełny owczej, zmięta skarpetkę i ku swemu wielkiemu zdziwieniu skrawek czerwonego koca — własnego koca!

Mimo tak przekonywających dowodów prawdy kobieta nie przestawała z Jednookiego drwić i szydzić. Głos jego nabierał coraz bardziej płaczliwego brzmienia, ale to jej ani trochę nie wzruszyło.

— 175 —

„Kompletnie bez serca! — pomyślała Arietta oburzona. — Jak to brzydko z jej strony!” Aż miała ochotę sama wyskoczyć i pokazać temu niedowiarkowi, że Jednooki nie kłamał, że Pożyczalscy istnieją

naprawdę!

(„Jakże to przykre i smutne — mówiła później Arietta do Toma Pocziwca — należeć do rodzaju istot, w których żywot nikt zdrów na umyśle nie chce wierzyć!”)

Nie uległa jednak pokusie ujawnienia się, lecz po krótkim namyśle wysunęła się ze swego kącika i dała nura w ciemną szparę pomiędzy szafką nocną a podłogą.

Zdążyła w samą porę: w chwilę później rozległ się głuchy odgłos czegoś padającego miękko na dywan i Arietta ujrzała — o parę kroków od miejsca, w którym stała uprzednio — cztery łapy kocie: trzy czarne i jedną białą. Widziała, jak kot przeciągnął się, wygiął grzbiet, a potem położył się, opierając wąsaty pyszczek na nagrzanym od słońca dywanie. Kot był cały czarny, z białą kamizelką. Kot — czy też kotka? Tak czy inaczej był dobrze odżywiony, miał gładką błyszczącą sierść, jaką zwykle mają koty, które umieją polować.

Cofając się tyłem w ciemnościach i nie odrywając oczu od wygrzewającego się w słońcu kota, Arietta poczuła nagle, że ktoś po ciemku odszukał jej rękę i leciutko uściśnął.

— Och... jesteś nareszcie — usłyszała szept Dominiki. Arietta położyła palec na ustach.

— Ciszej — szepnęła, ledwo dosłyszalnie. — Mamo... kot!

— Tu się nie dostanie — odrzekła również szeptem Dominika. — Za ciasno dla niego!

W półmroku twarz jej wydawała się chorobliwie blada, prawie szara i jakby przysypana kurzem.

— 176 —

1 * «•.

— Jesteśmy w domu... na kółkach — powiedziała Dominika do córki, widocznie przekonana, że dzieli się z nią wielką nowiną.

— Wiem — odparła Arietta krótko, a po chwili poprosiła: — Nie mów już nic, mamo! Tak będzie lepiej dla nas wszystkich!

Lecz Dominika nie mogła się pohamować i po chwili milczenia znów zaczęła:

— Ojciec dostał kijem... po plecach — ale zaraz poprawiła się: — Nic groźnego, właściwie... tylko w pośladek!...

— Cicho! — syknęła Arietta zniecierpliwiona.

Niewiele mogła widzieć ze swego miejsca, ale z odgłosów domyśliła się, że Jednooki wkłada palto. Rozmowa ucichła, kobieta najwidoczniej wyszła. Jednooki nachylił się i wyciągnął spod łóżka siódła na króliki.

Po pewnym czasie, gdy wzrok Arietty oswoił się z ciemnością, spostrzegła ojca skulonego w głębi, pod

samą ścianą. Przyczołgała się do niego.

— No, jesteśmy wszyscy — rzekł Strączek, prawie bezgłośnie poruszając wargami. — I jakoś jeszcze żyjemy na tym świecie... — dodał pod adresem Dominiki i jej dramatycznych przepowiedni.

***:

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

„Ukryty robak najsilniej gryzie”

Spisek Guy Fawkesa /organizowany w celu wysadzenia

w powietrze Parlamentu, 5 listopada 1605 r.

(Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Arie/ty.

II listopada)

vVvvvv\yv\Nys^sN>^y>NV\^

Oiedzieli skuleni i z zapartym tchem nasłuchiwali. Jednooki otworzył drzwi, zamknął je za sobą, a po chwili rozległy się jego ciężkie kroki na schodkach. Potem nastąpiła głucha cisza.

— Jesteśmy sami! — stwierdziła Dominika już nie szeptem, lecz zwykłym głosem. — Moglibyśmy wyjść... gdyby nie ten kot...

— Ciszej! — upomniął ją Strączek.

Usłyszał za drzwiami rozmowę: kobieta o coś pytała, chyba ironicznie, Jednooki wymamrotał niewyraźnie odpowiedź, po czym kobieta wybuchnęła szyderczym śmiechem.

Arietta nasłuchiwała czujnie.

— On twierdzi, że my tu jesteśmy — podzieliła się swym domysłem z ojcem — a ona nie chce mu wierzyć.

— A kot zaraz nas zauważy — powiedział Strączek. Arietta zadrżała. Uświadomiła sobie, że kot spał na

łóżku, kiedy ona, bezbronna, stała w cieniu drzwi. Strączek milczał, zajęty swoimi myślami.

— Już wiem, jak to się stało — rzekł cicho. — ^en człowiek to kłusownik... zastawia sidła na

zwierzyńę... Wczo-

— 178 —

raj o zmierzchu poszedł zobaczyć, czy coś się nie złapało, i wtedy spostrzegł swój but pod żywoplotem.

— Szkoda, że nie zaciągnęliśmy zasłony — rzekła Arietta. — Jeszcze trochę liści zostało przecież na gałązkach.

— Masz rację — przyznał Strączek.

— I nawet nie zasnulowaliśmy buta na noc — mówiła dalej Arietta.

— Prawda — przyznał Strączek i westchnął. — „Jeden kieliszek wina... i o wszystkim się zapomina”.

Nagle Dominika otrząsnęła się z odrazą.

— Jaki tu kurz! — stwierdziła. — Gdybym ja tu gospodarowała, wybrałabym szafkę nocną bez nóżek. W tej szparze zbiera się największy kurz.

— Na szczęście, nie tyś gospodaro... — zaczął Strączek i nie dokończył: w pobliżu zarysowała się sylwetka kota, groźnie, wojowniczo ruszającego wąsami.

Po chwili Strączek opanował się i powiedział:

— Nie wpadajcie w panikę, moje kochane. W tej szparze kot się nie zmieści. Nie zrobi nam nic złego. Jesteśmy tu bezpieczni.

Dominika, widząc przed sobą błyszczące oczy kota, jęknęła tylko:

— Och, moi drodzy!...

Strączek ścisnął ją za rękę, nakazując milczenie.

Kot prychnął i rozłożył się na podłodze, tuż przed szafką nocną. Zapewne także ich dostrzegł. Patrzył na nich przyjaźnie, nawet przymilnie, jakby zapraszał do wspólnej zabawy.

— One nas nie znają — znów zaczęła Dominika. — Koty w ogóle...

— 179 —

« • % w

* ! •«

*«\J

— Bądźcie cicho! — ofuknął ją Strączek.

Przez dłuższą chwilę nic się nie zmieniało. Smuga słońca przesuwała się z wolna po podartym dywanie, a kot leżał bez ruchu i zdawał się drzemać.

— Wiecie — odezwała się po chwili niezmordowana Dominika — gdyby nie to, że coś nam grozi, mielibyśmy tu nie najgorzej. Jednakże pod dachem...

Strączek zamachał rozpaczliwie rękami, żeby wreszcie umilkła. Drzwi się otworzyły i weszła kobieta. Krzątała się przez chwilę, odstawiła parujący czajnik, wyjęła drewnianą łyżkę z szuflady kredensu i po chwili znów wyszła. Słyszeli przez drzwi, że próbuje rozdmuchać ogień na dworze; dyszała przy tym głośno. W pewnym momencie przez szczelinę między drzwiami a progiem wpadł dym tak gryzący, że Arietta się zakrztusiła. Kot nie odrywał od niej gorejących ślepi.

Po jakimś czasie poczuli smakowity zapach pieczonej dziczyzny. Wiatr zmieniał kierunek i przyjemna woń już to łaskotała nozdrza, już to uciekała — i to było bardzo męczące.]b

Arietta poczuła, jak ślinka idzie jej do ust.

— Och, jeść mi się chce! — westchnęła.

— A mnie pić — stęknęła Dominika.

— A mnie jedno i drugie — rzekł Strączek. — Zachowujcie się spokojnie, moje drogie, zamknijcie oczy i myślcie, o czym chcecie, tylko nie o tym, co wam grozi!

— Kiedy zamykam oczy — odezwała się Dominika marząco — widzę przed sobą naparstek dobrej, gorącej herbaty... ten sam naparstek, który mieliśmy w tamtym mieszkaniu. Widzę czajniczek z żółodzi, z dziobkiem ze słomki.

— 180 —

-*jrrr~

— Dobrze, myśl sobie o czajniczku — zgodził się Strączek.

Po jakimś czasie Jednooki wrócił. Otworzył drzwi i rzucił na dywan dwa martwe, złapane w sidła króliki. Potem razem z kobietą usiedli na schodkach i jedli obiad. Talerze ustawili na podłodze, tak jakby to był stół.

Zapach jadalni dla tkwiącej pod szafką trójki stał się drażniący nie do zniesienia. Wcisnęli się w najdalszy kąt swojej kryjówki, ale i z tego miejsca widzieli głębokie talerze, napełnione smakowitym mięsem aż po wręby, stojące na podłodze na poziomie ich oczu. Oprócz mięsa leżały na talerzach duże mączyste ziemniaki, ociekające zawieszonym sosem.

Dominika wciągnęła powietrze w nozdrza.

— Och! — jęknęła. — Drób... To bażant... I jak smacznie upieczony!

Jednooki rzucił duży kęs nie dojedzonego mięsa na dywan. Patrzyli z zawiścią, jak kot wyciągnął przednie łapy, chwycił mięso i bez pośpiechu zabrał się do jedzenia. Słyszeli, jak chrupały kostki, miażdżone w jego szczękach.

— Och, moi drodzy... — jęknęła Dominika. — Co za zęby!

Jednooki odsunął talerz. Kot patrzył z nie ukrywanym zainteresowaniem na nie poobgryzane kostki, z których zwisał tu i ówdzie strzępek mięsa. Dominika wpatrywała się w talerz pałającymi oczyma: był tak blisko, tylko ręką sięgnąć...

— Mogę, Strączku? — zapytała szeptem.

— Ani się waż! — odpowiedział Strączek stanowczo

— 181 —

• % •

\s*

●●«%«

^Wj

?\zr

yłL

mi

i tak głośno, że kot odwrócił głowę i łypnął na niego okiem.

Spojrzenia ich się spotkały. Patrzyli na siebie z wzajemną nieufnością. Kot machnął parę razy ogonem. Strączek wystraszył się nie na żarty.

— Uciekajmy! — szepnął, z trudem łapiąc oddech. Zdążyli uskoczyć w głąb, na ułamek sekundy, zanim kot

wyciągnął po nich łapę uzbrojoną w ostre pazury.

Jednooki odwrócił się szybko. Zawołał kobietę i wskazując palcem szafkę nocną, coś jej gorączkowo wyjaśniał. Oboje schylili się, niemal dotykając czołem podłogi, i nie odrywali oczu od wąziutkiej szpary pod szafką. Przes chwilę Arietta, skulona razem z rodzicami pod samą ścianą, odniosła wrażenie, że ich zauważyli. Wydawało się wprost niemożliwe, by mogło być inaczej.

— Stójcie spokojnie — szepnął Strączek bezgłośnie, poruszając samymi wargami — nie bójcie się! Bez paniki! Spokój! Tylko nie ruszać się!

Teraz i kobieta zaczęła się wahać: zachowanie kota, kręcącego się koło szafki nocnej i obwąchującego kanty, wzbudziło w niej pewne wątpliwości.

— Nie ruszać się! — raz jeszcze wytchnął Strączek. Nagle jakiś cień padł na plamę słoneczną zajmującą połowę dywanu: za plecami obojga Cyganów, jak to Arietta pierwsza dostrzegła, wyłoniła się jakaś postać. Zdrętwiała ze strachu dziewczynka nie widziała nic więcej, tylko trzy guziki poplamionej kurtki z wel wetu. Gdy właściciel kurtki przybliżył się, ujrzała chłopięcą twarz z jasną jak len czupryną.

— Co tu się dzieje? — rozległ się głos trochę piskliwy, jak to bywa u chłopców w okresie mutacji.

— 182 —

"« • • * | * • «

ćżz<&?C

m

Arietta widziała, że Jednooki zmienił się na twarzy: spochmurniał i rozejrzał się niespokojnie. Odwrócił się szybko i jedną ręką, za plecami, odsunął dwa martwe króliki leżące na dywanie, tak żeby znikły z pola widzenia chłopca.

— Co się tu dzieje? — powtórzył chłopiec. — Duchy? Straszy czy co?

Jednooki wzruszył ramionami.

— Żebyś wiedział — mruknął.

Chłopiec schylił się i także zaczął wodzić wzrokiem po podłodze. Dopiero teraz Arietta zauważyła, że trzymał pod pachą fuzję.

— Czy to czasem nie łasica się tu schowała? — zapytał żartobliwie.

Kobieta roześmiała się na cały głos.

— Łasica? — zawołała i znów wybuchnęła śmiechem. — Myślisz, że wszyscy interesują się łasicami tak jak ty!

I otulając się szczelnie szalem, zbliżyła się do piecyka.

— Czy kot zachowywałby się tak spokojnie, gdyby ukryła się tu łasica?

Chłopiec pochylił się i zmrużył oczy, żeby lepiej widzieć, co się kryło w ciemnościach.

— Opowiada — mówiła dalej kobieta, wskazując ruchem głowy na Jednookiego — że

zobaczył parę karzełków, podobno przyzwoicie ubranych. Przywidziało mu się, i tyle! — i znów wybuchnęła tym swoim drwiącym śmiechem.

— Pozwólcie i mnie popatrzeć — poprosił chłopiec. Odłożył na bok fuzję i Arietta zauważyła, że włożył rękę

do kieszeni kurtki. Uczynił to ruchem tak ukradkowym, że

— 184 —

Arietta z biciem serca, spodziewając się najgorszego, szarpnęła ojca za rękaw.

— Co takiego? — spytał Strączek szeptem, nachylając się do niej.

— W kieszeni... — wymamrotała Arietta — w jego kieszeni... coś się rusza... On nosi przy sobie... coś żywego!

— Łasica! — krzyknęła Dominika, zapominając o o-strożności. — Koniec z nami!

— Cicho! — nakazał Strączek surowo.

Chłopiec widocznie usłyszał jej krzyk. Oczy mu się rozszerzyły, a twarz przybrała wyraz napiętej uwagi.

— Co za sens mówić szeptem... w takiej sytuacji? — oświadczyła Dominika, jednakże nie podnosiła głosu. — Czy to nie wszystko jedno? Wiadomo, co nas czeka.

— Ciszej! — znów ofuknął ją Strączek.

— A jak ich stamtąd wydobyć? — zapytał chłopiec rzeczowo, wpatrując się w wąski odstęp pomiędzy spodem szafki a podłogą.

Arietta widziała ze swego miejsca, że ręką wciąż przytrzymuje kieszeń, jakby w obawie, żeby mu się coś z niej nie wymknęło.

— Nic prostszego — objaśnił Jednooki — opróżni się szafkę i wyjmie deski spod spodu.

— Słyszysz? — wyszeptala Dominika z gorzkim triumfem. — Teraz możemy już nawet śpiewać. Wszystko skończone!

— No, to śpiewaj — rzucił Strączek rozdrażniony.

— Deski przybite gwoździami? — informował się chłopiec tym samym rzeczowym tonem.

— Nie — odparł Jednooki. — Wyjmowałem je, kiedyś szczury wyganiał. Dadzą się usunąć od razu.

— 185 —

• » • |

Chłopiec położył się na podłodze. Teraz jego głowa znalazła się na jednym poziomie ze spodem szafki. Arietta ze swego miejsca ujrzała jego oczy: były niebieskie i skupione.

- A jak ich złapiemy... to co?
- Jak to: co? — zdziwił się Jednooki.
- Co pan z nimi zrobi?
- Co z nimi zrobię? Wsadzę do klatki. A co mógłbym zrobić innego?
- Do jakiej klatki?
- Do tej — i Jednooki wskazał na wiszącą przy ścianie klatkę po kanarku.
- I będzie nas karcił siemieniem — mruknęła Dominika po cichu. — Dziękuję!
- Zatrzyma ich pan dla siebie? — dopytywał się dalej chłopiec, wciąż leżąc na dywanie i nawet nie podnosząc głowy.
- Dla siebie? A po co? — wzruszył ramionami Jednooki.
- A więc co z nimi będzie? — indagował w dalszym ciągu chłopiec.
- Sprzedam! — oświadczył Jednooki. — Razem z klatką. Dostanę za to sporo grosza!
- Och, moi drodzy... — westchnęła Dominika swoim zwyczajem.
- Spokój! — nakazał jej Strączek szeptem. — Lepsza klatka niż łąsica!
- „Nie — pomyślała Arietta, ale nie powiedziała tego na głos — lepsza łąsica. Lepsza śmierć niż niewola”.
- A co pan da im jeść? — zapytał po chwili chłopiec. Zachowywał się tak, jakby chciał grać na zwłokę.
- 186 —

Jednooki zaśmiał się beztrosko.

- Jeść? Nic. Jakieś ochłapy. To, co nam zostanie na talerzu.
 - Słyszycie? — wyszeptwała Dominika dotknięta do żywego. — Ochłapy!
 - Czego chcesz? Dziś był bażant — przypomniał jej Strączek.
- Wolał, że jest zła i obrażona. Złość zawsze dodawała jej odwagi.
- Jednooki widocznie się schylił, gdyż jego cień przesłonił słońce.
- Posuń się — rzekł do chłopca — i zabierajmy się do roboty.

Chłopiec odsunął się na bok, ale bardzo nieznacznie.

— A co będzie z kotem? — zapytał.

— Masz rację — przyznał Jednooki. — Kota lepiej stąd zabrać. Kici, kici, Tygrysku...

Lecz kot był chyba nie mniej uparty niż chłopiec i nie mniej od niego zainteresowany tym, co się dzieje pod szafką: wymknął się spod ręki Jednookiego i skoczył na łóżko, a z łóżka na szafkę nocną. (Arietta domyśliła się tego, słysząc miękki łoskot nad głową). Jednooki usiłował go złapać. Arietta ujrzała tuż przy szparze wielkie stopy w butach — na jednym z butów, tak dobrze jej znanym, dostrzegła łatkę przyszytą rękoma Strączka! Ten but, niedawno jeszcze tak jej bliski, stał się teraz wrogi. Straszne!

— Lepiej niech pan odda go żonie — poradził chłopiec, widząc, że Jednooki trzyma kota w ramionach.

— Kot się wyrwie i skoczy, zobaczy pan! I jeszcze zrobi im krzywdę. Lepiej niech pan z nim wyjdzie.

— 187 —

I

^j

rlm

t#L

— Ani się waż! — szepnęła Dominika.

— Do kogo to mówisz? — zdumiał się Strączek.

— Do Cygana — odpowiedziała Dominika. — Jak tylko wyjdzie, chłopiec wypuści na nas łasicę.

— Co też ty wygadujesz?

— Zapamiętajcie moje słowa... — zaczęła Dominika dramatycznym szeptem, ale Strączek nie pozwolił jej dokończyć.

— Bądźcie cicho wreszcie! — szarpnął ją za rękę. — Usłysz nas!

— A niech usłysz. Teraz i tak już wszystko jedno. Wiedzą przecież, że tu jesteśmy. Cicho czy głośno — co to ma za znaczenie dla łasicy?

Jednooki zaklął brzydko — widocznie kot, wyrывая mu się z rąk, zadrapał go boleśnie.

— Niech pan wyniesie tego kota na dwór — powtórzył chłopiec — i odda go żonie. A żona niech go mocno trzyma!

— Nie bój się — rzekł Jednooki. — Zamkniemy drzwi.

— Jedną połowę drzwi trzeba będzie zostawić otwartą — odparł chłopiec. — Musimy mieć światło.

Już stojąc na progu Jednooki zawahał się.

— Ale sam nie ruszaj tu niczego — zapowiedział chłopcu, zanim zaczął zstępować ze schodków.

Na ostatnim pośliznął się i znowu zaklął brzydtko.

— Diabelny obcas! — mruknął. — Co się z tym butem porobiło?

— Potknął się pan? — zapytał chłopiec.

Zamiast odpowiedzi Jednooki zaklął jeszcze paskudniej.

— 188 —

— Zastoń sobie uszy! — szepnęła Dominika do Ariet-ty. — Nie słyszałaś chyba tego?

— Owszem, słyszałam — odpowiedziała Arietta przekornie. — Powiedział...

— Ach, ty niegodziwa dziewczyno! — rozżłościła się Dominika. — Wstydziłabyś się!

— Uspokój się, Dominiko, błagam cię!

— A wiesz, co mu się stało, Strączku? — mówiła Dominika z przejęciem. — Obcas odpadł z buta. Powiedziałam ci, pamiętasz... że ten obcas odpadnie... wtedy gdy wyjmowałeś świeczki. No i masz... mało się nie przewrócił.

Na chwilę Dominika zapomniała o strachu i parsknęła złośliwym chichotem.

W tym samym czasie chłopiec, nie odrywając oczu od ciemnej szczeliny pomiędzy szafką i podłogą, przysunął się bliżej.

Prawą rękę ukradkowym ruchem zanurzył w kieszeni — a była to kieszeń głęboka, zwisająca jak worek — takie kieszenie miewają leśnicy.

— Oooch!... — jęknęła Dominika przeciągle.

— Zamknij oczy — nakazał jej Strączek przejmującym szeptem. — I nie uciekaj. Nie będziesz czuła nic. To potrwa chwilę. Łasica...

I zamilkł.

Nastąpiła pełna napięcia cisza. Trzy małe serduszka waliły trwoźnie.

Dominika pierwsza przerwała milczenie.

— Staralam się być dla ciebie dobrą żoną, Strączku — powiedziała uroczyście.

— 189 —

LV>«

• | i1

*<*j

&%r*

WL1

Jedno oko przymknęła posłusznie, drugie miała jednakże, z ciekawości, otwarte.

— Byłaś idealną żoną — rzekł Strączek, nie odrywając oczu od rąk chłopca.

Pod światło trudno było dojrzeć, co on robi, tyle tylko, że w jego prawej ręce coś się ruszało. To było coś żywego, wyciągniętego z kieszeni.

— Może byłam czasem zbyt opryskliwa... — mówiła dalej Dominika.

— Teraz to nie ma już żadnego znaczenia — rzekł Strączek.

— Wybacz mi, Strączku! — poprosiła Dominika płacząco.

— Wybaczam — odpowiedział Strączek, ale tak, jakby był myślą gdzie indziej.

Na dywan padł głęboki cień. To Jednooki wrócił. Za nim wśliznęła się jego żona, trzymając owiniętego w chustę kota. Chłopiec nie zmienił pozycji i nie odwrócił nawet głowy.

— Wejdźcie do mojej kieszeni! — nakazał stanowczym tonem, nie odrywając oczu od szpary.

— Co mam zrobić? — zdziwił się Jednooki.

— Wejdźcie do mojej kieszeni... Słyszycie chyba, co mówię?

I w tej samej chwili chłopiec wypuścił na dywan to, co trzymał w ręku.

— Och, moi drodzy! — jęknęła Dominika i uczepliła się konwulsyjnie ręki Strączka.

Po chwili otworzyła drugie oko i zawołała:

— Ojej... co to takiego?

— Tak, jakieś żywe stworzonko... Ale nie łasica... jak

— 190 —

na łasicę zbyt kanciaste... zbyt powolne w ruchach... i stoi nie na czterech nogach, tylko na dwóch... Arietta pierwsza wydała radosny okrzyk:

— Spiller!

— Cooo? — zdumiała się Dominika.

Była niemal zawiedziona, że tragiczna sprawa przybrała taki niespodziewany obrót — poczuła się jakby okpiona i zrobiło jej się wstyd „ostatnich słów” patetycznego pożegnania.

— To Spiller — powtórzyła Arietta i zaczęła podśpiewywać radośnie: — Spiller... Spiller... Spiller!

— Wygląda dość komicznie — zauważyła Dominika z lekkim przekąsem.

Istotnie, Spiller wyglądał dość śmiesznie w swym nowiutkim, prosto spod igły ubraniu i w puchatym futerku.

— Na co czekacie? — zapytał Spiller żywo. — Nie słyszeliście, co powiedział? Chodźcie! Możecie się chyba ruszać, co?

— Wleźć do jego kieszeni? — spytała Dominika z niedowierzaniem. — My?

— A kto, jak nie wy? Jednooki? Przecież by się tam nie zmieścił!

— On chyba zwariował — r/ckła Dominika zaciskając wargi.

— Słuchaj, Dominiko... — próbował wytłumaczyć jej Strączek, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

— Nie! Wolę zginąć tutaj! — zawołała dramatycznie. — Nie ruszę się stąd! Raczej śmierć!

— To cię właśnie czeka — rzekł Strączek — jeśli się nie ruszysz.

— 191 —

— A co on z nami robi? — zainteresowała się Dominika. — Możesz mi powiedzieć?

— Tego nie wiem — odrzekł Strączek. — Ale nie sprzeciwiaj się, Dominiko, bądźże rozsądna... Zrobimy to, co on mówi... Weź ją za rękę, Spiller, i poprowadź... Gotowa jesteś, Arietto? No to chodźmy!

I wszyscy czworo zwartą grupą wymaszerowali spość szafki prosto na dywan.

]

męś

i

wm?

ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

„Odważnym szczęście sprzyja”

Wymarsz generała Shermana, maj 1864 r. (Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Arietty,

13 HstoDada)

IN a ich widok kobieta krzyknęła przeraźliwie: puściła kota na ziemię i uciekła w popłochu, jakby ją kto gonił. Jednooki przestraszył się także: siadł na łóżku, podwijając kurczowo nogi, jak gdyby po dywanie rozpełzło się obrzydliwe robactwo. Spłoszony kot dał szaleńczego susa na toaletkę i zrzucił ogonem dwa wazoniki, bukietik papierowych różyczek oraz fotografię w ramce.

Strączek i Arietta wbiegli na pofałdowaną nogawicę chłopca, tylko biedny Spiller, mocując się i ciągnąc za sobą opierającą się Dominikę, pozostał na środku dywanu. Pierwszy został ujęty i wrzucony do kieszeni.

Dominika przeżyła straszną chwilę: uczepona ręki Spillera machała nogami w powietrzu, zanim zręczne palce chłopca nie zagarnęły jej i nie zamknęły się nad nią w lekkim uścisku. W samą porę — gdyż Jednooki oprzytomniał po doznanym wstrząsie i także próbował ją złapać i nakryć swym ogromnym łapskiem. Omal jej nie rozgniótł.

Po chwili zabrzmiał jego gniewny głos:

— Masz całą czwórkę w kieszeni! Ale bądź przyzwoity — jedna para dla mnie!

Co się działo później, tego już Dominika nie wiedziała. Siedziała w ciemnej kieszeni jak trusia i nawet nie

13 — Pożyczalscy idą w świat

— 193 —

IM

m

,

miała pewności, czy Strączek i Arietta są tu także. Wiedziała tylko, że rozpoczęła się jakaś kotłowanina, słychać było głośnie oddechy i mamrotanie przekleństw, a kieszeń — wraz z zawartością — raz po raz chwiała się i podskakiwała. Nagle stłoczyli się wszyscy czworo w jednym miejscu, aż wyróżnili się głowami, i jednocześnie usłyszeli głośny krzyk:

— Uciekasz, łobuzie? Ja ci pokażę? Gdyby nie mój przeklęty obcas...

Jednooki krzychał długo jeszcze, ale głos jego był słychać coraz słabiej. Domyślili się więc, że chłopcu udało się uciec, a gdy usłyszeli trzask deptanych gałązek, zrozumieli, że chłopiec w tym momencie przedziera się przez żywopłot.

Byli tak zduszeni i otumanieni tym, co się stało, że nawet nie mieli ochoty rozmawiać.

Pierwszy Strączek — choć wciśnięty do góry nogami w róg kieszeni — uwolnił się od wełnianych kłaczków,, których napchało mu się pełno w usta, i wyszeptał:

— Jak ci tam jest, Dominiko?

Dominika, spleciona ciasno z Ariettą i Spillerem, tak że tworzyli nierozzerwalną całość, nie odpowiedziała. Po chwili Strączek usłyszał tylko jej stłumiony pisk.

— Co ci jest? — zaniepokoił się.

— Noga mi zeszytywniała — odpowiedziała Dominika płaczliwie.

— Ale nie złamana? — Strączek wystraszył się na dobre.

— Zdrętwiała... nic nie czuję!

— A możesz nią ruszać?

— Nie — odpowiedziała Dominika.

— 194 —

• 4

"W. «Sfe

isn

tfL

tf

I w tej samej chwili rozległo się głośne „Au!” Spilk ra.

— Jeśli to jest ta noga, którą uszczypnęłaś — rzek po chwili — to na pewno nie masz w niej czucia!

— Skąd wiesz? — zapytała Dominika.

— Bo to moja noga — odparł Spiller.

Teraz chłopiec najwidoczniej wspinał się pod górę. Po jakimś czasie usiadł. Ręka jego sięgnęła do kieszeni Dominika zaszlochała. Ale palce chłopca prześliznęły się obok niej obojętnie i szukały po omacku kogoś innego. Nie mogąc się połapać w tej gmatwaninie miniaturowych rączek i nóżek, chłopiec zdecydował się podnieść klapę kieszeni i zajrzeć do środka.

— Jesteś, Spiller? — zapytał. — Wszystko w porządku? Spiller chrząknął.

— A jak oni się nazywają? — spytał chłopiec.

— Strączek, Dominika i Arietta — wyrecytował Spiller jednym tchem. — Arietta najmłodsza.

— Która to Dominika?

— Ta, co się najbardziej wrywała.

— Jak się teraz czujesz, Dominiko? — spytał chłopiec życzliwie.

Dominika nie odpowiedziała. Za bardzo była wylękniona.

Ręka chłopca zagłębiła się w kieszeni.

Spiller, stojąc na rozkraczonych nogach i opierając sm tyłem o wypukły szew podszewki, zawołał:

- Zostaw ich lepiej w spokoju! Palce chłopca znieruchomiały.
- Chciałem tylko sprawdzić — usprawiedliwiał się czy wszystko w porządku.

— 196 —

- Wszystko w porządku — zapewnił go Spiller.
- Chciałbym obejrzeć ich z bliska — mówił chłopiec. — Wyjmę ich tylko na chwilę!

Uniósł w górę klapę i znów zapuścił rękę w głąb kieszeni.

- Życie wszyscy? — zapytał niespokojnie. — Żadne z was nie umarło?
- Gdybyśmy umarli — odpowiedziała Dominika rezolutnie — nie moglibyśmy odpowiedzieć.
- Zostaw ich w spokoju! — znów poprosił Spiller. — Teraz jest im ciepło. Jeśli wyjmiesz ich tak nagle na zimno, poprzeciębiają się wszyscy. Jeszcze się na nich napatrzysz — dodał w formie pocieszenia — jak wrócisz z nimi do domu.

Palce chłopca cofnęły się i Pożyczalscy znów pogrążyli się w ciemnościach. Nagle coś się zakotysało — to chłopiec gwałtownie przystanął. Strączek, Dominika i Arietta stoczyli się w dół i znaleźli w przeciwległym rogu kieszeni: było tu mnóstwo okruchów stwardniałych na kamień. Spiller, jak to Arietta zauważyła, wsparty o szew zachwiał się tylko, ale udało mu się utrzymać na nogach. Widocznie — domyśliła się — był w tej kieszeni nie po raz pierwszy i orientował się w jej wszystkich zakamarkach.

Chłopiec znów ruszył przed siebie, a jego kurtka wraz z kieszenią kołysała się teraz już bardziej miarowym i łatwiejszym do uchwycenia rytmem.

Strączek ułamał kawałeczek twardego okrucha i skosztował: gdy potrzymał go jakiś czas w ustach, okruch rozpuścił się i pozostawił smak czerstwego chleba.

- Daj i mnie spróbować — rzekła Dominika, wyciągając rękę.

— 197 —

<Vtj

rlm

*?

tf

Wróciła już do siebie po ostatnim wstrząsie i teraz dopiero poczuła głód.

- Dokąd on nas niesie? — zapytała Spillera.
- Do domu.
- Do jakiego domu?
- Do leśniczówki.
- A co on tam robi w tej leśniczówce?
- Mieszka u dziadka. Dziadek jest gajowym.
- Co to znaczy: gajowy?
- Taki, co pilnuje lasu — objaśnił Spiller.
- I nas też będzie pilnował? — zapytała Dominika z niepokojem w głosie.
- Dziadek nie. Chłopiec.
- I co on z nami zrobi? — zapytała Dominika, znów bliska płaczu. — Słyszałam...
- Nie bój się! — uspokajał ją Spiller. — Nie stanie się nic złego!

Ale Dominika nie dała sobie wyperswadować.

- Słyszałam, moja bratowa opowiadała, że jej wujel został złapany i trzymano go w pudełku z czterema dziurkami w pokrywce, a karmiono dwa razy dziennie za pomocą zakraplacza do oczu...
- A któż to taki ten zakraplacz? — zapytał Strączek. -Nigdy nie słyszałem podobnej nazwy!

Myślał, że zakraplacz to rodzaj zawodu, jak na przykład palacz lub tkacz.

- Tego mi Lucy nie powiedziała — odparła Dominika.
- Lucy? — zainteresował się Spiller.
- Tak ma na imię moja bratowa — wyjaśniła Dominika — żona mojego brata, Henryka. Dlaczego pytasz?

— 198 -

y~mr

- Bo może ją znam... — powiedział Spiller niepewnie.
- Ty... znasz... Lucy?

Nagle kieszeń przestała się kołysać. Usłyszeli metaliczny dźwięk — i zgrzyt otwieranego zamka.

- Jesteśmy na miejscu — oznajmił Spiller. Widać był dobrze zorientowany.
- Spokój! — przypomniał znów Strączek. — Zachowajcie teraz jak największy spokój!

Uderzył go dobrze znany zapach domu zamieszkanego przez Człowieka.

- Znasz Lucy? — dopytywała się Dominika zaintrygowana. — Niemożliwe!
- Właśnie, że znam — odpowiedział Spiller.
- Skąd?
- Jest krawcową — odparł Spiller — i właśnie teraz uszyła mi futro na zimę.

Dominika była tak oszołomiona tą nowiną, że nawet nie zauważyła, iż coś się dzieje poza kieszenią.

- Gdzie oni są? — dopytywała się gorączkowo. — Mój brat Henryk i Lucy? Co oni robią? Myśleliśmy, że całą ich rodzinę pożarły lisy albo...
- Ucisz się, Dominiko — zwrócił się do niej Strączek błagalnie.

Nasłuchiwał przez cały czas w napięciu: jakieś drzwi zamykały się i otwierały — a chłopiec skradał się na palcach tak cichutko i ostrożnie, że nawet kieszeń przestała podskakiwać.

- Powiedz mi, Spiller... prędko! — nalegała Dominika. — Wiesz przecież... gdzie oni są? Gdzie mieszkają?
- Tutaj — odpowiedział Spiller lakonicznie, jak to było w jego zwyczaju.

— 199 —

« 4

Lv**

•••4t

• » »'

**j

m

Wtem Dominika krzyknęła: poczuła, że palce chłopca wymacały ją w mrokach kieszeni.

- Tylko spokój może nas uratować, Dominiko • usłyszała głos Strączka, gdy cofnęła się w głąb i zaszyła w kąt kieszeni pomiędzy okruszynami szczerstwiającego chleba. — Trzymaj się!... Za chwilę wyjdziemy wszyscy!

Spiller wysunął się pierwszy. Nie zdradzając najmniejszego lęku, skoczył i siadł okrakiem na kciuku wyciągniętej ręki chłopca. Nawet nie obejrzał się za siebie.

Teraz przyszła kolej na Ariettę.

— Och, moi drodzy... — jęknęła Dominika. — Moje biedne dziecko...

Następny był Strączek. Lecz Dominika nie puściła go samego. Wdrapała się razem z nim na sam brzeżek kieszeni i po chwili znalazła się na otwartej na płask dłoni chłopca. Odkryło się to tak szybko i sprawnie, że nawet nie zdążyło jej zakręcić się w głowie, czego się tak z góry obawiała.

Jeszcze chwila — a wszyscy czworo stali na podłodze, w blasku ognia padającego z kominka. Z boku wznosiła się drewniana ścianka — pudła z klockami, jak to później odkryli. Stali przytuleni do siebie, z bijącym sercem, wszyscy troje. Po chwili spostrzegli, że Spiller gdzieś zniknął.

Chłopiec, klęczący na jednym kolanie, piętrzył się nad nimi jak wielka góra. Blask ognia igrał na jego pochylonej ku nim twarzy. Dyszał ciężko, a każdy jego wdech i wydech wydawały im się podmuchem wiatru.

— Nie bójcie się — powiedział do nich. — Wszystko będzie dobrze. Zobaczycie, wszystko będzie dobrze.

— 200 —

ą* + * ••'.•• y

Patrzył na nich z takim samym zainteresowaniem, z jakim zbieracz ogląda nowy egzemplarz do swojej kolekcji.

Jego ręka błędziła nad nimi w powietrzu, tak jakby chciał ich dotknąć, unieść w górę, przyjrzeć się im z bliska — ale widocznie nie miał odwagi.

Strączek chrząknął nerwowo.

— Gdzie Spiller? — zapytał.

— Wróci za chwilę — odparł chłopiec. — A po chwili rzekł: — Będę miał teraz całą dziesiątkę.

— Dziesiątkę? — powtórzył Strączek, nic nie rozumiejąc.

— Tak, dziesiątkę Pożyczalskich — odpowiedział chłopiec. — Myślę, że będę posiadał chyba największą kolekcję w całym kraju. A mój dziadek — dodał — jeszcze nie widział żadnego. Nie dlatego, że wzrok ma już nie taki bystry, ale...

— ...nie wierzy, że istnieją — dokończył za niego Strączek. — Gdzie są tamci?

— Umieściłem ich tutaj — rzekł chłopiec, wskazując ruchem głowy w kierunku pudła z klockami. — Ale ciągle są jeszcze wystraszeni i nie chcą się pokazywać. Podobno Pożyczalscy, choćby nie wiadomo co dla

nich robić, nie dają się oswoić. Tacy już są.

— A ja się dam — pisnęła Arietta.

— Cicho bądź! — zgromiła ją Dominika.

— I Spiller także — dodała Arietta nieposkromiona.

— Ze Spillerem jest całkiem inna sprawa — powiedziała Dominika, zerknąwszy na chłopca.

Czuła, że Spiller to faworyt chłopca, perła jego „kolekcji”.

— 201 —

« 4

mS

*<*J

?ł

H

— A gdzie Spiller? — zapytał znów Strączek. — Gdzie się podział?

— Tutaj — rzekła Arietta, wskazując oczyma róg pudła. I rzeczywiście, po chwili z kąta wynurzył się Spiller.

— Nie chcą wyjść — oznajmił z żalem.

— Kto? — zainteresowała się żywo Dominika. Spiller nie odpowiadał.

— Kto... Lucy? Spiller dalej milczał.

Chłopiec zmarszczył brwi. Był wyraźnie niezadowolony. Spojrzał na całą czwórkę z góry, zmierzył ich wzrokiem od stóp do głów i westchnął.

— Trzeba będzie was tam wprowadzić — zdecydował.

a* tóf

'*•*~*~*~?!

ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

„Każda rzecz długo oczekiwana w końcu nadchodzi”

Vasco da Gama opłynął Przylądek Dobrej Nadziei, r. 1497 (Z „Diariusza” i „Księgi przysłów” Arietty,
20 listopada)

////////y/y////^^^

LJ stawili się gęsiego i przez dziurę w boazerii, w kształcie ostrołuku, wmaszerowali do mrocznego wnętrza. Było tu ciemno jak w piwnicy i pachniało kurzem i myszami.

— Och, moi drodzy... — wymamrotała Dominika z niedowierzaniem — czy to możliwe, żeby oni tu mieszkali?

Przystanęła nagle i podniosła jakiś przedmiot z podłogi.

— Nie do wiary! — zawołała zaskoczona i podsuwając Strączkowi pod nos bielejący w ciemności przedmiot, zapytała: — Wiesz, co to jest, Strączku?

— Wiem — odparł Strączek. — Piórko do czyszczenia fajki. Rzuć to, Dominiko, i chodź. Spiller czeka.

— Mylisz się — odparła Dominika. — To słomkowy dziobek od naszego starego czajniczka. Pamiętasz nasz czajniczek do herbaty, zrobiony z żołądź? Poznałabym go zawsze i wszędzie, i proszę cię, nie sprzeczasz się ze mną — upierała się Dominika, chociaż Strączek wcale nie miał zamiaru się sprzeczać. — A więc oni są tu jednak... — mówiła do siebie, idąc posłusznie o krok za Strączkiem.

Zobaczyła Spillera stojącego razem z Ariettą u stóp drabinki. Zadarła głowę i ujrzała szczeble, biegnące w górę

— 203 —

• 4

9 "

ten

w*2

m

i znikające wyżej, w półmroku. Drabinka zrobiona była z rozszczepionych patyczków, pomiędzy którymi biegly starannie poprzyklejane poprzeczki — takie drabinki ustawia się w kwiaciarniach dla

podtrzymania wątłych roślinek w doniczkach.

— Ja pójdę pierwszy — oświadczył Strączek. — Wchodźmy lepiej po kolei, każdy oddzielnie.

Dominika czekała trwoźnie, zanim wreszcie usłyszała z góry głos Strączka.

— Wszystko w porządku — zawołał, prawie niewidzialny na szczycie drabinki. — Chodźcie!

Dominika zaczęła wspinać się po drabinie, choć kolana jej drżały ze strachu — aż w końcu znalazła się na słabo oświetlonym pomoście, który zaskrzypiał, gdy na nim stanęła, i nawet jakby się trochę zakołysała. Pod nią ziała pustka i ciemność, za nią znajdowały się otwarte drzwi.

— Och, moi drodzy... — jęknęła. — Nie patrz w dół! — przestrzegła Ariettę, która zaczęła się wspinać zaraz za nią.

Lecz Arietta nie doznawała najmniejszej pokusy patrzenia w dół — przeciwnie, uwagę jej przykuwały otwarte drzwi i ruchome cienie w głębi. Usłyszała przytłumiony gwar głosów i nagle wybuchy piskliwego śmiechu.

— Idź naprzód! — zakomenderował Spiller, popychając ją lekko w kierunku drzwi.

Widok, jaki się przed Ariettą roztoczył, wydał jej się oszałamiający: ciepły, czysty pokój, migotliwy blask świecy, rozkoszny zapach ciepłego, gotowanego w domu jadła... i tyle głosów... i tyle osób...

Jak przez mgłę widziała twarze i stopniowo zaczęła

— 204 —

:

«%**. *_●●*
_

je rozróżniać... Ta, która obejmuje i całuje jej matkę, to pewno ciotka Lucy... Taka okrągła, pulchna, czyściutka... Dopiero teraz widać, jaka jej matka jest wychudzona i zaniedbana! Dlaczego one padają sobie w objęcia i ściskają się za ręce, i płaczą obie? Przecież nie lubiły się nigdy, wszyscy o tym wiedzą. Dominika uważała zawsze Lucy za osobę pyszałkową i zadzierającą nosa, ponieważ Lucy mieszkała dawniej za boazerią w salonie i podobno — takie chodziły słuchy — przebierała się do kolacji w wieczorową suknię. A Lucy uważała się za coś wyższego od Dominiki, ponieważ tamta mieszkała pod podłogą kuchni i nie umiała wymawiać z francuska „parkę”, tylko mówiła prostacko: „parkiet”.

A oto wuj Henryk mówi do Strączka, że to niemożliwe, żeby to była Arietta, taka duża dziewczyna, a ojciec jej śmieje się i mówi z dumą, że to jednak nikt inny, tylko Arietta. A ci trzej chłopcy to pewno jej kuzynowie, imion ich nie знаła — duży, mniejszy i najmniejszy, a wszyscy tacy podobni do siebie, jak ziarenka grochu różnych rozmiarów w tym samym strąku. A ta wysoka, cienka w pasie, powiewna jak z bajki postać, kryjąca się nieśmiało na uboczu... któż to może być?

Dominika krzyknęła, gdy ją zobaczyła, i zaraz klepnęła się po ustach.

— Eggletina! Nie! To niemożliwe!

A jednak nie ulegało wątpliwości, że to ona. Arietta wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczyma i nie wierzyła własnym uszom. Czyżby to miała być ta legendarna kuzynka Eggletina, która podobno pewnego pięknego dnia wyszła w niebieskiej sukience i buciczkach zapinanych na agatowe paciorki — i od tej chwili nikt jej

— 205 —

« *

• * « • « *

**j

rlm

już nie widział? Rzekomo kot ją pożarł. Tyle razy ostrzegano Ariettę przed podobnym losem! A oto ona, żywa i cała... o ile to wszystko nie jest snem!...

A może to właśnie sen?

Wszystko wydawało się Ariettcie nierzeczywiste w tym pokoju na pięterku, umeblowanym mebelkami z domu dla lalek, z których każdy był innych rozmiarów i w innym stylu, i ani jeden nie pasował do drugiego.

Stały tu foteliki z obiciem z rypsu lub z aksamitu, jedne za małe, inne znów za szerokie i za przepaściste, a żaden nie nadawał się do siedzenia. Była tu bieliźniarka, za wąska i za wysoka, żeby można było mieć z niej jakiś pożytek, i stoliczki za niskie, żeby przy nich siedzieć. Był miniaturowy kominek z węgielkami z kolorowego gipsu i pogrzebacz, szczypce i szufelka do węgla, nie nadająca się do użytku. Dwa ślepe okna namalowane na ścianie przesłonięte były firankami z czerwonego jedwabiu, na którym widniały ręcznie malowane pejzaże: jeden przedstawiał Alpy Szwajcarskie, a drugi — dolinę w Szkocji.

— To Eggletina malowała sama, własnoręcznie — chełpiła się ciocia Lucy takim tonem, jakby prowadziła wytworną salonową konwersację. — A teraz zabrała się do malowania mniejszego pejzażu, także na jedwabiu. Będzie to widok na jezioro Como...

Wszędzie stały lampy i wisały kinkiety pod osłoną abażurów z falbankami, z frędzelkami, w drobne pliski — ale mimo tej obfitości lamp pokój był oświetlony, jak to Arietta od razu zauważyła, skromną, małą łójóweczką, taką, jaką stawiano w mieszkaniu pod kuchnią w „Stokrotce”.

— 206 —

Wszystko tu jednakże lśniło czystością aż onieśmielającą. Arietta rzuciła spod oka spojrzenie na ojca i na matkę i zrobiło jej się za nich wstyd: to, co mieli na sobie, nie było prane od wielu tygodni, a twarzy i rąk

nie myli chyba od paru dni. Spodnie Strączka świeciły dużą plamą na samym kolanie, a włosy Dominiki zwisały w niepo-rządnych kosmykach. A tu, jak dla kontrastu z nimi, ciocia Lucy, pulchna, okrągłutka, wychuchana, rozszczebiotana, wyglądała jak światowd dama, która za chwilę narzuci na siebie czarny jedwabny płaszcz wieczorowy, włoży na szyję boa ze strusich piór, na ręce wciągnie białe rękawiczki z mięciutkiej glansowanej skórki, wsiądzie do karety i każe się zawieźć na galowe przedstawienie do opery.

Ale Dominika, ona, która zawsze się bała, żeby niespodziany gość nie przyłapał jej w przybrudzonym fartuszk, teraz jakoś wcale nie straciła kontenansu. Postanowiła odegrać rolę — co Arietta i Strączek zauważyli nie bez satysfakcji — kobiety, którą „los doświadczył ponad miarę wytrzymałości”, męczennicy, która wiele przecierpiała, ale „woli o tym nie mówić”, gdyż za wszelką cenę chce być dzielna. Uśmiechała się blado, a uśmiech jej zdawał się mówić z wyższością: „Co wy tam wiecie...”

— Biedna Lucy — rzekła z politowaniem, rozglądając się z wolna dookoła — ile tu różnych gratów! Kto ci pomaga sprzątać, zamiatać, ścierać kurze?

I tak gwałtownie potrząsnęła głową, że jej źle upięte włosy nagle się rozsypały i, jak ścięta z nóg, padła na pół zemdlna na fotel.

Wszyscy, wystraszeni, przybiegli jej na pomoc, przynieśli wody, spryskali jej twarz i ręce. Henryk patrzył

— 207 —

**j

∴-:\$.

na nią oczyma pełnymi łez, z braterską miłością i współczuciem.

— Moje ty dzielne biedactwo — mówił na pół do niej, na pół do siebie — w głowie mi się mąci, gdy pomyślę, ile ona przeszła...

Po pewnym czasie Dominika wróciła do przytomności i poszła umyć się i uczesać. Arietta i Strączek także doprowadzili się jako tako do porządku, po czym wszyscy razem zasiedli do kolacji w kuchni, która tym się różniła od pokoju, że ogień płonął tu naprawdę pod płytą kuchenną, sporządzoną z leżącego na płask dużego czarnego zamka od drzwi. Żar pod płytą rozgarniano pogrzebaczem poprzez dziurkę od klucza, a dym uchodził przez szereg przemysłnych rurek do dużego komina na dachu.

Długi stół stanowiła miniaturowa płytka, niegdyś zabezpieczająca przed dotykiem palców drzwi w jakimś starym salonie z osiemnastego wieku, bogato zdobiona, pokryta białą emalią i malowana w niezapominajki. W miejscach, gdzie dawniej wkręcone były cztery śrubki, teraz podtrzymywały ją zamiast nóżek ogryzki ołówków. Zaostrome ich koniuszki wystawały nad powierzchnię płytki. Jeden ołówek był kopiowy i raz po raz przypominano dzieciom, żeby się o niego nie opierały, gdyż mogą umazać się na fioletowo

Stół był obficie zastawiony zarówno prawdziwymi daniami, jak i ich imitacją: ciastka, budynie, soki w butelkach, wszystko to było sporządzone własnymi rękoma Lucy, ale już udziec barani i pieczona kaczka były „na niby”, zrobione z gipsu i pożyczone z domku dla lalek. Na stole stały prawdziwe kubki z przepołowionych skorupek żółędzi i dwie malutkie zielone karafeczki szklane.

— 208 —

«*~;

A przy stole trwały rozmowy, rozmowy, rozmowy... Arietta słuchała na pół przez sen. Była tak zmęczona, że raz po raz zapadała w drzemkę. Słyszała piąte przez dziesiąte, ale zrozumiała, że ta wizyta rodzinna nie była tak wielką niespodzianką, jak to sobie wyobrażała. Spiller, widząc, że ani buta, ani jego mieszkańców nie ma na stałym miejscu, zabrał z sobą cały ich skromny dobytek i pędem pobiegł opowiedzieć to swojemu przyjacielowi, chłopcu. Jak się Arietta dowiedziała przy stole, chłopiec, wnuk gajowego, nazywał się Tom. Lucy pobladła, gdy usłyszała to imię, zerwała się od stołu i usiadła na brzeжку złożonego krzeselka, przy samych drzwiach — „bo tu będzie przewiew, powiedziała, a powietrze dobrze mi zrobi” — i wachlowała się małym wachlarzykiem z ptasich piórek.

— Matka nie lubi, jak się przy niej mówi o Człowieku — wyjaśnił najstarszy kuzynek. — Na nic się nie zdadzą zapewnienia, że Tom to dobry chłopiec, muchy by nawet nie skrzywdził!

— Tego nie można wiedzieć — odezwała się Lucy ze swego miejsca. — Dziś jest tak, a jutro może być inaczej. Teraz chłopiec jest młody, ale czy się nie zmieni, jak dorośnie? Wtedy dopiero może stać się niebezpieczny...

— Lucy ma rację — zgodził się Strączek. — Ja także nie mam do chłopców wielkiego zaufania.

— Och, jak możesz tak mówić? — oburzyła się Arietta. — Przypomnij sobie tylko! Ocalił nam życie! Śmierci nas wyrwał!

— Wyrwał was? — krzyknęła Lucy z drugiego pokoju. — Dosłownie,, rękoma?

Dominika zaśmiała się cichym, trochę złośliwym śmie-

14 — Pożyczalscy idą w świat

— 209

• 4

LM

• » • <

**J

tfl

szkiem, starając się jednocześnie, choć bez specjalnego zainteresowania, złapać czerwoną malinę toczącą się jak kulka po śliskim talerzu.

— Naturalnie — powiedziała swobodnie, choć wzdrygnęła się przy tym niedostrzegalnie. — Nie widzę w tym nic nadzwyczajnego.

— Ojej! — jęknęła Lucy. — Biedacy! Wyobrażam sobie, coście przeżyli! Wybaczcie mi — dodała po chwili — ale jestem tak zdenerwowana, że muszę się położyć.

I wstała tak nagle, że kruche krzesło aż się zachybotało.

— Skąd masz to umeblowanie, Henryku? — zapytała Dominika.

Ożywiła się od razu, jak tylko Lucy wyszła.

— Zostało mi to dostarczone — odpowiedział Henryk dość zagadkowo.

— Jak to: dostarczone? — zainteresowała się Dominika.

— A tak, ktoś z dużego domu przyniósł te wszystkie mebelki w białej powłoczce od poduszki i zostawił pod kamieniem.

— Z tego domu, w którym myśmy mieszkali? — zapytał Strączek. — Ze „Stokrotki”?

— Tak należałoby się domyślać — odparł Henryk. — Domek dla lalek stał na najwyższej półce w pokoju szkolnym na pierwszym piętrze. Po prawej stronie od drzwi, pamiętasz?

— Pewno, że pamiętam — odezwała się Dominika — zwłaszcza że niektóre z tych rzeczy to moje własne. Szkoda — powiedziała do Arietty, zniżając głos — że nie mamy tego spisu, który sporządziłaś kiedyś na kawałku bibuły, pamiętasz?

— 210 —

> * -• _-• r

Arietta kiwnęła głową potakująco. Była bardzo znużona i senna. Za dużo tych rozmów, za dużo tu osób, za gorąco w tym zagraconym pokoju.

— Ale kto to mógł przynieść? — dziwił się Strączek. — Ktoś z nich... jakiś Człowiek?

— Tak się domyślamy — rzekł Henryk. — Nikt inny, tylko Człowiek... Było to zaraz po tym, jak musieliśmy opuścić norę borsuka i zamieszkać w piecyku...

— W piecyku? W jakim piecyku? — zainteresował się żywo Strączek. — Czy przypadkiem nie w tym, co leżał w pobliżu budy Cyganów?

— Tak jest — przytaknął Henryk. — Mieszkaliśmy dość długo w tym starym piecyku.

— Jak na mój gust — rzekł Strączek — trochę za blisko Cyganów.

Odkrajał sobie spory plasterek pieczonego kasztana i posmarował grubo masłem.

— Trzeba było trzymać się blisko nich — rzekł Henryk — chcąc czy nie chcąc, o ile zamierzało się od nich pożyczać.

— Pożyczać z budy cygańskiej?! — zawołał Strączek. — W twoim wieku?!

Henryk spuścił głowę i milczał skromnie.

— Widzisz, Strączku — zawołała Dominika z podziwem — to jest towarzysz dla ciebie! Rozumiesz, co chcę przez to powiedzieć?

— Rozumiem — odparł Strączek, a po chwili zapytał: — A mieliście tam ciepłą strawę?

— Oczywiście — odparł Henryk. — Gotowaliśmy obiady.

— A nie baliście się dymu?

— 211 —

- 4

- mi

LS*

'!IM'

**J

rl*p>

— Gotowaliśmy na gazie — odpowiedział Henryk z dumą. — A gaz nie daje dymu.

— Na gazie! — wykrzyknęła Dominika. — Jak to robiliście?

— Pożyczaliśmy gaz — odparł Henryk z uśmiechem. — Wiecie przecież, w wykopie znajdują się rury gazowe. Wywierciliśmy w dużej rurze trzy dziurki, wielkości łebka od szpilki, i przeprowadziliśmy przewód aż do paleniska w piecyku trzema długimi rurkami. Napracowaliśmy się ogromnie, zabrało nam to dobrych kilka tygodni. Ale „koniec wieńczy dzieło”, jak mówi przysłowie: mieliśmy trzy gazowe palniki do dyspozycji!

— A jak zapalaliście gaz? — zainteresował się Strączek. — Za każdym razem?

— Nie gasiliśmy wcale, palił się stale, całymi dniami i nocami.

— I macie zamiar tam wrócić?

Henryk ziewnął dyskretnie. Był najedzony, w pokoju było ciepło, nic dziwnego, że chciało mu się spać.

— Spiller tam teraz mieszka — rzekł, zasłaniając sobie usta.

— Ach, rozumiem już teraz — zawołała Dominika — w jaki sposób Spiller piekł i gotował! Mógł nam to być powiedzieć od razu albo przynajmniej...

— Nie chciał — odparł Henryk. — „Kto się na gorącym sparzył, ten na zimne dmucha”... jak mówi przysłowie.

— Widzę, żeś czytał pilnie „Księgę przysłów” Arietty — zauważył Strączek z uśmiechem.

— I dużo z niej zapamiętałem — przyznał Henryk.

— Opowiadaj dalej! — zniecierpliwiła się Dominika.

— 212 —

— Otóż gdy zostaliśmy bezdomni... — zaczął Henryk i widać było, że jeszcze teraz wstyd mu za dawne dzieje — musieliśmy opuścić norę borsuka tak nagle... spotkaliśmy Spillera i on zaprosił nas do siebie... do tego piecyka, na kolację... A myśmy już nie ruszyli się stamtąd i tak zostało. Zamieszkaliśmy u niego i nie wyprowadzaliśmy się kawał czasu...

— Tak, to musiało trwać — rzekł Strączek — zanim przeprowadziliście gaz...

— A jak gaz został przeprowadzony — mówił dalej wuj Henryk — podzieliliśmy się zajęciami: myśmy gotowali, a Spiller wychodził na pożyczanie.

— Ach! — zawołał Strączek. — To Spiller pożyczał? Rozumiem... Tak, my obaj, Henryku, musimy pogodzić się z tym, że nie jesteśmy już młodzi...

— A gdzie Spiller jest teraz? — zapytała nagle Arietta.

— Poszedł... — odpowiedział Henryk niepewnie. Zmarszczył się i skrzywił; najwyraźniej zakłopotany, bawił się i stukał w stół cynową łyżeczką.

„Jedna z mojego pół tuzina — przemknęło Dominice przez myśl. — Ciekawa jestem, ile ich jeszcze mają?”

— Poszedł — powtórzyła Arietta — ale dokąd?

— Chyba do domu — odrzekł Henryk bez większego przekonania.

— A myśmy mu nawet nie podziękowali! — rozgorączkowała się Arietta. — Spiller ocalił nam życie!

Henryk otrząsnął się nagle z przygnębienia.

— Mam znakomity kordia! — zawołał. — Nalewka porzeczkowa, Lucy sama robiła. Napijemy się? Nic tak nie podnosi na duchu, jak domowa nalewka — zażartował.

— Nie, dziękujemy — zawołała Dominika, zanim

— 213 —

Strączek zdążył się odezwać. — „Od wódki rozum krótki!” Doświadczyliśmy tego na własnej skórze!

— Ale co Spiller o nas pomyśli? — ze łzami w oczach spytała Arietta. — Nie podziękowaliśmy mu nawet!

Henryk spojrzał na nią zdziwiony.

— Spiller? — powtórzył i poklepał dziewczynkę po ramieniu. — Jemu nie zależy na podziękowaniach.

— A dlaczego nie został z nami na kolacji?

— Nie lubi dużego towarzystwa — wyjaśnił Henryk. — Woli pitrasić dla siebie sam.

— Pitrasić? — powtórzyła Arietta.

— No, gotować —! poprawił się Henryk.

— A gdzie on teraz mieszka?

— Tam gdzie dawniej. W swoim piecyku.

— Ale to przecież bardzo daleko! Będzie z parę mil!

— Spillera to nie przeraża. Jest przyzwyczajony. Przeprowadzi się łodzią przez wodę...

— Ale już jest ciemno — niepokoila się Arietta.

— O Spillera możesz się nie martwić — uspokajał ją wuj Henryk. — On sobie poradzi. Zjedz ciasteczko, moja droga.

Arietta spojrzała na talerzyk (z różowego celuloidu, był u nich w domu cały taki serwis do herbaty, przypomniła sobie), ale jakoś nie miała ochoty na ciastko.

— A kiedy on wróci? — zapytała.

— Nie wiadomo — odpowiedział wuj Henryk. — Zjawia się raz czy dwa razy do roku. Lucy szyje dla niego. Czasami Tom przysyła go z jakimś poleceniem.

Arietta zamyśliła się.

— Czuje się na pewno bardzo samotny — rzekła po chwili i westchnęła.

— 214 —

r a *. -» -~ • |*

— Spiller? Samotny? Nie, tego bym o nim nie powiedział. Samotny jest ten, kto czuje się opuszczony. Spiller jest raczej samotnikiem z wyboru.

Henryk powiódł wzrokiem po pokoju i zatrzymał spojrzenie przy kominku, przy którym siedziała, odwrócona plecami, jego córka.

— Eggletina jest taka sama... I nic na to poradzić nie można. Wielka szkoda! — westchnął.

Rozmowa na ten temat urwała się, gdyż do kuchni weszła ciotka Lucy, znowu świeża i wypoczęta, i zaczęła po swojemu trąkotać...

Arietta nie mogła tego dłużej słuchać. Wstała i wysunęła się niepostrzeżenie.

Stanęła w półciemnym pokoju, ale i tu mimo woli musiała słuchać. Dochodziły ją urywki monologu cioci Lucy, której co jakiś czas ktoś z obecnych usiłował przerwać, lecz bezskutecznie. Mówiła o tym, jak im się żyje i jakie mają trudności, i co musieli zrobić, żeby te trudności przezwyciężyć, i o tym, że trzeba pamiętać koniecznie, ażeby wciągać drabinę na górę, zanim wszyscy udadzą się na spoczynek, a zostawiać ją na dole wówczas, gdy mężczyźni wychodzą na pożyczanie, chłopcy już także zaczęli chodzić na pożyczanie, chociaż dopiero niedawno się tego nauczyli, a kobiety, zgodnie z tradycją rodu Pożyczalskich, zostają w domu, w domu też jest niemało do zrobienia, posprzątać wszędzie, kurze zetrzeć, ugotować... Może teraz będzie łatwiej, bo przecież chyba będą prowadzić kuchnię wspólnie z Dominiką?

Lecz Dominika grzecznie, ale stanowczo uchyliła się od tej propozycji.

— Dziękuję ci, Lucy... to bardzo uprzejmie z twojej

— 215 —

• «

* V k«

<*j

wM

strony... ale lepiej będzie, jeśli będziemy prowadzić gospodarstwo tak, jak dawniej... każda oddzielnie.

„Zaczyna się... — pomyślała Arietta — ...wszystko tak samo jak dawniej... Nie, ona się na to nie zgodzi!

MB	im » u					
1		i	MI	»	-----	
	mim	im		L		
t	Nil l	ur		p-		
itll]	Mmli	H		[		
»lj	ntfl	yn	H	L		
	inff iii ii nil		In			
i	1	l	li	L	%	\
u	HtliHil ?	^^tj			V	%
i				-li *,	1	
• ll				\	i i s •	
	W				\ - i	\ T1 ^-----

i ll —*>—u

1 ll Uflfl

! ll mm r

;;f lni }wttł | | -

i mm || —•

U ii

i ?-='—*.

lii l _- ^^ %

P\ •Jft i i • 1 1 t

i i i 1 t U

i mmmmm \$ j /

M U,

li l 1

i

11 r

• ! ^^ffl lii

|; H11

IHtflffl H'^^§ t

i L

ii te —-^

—*^—

s

^*j

Nie, za dużo różnych zakazów i nakazów czeka ją w domu cioci Lucy... za dużo osób tu mieszka, za gorąco jest tu i za ciemno... „Może znajdę z czasem także i jakieś zalety — myślała, schodząc po drabinie

ostrożnie, szczebel za szczeblem, z drżącymi kolanami — ale musiałabym znaleźć je sama..."

Zeszła na dół, nie zatrzymując się, i znalazła się w ciemnym, zakurzonym hallu. Rozejrzała się wokoło, zadarła głowę i spojrzała w górę. Szczyt drabiny i postrzępione brzegi pomostu rysowały się wyraziście, oświetlone od spodu. Na ten widok dziewczynce zakręciło się w głowie i nagle ogarnął ją lęk: co będzie, jeśli ktoś, nie wiedząc, że ona wyszła, wciągnie drabinę na górę?

Blade światło, jak się teraz zorientowała, padało przez dziurę w boazerii. Pudło z klockami stało oparte o ścianę, ale nie przylegało do niej ściśle — między nim a boazerią była jeszcze wolna przestrzeń, wąska wprawdzie, ale taka szczupłutka osóbką jak ona mogłaby się tędy z łatwością przecisnąć.

Miała wielką ochotę zerknąć do pokoju, w którym przed kilkoma godzinami Tom wyjął ze swej kieszeni całą czwórkę i postawił na podłodze przed kominkiem. Chciała przyjrzeć się, choćby z daleka, temu nieznanemu a kuszącemu światu Człowieka, z którym odtąd będzie sąsiadować, a nawet może i dzielić swoje życie.

Nie było jej trudno prześliznąć się wąskim przesmykiem pomiędzy boazerią a pudłem z klockami.

Bała się tylko jednego: żeby Człowiekowi przez ten czas nie przyszło na myśl przysunąć pudło bliżej, aż do samej ściany. Zostałaby przygnieciona i dopiero po długim czasie znaleziono by ją, pomyślała zatrwożona, przy-

— 218 —

***?●?

ciśniętą do boazerii, przyklejoną jak zasuszony kwiat. Spieszyła się, jak tylko mogła: jednym susem wskoczyła w ostrołukowy otwór i po chwili znalazła się w pokoju, po drugiej stronie kominka.

Rozejrzała się dookoła. Zobaczyła w górze belkowany sufit, bliżej — stół, a przed nim stylowy fotel z wygiętym oparciem i na kręconych nóżkach. Na stole stał lichterz z palącą się świecą. Podłogę zakrywał dywan ze skór. A więc tu tkwił sekret garderoby Spillera — domyśliła się Arietta. — Stąd brał kawałki na swoje puchate futro, które szyła mu ciotka Lucy!

W fotelu siedział chłopiec, z głową opartą na rękach złożonych na stole. Blask świecy padał na jego potarganą jasną czuprynę. Spał, ale widocznie niezbyt mocno, gdyż zbudził się nagle i podniósł głowę. Arietta chrząknęła cichutko, ledwo dosłyszalnie. Chłopiec usłyszał jednakże to chrząknięcie, najpierw rozejrzał się dookoła, potem spojrzał w dół... Na ustach jego pojawił się uśmiech.

Zegar tykał miarowo, gdzieś wyżej, nad jego głową. Płomień świecy płonął równo i spokojnie. Węgłe w kominku trzaskały, spadając do popielnika.

— Dobry wieczór — rzekła Arietta śmiało i po chwili dodała: — Tom!

— Dobry wieczór — odpowiedział Tom i zastanawiał się chwilę, jakby chciał sobie przypomnieć jej imię, zanim dokończył: — ...Arietto!

'^%0% ,J*dkf}~Q^

/a.

•*4

'O&

• |

?<L*

OBJAŚNIENIA

//////////z fiutiłij/iłiill HUI ullm tj mu 11 iii ulłililii i i u i i 111U \
w^vVVV\^v^v^\\^s^v^x^s^s^x^\\^x^X\\,|v\vv^v vvv\wv\|v\\|\\wvvv^vvvVsX\\|'

a b s t y n cni — człowiek nie używający napojów alkoholowych

i n s c k t — owad

boa — szal z futra lub piór

boks — rodzaj skóry Używanej do wyrobu obuwia itp.

funt — podstawowa jednostka systemu monetarnego w Anglii

jarosz — wegetarianin, człowiek żywiący się głównie pokarmem roślinnym, nie używający pokarmów mięsnych

kinkiet — lampa przytwierdzona do ściany

kontenans — pewność siebie, przytomność umysłu

k o r d i a ł — napój orzeźwiający i wzmacniający

L i v i n g s t o n e — Dawid Livingstone (1813—1873), szkocki podróżnik, badacz Południowej Afryki

moleskin — gruba, mocna tkanina bawełniana, używana m. in. do wyrobu odzieży roboczej, sportowej i specjalnej

monosylaba — wyraz jedno/głoskowy

palnik b u n s e n o w s k i — palnik używany w laboratoriach, dający silny płomień barwy niebieskawej; nazwa pochodzi od nazwiska jego wynalazcy, chemika i fizyka niemieckiego, A. W. Bunsena (1811

—1899)

pampasy — rozległe, porośnięte wysoką trawą stepy w Ameryce Południowej

piknik — składkowa zabawa towarzyska, wycieczka

s i r — tu: zwrot uprzejmościowy używany w Anglii i Stanach Zjednoczonych w stosunku do mężczyzn

w e g e t a r i a n i n — patrz: jarosz

— 221 —

• «

+*J